

Juliusz Verne

Bez przewrotu

Tłumaczyła Julia Zaleska

56 ilustracji George'a Rouxa

Nakładem Księgarni Teodora Paprockiego i Spółki

1892

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ I	3
ROZDZIAŁ II	10
W którym delegaci angielski, holenderski, szwedzki, duński i rosyjski mają zaszczyt przedstawić się czytelnikowi.	10
ROZDZIAŁ III	18
W którym odbywa się licytacja krajów podbiegunowych.	18
ROZDZIAŁ IV	25
W którym występują na scenę starzy znajomi naszych czytelników	25
ROZDZIAŁ V	30
Ale z kądem przypuszczenie, że są pokłady węgla ziemnego pod biegunem?	30
ROZDZIAŁ VI	35
W którym przerwana jest rozmowa telefoniczna pomiędzy Mistress Scorbitt a panem J. T. Maston.	35
ROZDZIAŁ VII	42
W którym prezes Barbicane mówi tylko tyle, ile mu powiedziec wypada.	42
ROZDZIAŁ VIII	49
„Tak jak na Jowiszu?” – powiedział prezes Klubu Strzeleckiego.	49
ROZDZIAŁ IX	52
W którym pojawia się Deus ex machina pochodzenia francuzkiego.	52
ROZDZIAŁ X	55
W którym rozmaite obawy zaczynają na jaw wychodzić.	55
ROZDZIAŁ XI	61
Co się znajduje w owym kajeciku J. T. Mastona i co się tam już nie znajduje.	61
ROZDZIAŁ XII	65
W którym J. T. Maston zachowuje bohaterskie milczenie.	65
ROZDZIAŁ XIII	70
Na końcu którego J. T. Maston daje odpowiedź, godną bohatera.	70
ROZDZIAŁ XIV	75
Bardzo krótki, ale w którym X. staje się wartością geograficzną.	75
ROZDZIAŁ XV	76

Zawierający niektóre szczegóły wielce interesujące dla mieszkańców sferoidy ziemskiej.....	76
ROZDZIAŁ XVI.....	81
W którym chór malkontentów idzie crescendo i rinforzando.....	81
ROZDZIAŁ XVII.....	84
Co się działo w Kilimandżoro w ciągu ośmiu miesięcy tego pamiętnego roku.....	84
ROZDZIAŁ XVIII.....	89
W którym ludy Wamasai oczekują sygnału, jaki prezes Barbicane ma dać kapitanowi Nicholl.....	89
ROZDZIAŁ XIX.....	91
W którym J. T. Maston żałuje gorzko chwil, gdy tłum chciał go zamordować.....	91
ROZDZIAŁ XX.....	95
Który kończy tę zajmującą historię, równie prawdziwą jak nieprawdopodobną.....	95
ROZDZIAŁ XXI.....	99
Bardzo krótki, ale zupełnie uspokajający co do przyszłości świata.....	99

ROZDZIAŁ I

Więc pan sądzisz, panie Maston, że kobieta nie jest zdolną przyczynić się do postępu nauk matematycznych i doświadczalnych?

– Niestety, takie jest moje przekonanie, łaskawa mistress Scorbitt. Nie zaprzeczam temu, że i kobiety miały i mają wybitniejsze zdolności do tej gałęzi wiedzy; mimo to jednak sama budowa ich mózgu dowodzi, że kobieta nie może być Archimedesem ani Newtonem.

– O! panie Maston, wybaczyć, że zaprotestuję w imieniu naszej płci.

– Płci tem więcej uroczej, mistress Scorbitt, że nie jest stworzona do oddawania się naukom wyższym.

– Więc, podług pana, panie Maston, kobieta, patrząc na spadające jabłko, nie odgadłaby praw ciężenia, tak jak to zrobił sławny angielski uczony w końcu XVII wieku.

– Kobieta, mistress Scorbitt, widząc spadające jabłko, nie miałaby innej myśli, prócz tej, żeby je zjeść... na wzór naszej matki Ewy.

– No, widzę, że pan nam odmawiasz wszelkich zdolności do wyższych badań...

– Wszelkich zdolności?... Nie, mistress Scorbitt. A jednak, wybaczyć, że zwrócę twą uwagę na to, że od stworzenia świata nie pojawiła się ani jedna kobieta, którejbyśmy zawdzięczali odkrycie równej doniosłości, co odkrycia Arystotelesa, Euklidesa, Keplera i Laplace'a w zakresie naukowym.

– Czy to jest powodem, byśmy z przeszłości robili wnioski na przyszłość?

– Hm! to, co się nie stało w ciągu tysięcy lat, nie stanie się już nigdy... zapewne.

– Widzę, że musimy zgodzić się z naszym losem, panie Maston, i że jesteśmy tylko dobre do tego...

– Aby być dobremi! – zakończył J. T. Maston.

Te ostatnie słowa wypowiedział z tą zalotną galanterią, na jaką może się zdobyć uczony, algebrą naładowany. Zresztą mistress Evangelina Scorbitt gotową była poprzestać na tem.

– A więc! panie Maston – rzekła po chwili, – każdy ma sobie zakreślone granice rodzajów pracy na tym świecie. Pozostań pan znakomitym matematykiem, jakim jesteś. Oddaj się cały bezpodzielnie zagadnieniom tego wielkiego dzieła, któremu ty i twoi przyjaciele poświęciliście swoją egzystencję. Ja będę tą „dobrą kobietą”, którą być winnam, przynosząc mu pieniądze poparcie...

– Za które przechowamy dla pani niewygasłą wdzięczność – odrzekł J. T. Maston.

Mistress Evangelina Scorbitt zarumieniła się rozkosznie, gdyż doznawała – nie dla wszystkich uczonych, co prawda, ale dla pana J. T. Maston wyłącznie – uczucia... dziwnej sympatii. Czy serce kobiety nie jest niezgłębioną przepaścią?

Dzieło, o którym wspomnieliśmy, było w istocie niezmiernej doniosłości i jemu to bogata wdowa chciała poświęcić swoje kapitały.

Objaśnimy pobieżnie czytelnikom plan tego przedsięwzięcia i cel, do jakiego dążyli.

Ziemie północne obejmują, podług Maltebrun'a, Reclus'a, Saint-Martin'a i innych najuczucniejszych geografów:

1) Devon północny, to jest wyspy pokryte lodami na morzu Baffińskim i cieśninie Lankastra.

2) Georgię północną, utworzoną z ziemi Banka i licznych wysp, jak na przykład wyspy Sabiny, Byam-Martin, Griffith, Kornwallis i Bathurst.

3) Archipelag Baffin-Parry, obejmujący różne części ładu podbiegunowego, nazywające się: Kumberland, Southampton, James Sommerset, Boothia-Felix, Melville i inne, prawie nieznanne.

W tej całości, okrążonej przez siedmdziesiąty ósmy równoleżnik, ziemie rozciągają się na tysiącu czterechset tysiącach, a morza na siedmiuset tysiącach mil kwadratowych.

Nieustraszonym podróżnikom nowożytnym udało się przejść poza obręb wyżej wzmiankowanego równoleżnika, z kądem dotarło aż do ośmdziesiątego ósmego stopnia szerokości. Podróżnicy ci odkryli niektóre wybrzeża, leżące poza łańcuchem ław lodowych, dając nazwy przylądkom, odnogom, zatokom tych obszernych okolic, które możnaby nazwać północnymi wyżynami. Kraj, leżący z drugiej strony ośmdziesiątego czwartego równoleżnika, jest tajemnicą, nieziszczonym *desideratum* geografów. Nikt nie wie, co on zawiera, ziemie czy morza, w tej przestrzeni sześć-stopniowej, okrytej nieprzebytymi lodowiskami północnego bieguna.

Otóż tedy w roku 189... rząd Stanów Zjednoczonych powziął myśl całkiem niespodzianą zaproponować wystawienie na sprzedaż stref podbiegunowych, dotąd jeszcze nieodkrytych, stref, na które świeżo utworzona amerykańska kompania żądała koncesyi.

Na lat kilka przedtem konferencya berlińska sporządziła osobny kodeks na rzecz wielkich mocarstw, które pożądadają cudzego dobra pod pozorem kolonizacyi i otwierania dróg handlowych. Kodeks ten jednak nie mógłby prawdopodobnie być zastosowanym w tej okoliczności, z racyi, że kraje podbiegunowe nie są zamieszkane. Wszelako, wychodząc z zasady, że to, co nie jest niczyją własnością, jest przez to samo własnością całego świata, nowe stowarzyszenie nie starało się „zabrać”, ale „nabyć”, chcąc uniknąć na przyszłość wszelkich pretensyj.

W Stanach Zjednoczonych niema projektu tak śmiałego i trudnego do wykonania, któryby nie znalazł chętnych wykonawców i pieniężnego poparcia. Mieliśmy próbkę tego w roku zeszłym, gdy klub strzelecki z Baltimore powziął myśl wysłania pocisku na księżyc, celem utworzenia bezpośredniej komunikacyi z naszym satelitą. Otóż wtedy czyż to nie ryzykowni yankesi dostarczyli znacznych sum na koszt tej zajmującej wycieczki? A jeśli ona została doprowadzoną do skutku, czyż nie członkom wzmiankowanego klubu to zawdzięczamy? Tak, oni to narazili się na niebezpieczeństwa tego nadludzkiego doświadczenia.

Niech jaki Lesseps poda pewnego pięknego poranku projekt przekopania kanału przez całą szerokość Europy i Azji – od wybrzeży Atlantyku do morza Chińskiego, – niech jaki geniusz wszechpotężny zapraśnie prześwidrować ziemię, by dostać się do pokładów krzemienia, które tam są ukryte w stanie płynnym, – niech jaki pomysły elektryk zechce połączyć prądy, rozpięzchłe po powierzchni globu, aby z nich utworzyć źródło niewyczerpane światła i ciepła, – niech jaki śmiały inżynier poweźmie myśl zamknięcia w obszernych kaloryferach nadmiaru letniego gorąca, aby je rozdać podczas zimy strefom, dotkniętym dotkliwym zimmem, – niech jaki znakomity hydraulik spróbuje zużytkować siłę naturalną przyływów i odpływów morskich do wytworzenia gorąca, – niech stowarzyszenia bezimienne lub spółki handlowe potworzą się dla uskutecznienia stu podobnych projektów, – amerykanie znajdą się niechybnie na czele podpisujących się na składkę i strumienie dolarów wpłyną do kas stowarzyszeń, tak jak wielkie rzeki północnej Ameryki do fal oceanu.

Łatwo wyobrazić sobie nadzwyczajne podrażnienie opinii, skoro się rozeszła wiadomość, co najmniej dziwna, że kraje północne mają być wystawione na licytację i przysądzone

najwięcej dającemu. Przytem nie zawiązała się ani jedna publiczna składka celem tego kupna, na które kapitały leżały w gotowości. Co do dalszych wydatków, przyszłość miała wykazać ich potrzebę w chwili przystąpienia do użytkowania obszaru, stającego się własnością nowych nabywców.

Zużytkować kraje podbiegunowe!... Doprawdy, myśl taka mogła powstać tylko w głowach szaleńców!

A jednak przedsiębiorstwo to było – na ile być może – poważnem.

Wkrótce rozesłano artykuły do dzienników nowego i starego ładu, do pism europejskich, afrykańskich, australskich, azjatyckich i jednocześnie do wszystkich dzienników amerykańskich. Artykuły te wzywały strony interesowane do zbadania stron dodatnich i ujemnych tej sprawy. New-York Herald miał zaszczyt najpierwej ogłosić wspomniany dokument w swych szpaltach. Niezliczeni abonenci tego dziennika mogli wyczytać w numerze z dnia siódmego listopada następujące doniesienie, które, obiegłszy cały świat uczony i przemysłowy, najrozmaiciej było oceniane:

„Odezwa do mieszkańców kuli ziemskiej.

„Okolice bieguna północnego, objęte czterdziestym czwartym stopniem szerokości północnej, nie mogły być dotychczas użytkowane z tej prostej przyczyny, że nie zostały jeszcze odkryte.

„Rzeczywiście, najbardziej oddalone punkty, zwiedzone już przez żeglarzy różnych narodowości, są niżej wymienione:

„82°45’, do którego dotarł Anglik nazwiskiem Parry w miesiącu lipcu 1847 roku i który leży na dwudziestym ósmym zachodnim południku na północy Spitzbergu;

„83°20’28’”, dokąd doszedł Markham, należący do wyprawy angielskiej pod dowództwem sir Johna Jerzego Nares, w maju 1876 r.; punkt ten leży na pięćdziesiątym zachodnim południku, na północy ziemi Grinnel;

„83°35’, do którego dotarł Lockwood i Brainard, obaj biorący udział w wyprawie amerykańskiej porucznika Greely, w maju 1882 roku; punkt ten leży na czterdziestym drugim zachodnim południku, na północnym brzegu ziemi Nares.

„Można zatem uważać kraje, rozciągające się od osmdziesiątego ósmego równoleżnika aż do bieguna, na przestrzeni sześciu stopni, jako niepodzielone pomiędzy różne państwa kuli ziemskiej i z tej zasady mogące się zamieniać na własność prywatną wyrokiem ogółu.

„Otóż, podług prawa, nikt nie powinien mieszkać na terytorium, niemającym właściciela. Opierając się na wymienionem prawie, Stany Zjednoczone Ameryki postanowiły przeprowadzić do skutku sprzedaż owego terytorium.

„W Baltimore zawiązało się stowarzyszenie pod nazwą *North Polar Practical Association*, przedstawiające urzędownie związek amerykański. To stowarzyszenie zamierza nabyć wyżej wymienione kraje na mocy dokumentu, prawnie sporządzonego, który nada mu nieograniczone prawo własności nad lądami, wyspami, wysepkami, skałami, morzami, jeziorami, rzekami i strumieniami wszelkimi, z których się składa obecnie nieruchomość, leżąca na północy ziemskiej kuli, bez względu na to, czy owa nieruchomość pokrytą jest nietopniejącymi nigdy lodami, czy też ogołocona z nich za nadejściem ciepłej pory roku.

„Zaznacza się, że prawo nie może być unieważnione przedawnieniem, ani też jakiegokolwiek rodzaju zmianami, mogącemi zajść w położeniu geograficznem i meteorologicznem kuli ziemskiej.

„Podawszy to wszystko do wiadomości mieszkańców dwóch światów, wzywamy wszystkie mocarstwa do udziału w licytacji, która zawyrokuje na rzecz ostatniego i największą ofiarowującego sumę nabywcy.

„Termin licytacji jest oznaczony na trzeci grudnia roku bieżącego, w sali *Auctions* w Baltimore, Maryland, Stanach Zjednoczonych Ameryki.

„Po szczegółowsze objaśnienia zwracać się należy do Williama S. Forstera, agenta tymczasowego North Polar Association, 93, High-Street, Baltimore”

Że to ogłoszenie mogło wydać się nonsensem, nie przeczymy wcale. W każdym razie przyznać należy, że ze względu na jasność i wyraźne określenie rzeczy nie było mu nic do zarzucenia. Zaś czyniło niesłychanie poważnym to, że rząd związkowy robił już koncesje na podbiegunowe kraje na wypadek, gdyby licytacja zrobiła go ostatecznie ich posiadaczem.

Wogóle opinia ogółu była pod tym względem podzieloną. Jedni widzieli w tem tylko nadzwyczajny „humbug” amerykański, przechodzący granice bezczelności, gdyby głupota ludzka nie była nieskończoną. Drudzy zaś myśleli, że ta propozycja zasługuje na poważne przyjęcie. Ci właśnie zwracali uwagę ogółu na to, że nowe stowarzyszenie nie odwoływało się do worka publicznego. Ono pragnęło własnymi kapitałami nabyć kraje północne, nie roszcząc żadnych pretensyj do wyciągania dolarów, banknotów, złota i srebra z kieszeni łatwowiernych, dla napelnienia niemi swej kasy. Nie! Ono nie pragnęło nic nad to, tylko, żeby własnymi funduszami zakupić ogromną nieruchomość podbiegunową.

Ludziom liczącym się z groszem zdawało się, że wymienione Towarzystwo potrzebuje tylko złożyć w sądzie akt, zastrzegający jego prawa, jako pierwszego zaborcy, a następnie przystąpić do objęcia ziem, zamiast wystawiać je na sprzedaż przez licytację. Ale w tem właśnie była trudność największa, gdyż po dziś dzień przystęp do bieguna był niemożliwy, a przynajmniej za taki uchodził. Otóż na wypadek, gdyby Stany Zjednoczone zostały nabywcami tych ziem, koncesyoniści chcieli mieć kontrakt formalny, aby nikt w przyszłości nie zaprzeczył im praw nabytych. Niepodobna było mieć im za złe tej ostrożności. Postępowali przezornie; a przyjmując zobowiązania w sprawie tego rodzaju, nigdy zbyt ostrożnym być nie można.

Zresztą dokument zawierał klauzulę, zastrzegającą mu spokój na wypadek mogących zajść kwestyj. Ta klauzula różnie przez różnych była tłumaczoną, a właściwe jej znaczenie było niezrozumiałem dla najsztubniejszych umysłów. Była ona ostatnią i głosiła, że: „prawo własności nie mogło uleść przedawnieniu, nawet na wypadek zmian jakiegobądź rodzaju, mogących zajść w stanie geograficznym i meteorologicznym kuli ziemskiej.”

Co miał znaczyć ten ustęp? Względem jakich wypadków ubezpieczał się? W jaki sposób ziemia miała uleść zmianom, mającym związek ścisły z geografją i meteorologją, i dlaczego kraje wystawione na sprzedaż miały być w tem głównie interesowane?

– Coś w tem jest – mówili najprzezorniejsi, – widocznie coś w tem jest.

Tak więc ludzie mieli obszerne pole do domysłów, które potęgowały przenikliwość jednych, podniecając ciekawość drugich.

Gdy się to wszystko działo, jeden z filadelfijskich dzienników, „Ledger”, umieścił w swych szpaltach następujący artykuł:

„Przyszli nabywcy ziem podbiegunowych dowiedzieli się, prawdopodobnie skutkiem obrachowań matematycznych, że kometa jakaś o bardzo twardem jądrze ma uderzyć w tych czasach o ziemię, i to w takich warunkach, że to uderzenie spowodzi zmiany geograficzne i meteorologiczne, o których wspomina wymieniona klauzula”.

Frazes był cokolwiek dłuższy, niż przystoi być frazesowi, mającemu pretensję do naukowości, ale nie wyjaśniał nic a nic. Zresztą przypuszczenie owego spotkania z kometą nie mogło być brane na seryo przez poważne umysły. W każdym razie nie było prawdopodobnem, aby koncesyoniści zajmowali się tak dalece ewentualnością, opartą na samym przypuszczeniu.

– Czy czasem przypadkiem – mówiła „Delta” (dziennik wychodzący w Nowym Orleanie) – nowe Stowarzyszenie nie roi sobie, że ruch wsteczny przesilenia dnia z nocą sprowadzi zmiany korzystne dla eksploatawania wzmiankowanych krain?

– Czemużby nie, skoro ruch ten modyfikuje równoległość naszej sferoidy? – zauważył „Hamburger Correspondent”.

– W samej rzeczy – odpowiedział „Przegląd naukowy paryzki”. – Przecież Adhémarm w dziele swem „O wzburzeniach morza” wygłasza, że ruch wsteczny przesilenia, w połączeniu z wiekuistym obrotem osi ziemi, przebiegającej swą zwykłą drogę, byłby w możności sprowadzić zmiany w temperaturze średniej różnych punktów ziemi i w ilości lodów, nagromadzonych pod dwoma jej biegunami.

– To jeszcze nie jest rzeczą pewną – odpowiedział „Przegląd edyngburski”. – A gdyby nawet i tak było, potrzebowałyby dwunastu tysięcy lat, aby Vega została naszą gwiazdą polarną skutkiem wymienionego fenomenu, i aby położenie krajów podbiegunowych zmieniło się pod względem klimatycznym.

– Jeśli tak – zawyrokował kopenhagski „Dagblad”, – dopiero za dwanaście tysięcy lat będzie pora wyklądać na to przedsięwzięcie. Przed upływem tego czasu zaryzykować choć „koronę” byłoby niedorzecznością!

Wszelako, jeśli było możliwem, że „Przegląd naukowy” ma słuszność wraz z Adhémarem, było prawdopodobniejszem, że North Polar Practical Association nie na zmiany, mogące wyniknąć z wstecznego ruchu przesilenia, rachowało.

Jednym słowem nikt nie mógł odgadnąć, co znaczyła owa klauzula pamiętnego dokumentu i jakie zmiany przewidywała w świecie kosmicznym.

Aby się o tem dowiedzieć, może dostatecznym byłoby zwrócić się do Rady administracyjnej nowego Towarzystwa, a mianowicie do samego prezydenta. Ale ten prezydent nie był znany nikomu! Tak samo nieznanymi byli sekretarz i członkowie wzmiankowanej Rady. Nawet i tego nie wiedziano, od kogo pochodził dokument. Przyniósł go do biur New-York Herald niejaki William Forster z Baltimore, trudniący się odbieraniem transportów stokfisz na rachunek domu Andrinell and Com. z Nowej-Ziemi. Widocznie był to człowiek podstawiony. Równie niemy, jak produkty, złożone w jego magazynach, nie dał się wyciągnąć na słowo żadnemu z najciekawszych i najzręczniejszych reporterów. Tak więc owo North Polar Practical Association było tak dalece bezimienne, że ani jednego nazwiska nikt nie był w stanie wymieni. Było ono szczytem bezimienności.

Jednak, jeśli twórcy tej operacji przemysłowej uparcie okrywali się tajemnicą, zato cel ich był bardzo jasno i wyraźnie określony dokumentem, rozesłanym na wszystkie krańce dwóch półkul.

W istocie, dokument opiewał jasno i wyraźnie, że Stowarzyszenie pragnie nabyć na własność część krajów północnych, odgraniczoną opisującym koło ośmdziesiątym czwartym stopniem szerokości, którego punkt środkowy zajmuje biegun północny.

Zresztą, nic nad to prawdziwszego, że ci z nowożytnych podróżników, którzy dotarli najbliżej do tego niedostępnego punktu, Parry, Markham, Lockwood i Brainard, nie zdołali przejść poza wymieniony równoleżnik. Co zaś do innych żeglarzy, którzy robili wycieczki na morza północy, zatrzymywali się oni na szerokościach geograficznych znacznie niższych, jak na przykład: Payez w 1874, przy 82°15', na północy ziemi Franciszka-Józefa i Nowej-Ziemi; Leout w 1870, przy 72°47', niżej Syberyi; De Long, należący do wyprawy Janiny w 1879, przy 78°45', w okolicy wysp które noszą jego nazwisko. Inni, którzy przepłynęli poza Nową-Syberyę i Grenlandję, na wysokości przylądka Bismarka, nie przekroczyli nawet siedmdziesiątego szóstego, siedmdziesiątego siódmego i siedmdziesiątego ósmego stopnia szerokości geograficznej. Otóż, zostawiając pewną przestrzeń wolną pomiędzy punktem np. 83°35', do którego dotarł Lockwood i Brainard, i ośmdziesiątym czwartym równoleżnikiem,

przez dokument wskazanym, North Polar Practical Association nie wdzierало się w obręb odkryć poprzednich. Jego projekt obejmował jedynie ziemię w całym znaczeniu tego słowa dziewiczą, ziemię, której nie dotknęła jeszcze ludzka stopa.

Oto jaki jest obszar tej części kuli ziemskiej, opasany ósmdziesiątym czwartym równoleżnikiem:

Od 84° do 90° jest sześć stopni, które, licząc każdy po sześćdziesiąt tysięcy, tworzą promień trzystu sześćdziesięciu mil i średnicę siedmuset dwudziestu mil. Obwód więc ma dwa tysiące dwieście sześćdziesiąt mil, a powierzchnia czterysta siedm tysięcy mil kwadratowych.

Była to więc prawie dziesiąta część Europy, nielada obszar gruntu.

Dokument, jakieśmy to widzieli, kładł nacisk na to, że te kraje, nieznanе dotąd geograficznie, nienależące do nikogo, tem samem należały do całego świata. Że większa część mocarstw nie pomyślałaby dochodzić praw swych do owych krajów, było to rzeczą możliwą. Ale należało przewidywać, że państwa ościenne – w każdym razie – zechcą uważać je jako przedłużenie ich posiadłości od strony północy i skutkiem tego upomną się o swe prawa własności. A przytem pretensje ich tembardziej byłyby usprawiedliwione, że odkrycia, dokonane w masie krain północnych, były wyłącznie owocem trudów i nieustraszonej odwagi ich rodaków. To też rząd związkowy, przedstawiany przez nowe Stowarzyszenie, wzywał ich do wykazania swych praw i zamierzał powetować ich stratę ceną, uiszczoną za kupno. Zresztą, bądź-co-bądź, stronnicy North Polar Practical Association powtarzali nieustannie: własność jest niepodzielną, a skoro nikt nie może być zmuszonym do mieszkania w ziemi, w której nie było działu, nikt również nie ma prawa sprzeciwić się licytacji tych wielkich przestrzeni.

Państwa ościenne, których prawa były stanowczo niezaprzeczone, były w liczbie sześciu: Ameryka, Anglia, Dania, Szwecya z Norwegią, Holandya i Rosya. Inne państwa mogły rościć pretensje tylko na zasadzie odkryć, dokonanych przez ich żeglarzy i podróżników.

I tak: Francya mogłaby wystąpić z prawami z racyi, że kilku jej synów brało udział w wyprawach, których celem było zdobycie krajów podbiegunowych. Mogła wymienić między innymi tego odważnego Bellota, zmarłego w 1853 r., w okolicach wyspy Beechey, w czasie wyprawy „Feniksa”, wysłanego na poszukiwania Johna Franklina. A czy podobna zapomnieć doktora Oktawiusza Parry, zmarłego w 1884 r. koło przylądka Sabine, podczas pobytu misji Greely w fortecy Conger? A wyprawa 1838 roku, która zagnała aż do mórz Spitzbergu Karola Martin, Marmiera, Bravais'go i ich śmiałych towarzyszy – czyż nie byłoby raziącą niesprawiedliwością pominąć ją milczeniem? Mimo to wszystko, Francya nie uznała za właściwe mieszać się do tego przedsięwzięcia, bardziej przemysłowego, niż naukowego, i zrzekła się swej części przysmaku, na zjedzeniu którego inne mocarstwa mogły sobie zęby połamać. Być może, że miała rację i postąpiła słusznie.

To samo było z Niemcami. Miały one na swych aktywach, zacząwszy od roku 1671, wyprawę hamburczyka Fryderyka Martensa do Spitzbergu, a w roku 1869–70 wyprawy „Germanii” i „Hanzy” pod dowództwem Kolderveya i Hegemana, którzy dotarli aż do przylądka Bismarka, okrążywszy wybrzeża Grenlandyi. Pomimo jednak przeszłości, zaznaczonej tak znakomitemi odkryciami, niemcy nie pragnęli zwiększać swych posiadłości przyłączeniem części północnego bieguna.

Tak samo było i z Austro-Węgrami, aczkolwiek te już były w posiadaniu ziem Franciszka-Józefa, położonych na północ wybrzeży syberyjskich.

Co zaś do Włoch, nie mając żadnych danych do wystąpienia z swemi prawami, nie wystąpiły – co niejednemu wyda się zupełnie nieprawdopodobnem.

Byli jeszcze samojedzi z azyatyckiej Syberyi, eskimosi, rozproszeni głównie na ziemiach północnej Ameryki, mieszkańcy Grenlandyi, Labradoru, Archipelagu Baffin, Parry, wysp

Aleuckich, ugrupowanych pomiędzy Azyą i Ameryką, na koniec tak nazwani czukcy, zamieszkujący półwysep Alaska, stanowiący własność amerykańską od roku 1867. Ale te plemiona, istotni krajowcy, niezaprzeczenie najdawniejsi mieszkańcy pasów północnych, nie byli godni mieć głosu w tej kwestyi. A potem, w jaki sposób ci biedacy mieli brać udział w licytacji, wywołanej przez North Polar Practical Association? Czem zapłaciliby sumę oznaczoną, chociażby ona była jaknajlichszą? Muszlami, zębami morskich koni, lub olejem z cieląt morskich? A jednak mieli oni niejakię prawa, jako pierwotni mieszkańcy, do tych obszarów, mających być wystawionemi na sprzedaż. Ale ktoby tam zważał na jakichś eskimosów, czukczów lub samojedów!... nie spytał nawet nikt o nich.

Tak się to w świecie dzieje!

ROZDZIAŁ II

W którym delegaci angielski, holenderski, szwedzki, duński i rosyjski mają zaszczyt przedstawić się czytelnikowi.

Wiadomy dokument zasługiwał na odpowiedź. W istocie, jeśliby nowe Stowarzyszenie nabyło kraje podbiegunowe, kraje te stałyby się koniec końcem własnością Ameryki, a raczej Stanów Zjednoczonych, których związek, pełen sił żywotnych, dąży nieustannie do wzrostu i potęgi. Już kilka lat temu ustępstwo ziem północno-zachodnich, poczynając od północnych Kordyliarów do cieśniny Behringa, zrobione przez Rosję na rzecz Stanów Zjednoczonych, zwiększyło je o piękny kęs ziemi. Można więc było przypuszczać, że inne mocarstwa nie będą patrzeć przychylnym okiem na to przyłączenie krain północnych do rzeczypospolitej skonfederowanej.

Wszakże, jakeśmy to już wyżej powiedzieli, rozmaite państwa Europy i Azji, niegraniczące z zakwestyonowanymi krainami, odmówiły swego współdziałania w tej szczególnej licytacji, której wynik wydawał się im arcy wątpliwym. Jedynie mocarstwa, których krańce zbliżone były do ósmdziesiątego czwartego równoleżnika, postanowiły zaznaczyć swe prawa przez wdanie się wysłanych na cel delegatów urzędowych. Zresztą, jak zobaczymy w dalszym ciągu, mocarstwa te nie miały zamiaru łożyć na to kupno zbyt wielkich sum, gdyż objęcie go w posiadanie możeby się okazało niemożliwym. Jedną tylko Anglia, nigdy nienasycona, otworzyła upoważnionemu przez siebie do działania agentowi znaczny kredyt. Nie omieszkajmy dodać, że nabycie krajów podbiegunowych nie zagrażało bynajmniej równowadze europejskiej i nie mogło spowodować jakichkolwiek zakłóceń międzynarodowych. Pan Bismarck, wielki kanclerz pruski, żył jeszcze w owej epoce i nie zmarszczył nawet swych gęstych brwi Jowiszowych na wieść o tej całej sprawie.

W sprzeczności z interesem Stanów Zjednoczonych stawały do licytacji za pośrednictwem taksującego komornika w Baltimore – Dania, Szwecja z Norwegią, Holandia, Rosja i wspomniana już Anglia. Najwięcej dający miał dostać w posiadanie tę łupinę lodową bieguna, której wartość w ocenieniu kupieckim była co najmniej zagadkową.

Wymienimy powody, dla których powyższe państwa europejskie pragnęły, aby licytacja wypadła na ich korzyść.

Szwecja, będąc wraz z Norwegią posiadaczką przyłądka Północnego, położonego poza siedmdziesiątym równoleżnikiem, nie kryła się wcale z swymi pretensjami do obszernych przestrzeni, rozciągających się aż do Spitzbergu, a nawet i dalej, do samego bieguna. I w istocie, czyż norweczyk Kheilhau i znakomity szwed Nordenskiöld nie przyczynili się do postępu geografii w tych stronach? Nikt temu zaprzeczyć się nie poważy.

Dania mówiła ze swej strony, że, będąc już panią Islandyi i wysp Feroe, będących już prawie na linii koła biegunowego, posiadając osady najbardziej na północ posunięte, takie, jak wyspa Disko w cieśninie Davis, osady Holsteinburg, Proven, Godhavn, Upernavik w morzu Baffińskim i na wybrzeżu zachodnim Grenlandyi, miała poważne prawo do zakupienia krajów północnych. Przytem sławny żeglarz Behring, rodem duńczyk, przepłynął w roku 1728 cieśninę, która nosi jego imię, a w trzynastu lat potem zginął marnie na brzegach wyspy tegoż nazwiska wraz z trzydziestu ludźmi, którzy tworzyli jego załogę. Na wiele lat

przed tem, w roku 1619, żeglarz Jan Munk zwiedził wschodnie wybrzeża Grenlandyi, odkrywając kilka miejscowości, zupełnie przed nim nieznanych.

Co zaś do Holandyi, dwóch jej marynarzy, Bareutz i Heemskerck, zwiedzili Spitzberg i Nową-Ziemię w końcu XVI wieku. Jednego z jej dzielnych synów, Jana Mayen, śmiała w 1611 roku wycieczka na północ przyniosła w korzyści jego ojczyźnie wyspę tegoż nazwiska, położoną poza siedmdziesiątym pierwszym stopniem szerokości geograficznej. Jak widzimy, przeszłość Holandyi była niejako zobowiązaniem na przyszłość.

Co zaś do rosyjan, ci z Aleksym Czirikowem na czele i Behringiem, pod jego rozkazami, posunęli się aż poza granice morza Lodowatego. Kapitan Marcin Spanberg i porucznik William Walton, należący do tej wyprawy, puszczając się w te nieznanne okolice, przyczynili się wielce do poszukiwań, robionych nawskróś cieśniny, która dzieli Azyę od Ameryki. A przytem samo położenie obszarów sybirskich, rozciągających się na stu dwudziestu stopniach szerokości, aż do krańcowych granic Kamczatki, wzdłuż wybrzeży azyatyckich, na których żyją samojedzi, jakuci, czukcy i inne ludy, będące pod władzą Rosyi, sprawia, że ona panuje co najmniej nad połową Północnego oceanu. Przytem posiada na siedmdziesiątym piątym równoleżniku, może w odległości dziewięciuset mil od bieguna, wyspy i wysepki Nowej Syberyi, odkryte na początku XVIII wieku. Nakoniec w roku 1764, uprzedzając anglików, amerykańców i szwedów, żeglarz Cziczagow szukał przejścia na północy, chcąc skrócić drogę pomiędzy dwoma lądami.

Jednak, obrachowawszy wszystko ściśle, zdawałoby się, że najwięcej interesowanymi w nabyciu tego niedostępnego punktu kuli ziemskiej byli amerykanie. Oni również nieraz usiłowali dostać się tam, narażając życie przy poszukiwaniach Franklina, wraz z Grinnem Kane, Hayesem, Greelym De Long i innymi śmiałymi żeglarzami. Oni także mogli rościć pretensje na zasadzie położenia geograficznego ich kraju, rozciągającego się aż poza koło biegunowe, zacząwszy od cieśniny Behringa, aż po zatokę Hudson.

Wszystkie te ziemie, wszystkie te wyspy: Wollaston, Księżę Albert, Wiktorya, Król Wilhelm, Melville, Cockburne, Bauks, Baffin, nie licząc tysiąca wysepki tego archipelagu, były jakby przedłużeniem ich posiadłości, łączącym ich z dziewięćdziesiątym stopniem. A przytem, jeśli biegun północny wiąże się z lądem nieprzerwanym ciągiem ziem, ziemie te zdają się być prędzej przedłużeniem Ameryki, niż Azji lub Europy.

Nic nad to naturalniejszego, że propozycja kupna była zrobiona przez rząd związkowy na rzecz amerykańskiego stowarzyszenia; a jeśli które z mocarstw miało niewątpliwe prawa do posiadania krajów podbiegunowych, to stanowczo były niemi Stany Zjednoczone Ameryki.

Przyznać wszakże należy, że państwo Wielkiej Brytanii, posiadające Kanadę i Kolumbię angielską, którego liczni marynarze odznaczyli się w wycieczkach na północ, nie bez pewnej gruntownej podstawy pragnęło przyłączyć tę część kuli ziemskiej do swego obszernego kolonialnego państwa. Dzienniki angielskie rozprawiły o tej kwestyi długo i zapamiętały:

„Tak! zapewne – mówił wielki angielski geograf Kliptringan w artykule *Timesa*, który niesłychane zrobił wrażenie, – tak! szwedzi, duńczycy, holendrzy, rosyjanie i amerykanie mogą się, jeśli im to dogadza, popisywać swemi prawami. Ale Anglia nie może bez ujemy honoru narodowego zezwolić, by kto inny posiadał te kraje. Czyż północna część nowego lądu nie należy już do niej? Ziemie wyspy, które ją składają, czyż nie przez jej własnych podróżników odkryte zostały?... zacząwszy od Willonghiego, który zwiedził Spitzberg i Nową Ziemię w 1739 r., a skończywszy na dzielnym Mac-Clure, którego okręt opłynął w 1853 r. północno-zachodnie wybrzeże?”

„A potem – wygłosił *Standard* piórem admirała Fizé, – czyż Frobisher, Davis, Hall, Weymouth, Hudson, Baffin, Cook, Ross, Parry, Bechey, Belcher, Franklin, Mulgrave, Scoresby, Mac Clintock, Kennedy, Nares, Collinson, Archer, nie byli pochodzenia anglo-saksońskiego? Jakiż kraj może mieć większe prawo do tych obszarów

podbiegunowych, jeśli nie ojczyzna tych dzielnych żeglarzy, którzy tyle trudów łożyli, żeby się do nich dostać?”

„Niech i tak będzie – odpowiedział *Kuryer* z San-Diego (w Kalifornii), – postawmy sprawę tę na właściwym gruncie, a ponieważ tu najwidoczniej Stany Zjednoczone z Anglią idą o lepsze, my powiemy: że jeśli Anglik Markham, należący do wyprawy Naresa, dotarł do 83°20' szerokości północnej, Amerykanie Lockwood i Brainard, biorący udział w wyprawie Greely'ego, posunęli się wyżej cokolwiek i zatknęli flagę, ozdobioną trzydziestu ośmiu gwiazdami Stanów Zjednoczonych, na 83°35'. Im więc należy zaszczyt dotarcia do pasów najwięcej do bieguna zbliżonych”.

Oto jakiego rodzaju była polemika dzienników przeciwnych stronnictw.

Do wyliczonej seryi podróżników, którzy puszczały się w okolice bieguna, wypada nam dodać Wenecyanina Cabot (1498) i Portugalczyka Cortereal (1500), którzy odkryli Grenlandię i Labrador. Wszakże ani Włochy ani Portugalia nie zamierzały brać udziału w projektowanej licytacji i nie troszczyły się o to, kto z niej będzie korzystał.

Łatwo było przewidzieć, że walka ostatecznie będzie prowadzona zapamiętane tylko przez dolary i funty-szterlingi, to jest przez Amerykę i Anglię.

Jednakże, na wniosek, zrobiony przez North Polar Practical Association, państwa, graniczące z pasami północnymi, porozumiały się z sobą za pośrednictwem kongresów handlowych i naukowych. Po krótkich debatach postanowiono stanąć na licytacji, oznaczonej na dzień trzeci grudnia w Baltimore, wyznaczając upoważnionym delegatom kredyt na odpowiednią kwotę, której przekroczyć nie mieli prawa. Suma, podjęta ze sprzedaży, miała być rozdzieloną pomiędzy pięć państw pozostałych, jako wynagrodzenie za zrzeczenie się wszelkich praw do owych krajów.

Wszystko to nie obeszło się bez sporów, ale ostatecznie sprawa się ułożyła. Państwa zainteresowane zgodziły się, aby licytacja odbyła się w Baltimore, tak jak tego żądał rząd związkowy. Delegaci, zaopatrzeni w listy wierzytelne, opuścili Londyn, Hagę, Stockholm, Kopenhagę i Petersburg, i przybyli do Stanów Zjednoczonych na trzy tygodnie przed dniem, przeznaczonym na licytację.

W owym czasie jeszcze Ameryka była reprezentowaną jedynie przez znanego już pełnomocnika North Polar Practical Association, Williama Forstera, którego nazwisko figurowało na dokumencie z 7 listopada, wydrukowanym przez *New-York Herald'a*.

Co zaś do delegatów mocarstw europejskich, przedstawimy ich czytelnikom, starając się scharakteryzować każdego potrosze.

Najprzód tedy delegat, przybyły z Holandii: Jakób Jansen, były radca stanu, lat pięćdziesiąt trzy, gruby, krótki, pleczysty, o krótkich ramionach i nogach kabłąkowatych, z niebieskimi okularami na nosie, twarzą okrągłą i mocno czerwoną, stojącą jak szczotka czupryną i faworytami siwiejącymi, poczciwy człowieczyna, zapatrujący się cokolwiek sceptycznie na przedsiębiorstwo, którego praktycznych celów nie mógł dopatrzeć.

Delegat duński, Eryk Baldenak, ex wice-gubernator posiadłości grenlandzkich, wzrostu średniego, o krzywej łopatce, wydatnym brzuchu, ogromnej i źle przymocowanej do karku głowie, o wzroku tak krótkim, że miał nos starty od wodzenia nim po książkach i papierach, niepozwalający nikomu przyjść do słowa, gdy tylko była mowa o prawach jego kraju, który uważał za legalnego właściciela okolic podbiegunowych.

Przedstawicielem Szwecji był Jan Harald, profesor kosmografii w Chrystyanii, który był jednym z najzapaleńszych stronników wyprawy Nordenskiöld, prawdziwy typ człowieka północy, o twarzy czerwonej, brodzie i włosach koloru dojrzałego zboża, mający za rzecz pewną, że przestrzenie, będąc zalane morzem, nie miały żadnej wartości. Zupełnie zatem nieinteresowany w tej kwestyi, stawiał się na zjeździe reprezentantów mocarstw li tylko w imię zasad.

Pełnomocnik rosyjski, pułkownik Borys Karkow, napół dyplomata, napół wojskowy, słusznego wzrostu, sztywny, o sutej brodzie i wąsach, wydawał się nieswój w swym ubraniu cywilnym, szukając bezwiednie rękojeści szpady, którą kiedyś nosił, zaitrygowany mocno projektem North Polar Practical Association i mogącymi z niego wyniknąć zawikłaniami międzynarodowemi.

Przedstawiający Anglię major Donellan i sekretarz jego Dean Toodrink. Ci dwaj gentelmeni byli wcieleniem wszystkich apetytów, wszystkich aspiracyj Wielkiej Brytanii, jej instynktów handlowych i przemysłowych, jej skłonności uważania za swą z prawa natury własność wszelkich ziem północnych, południowych i równikowych, nieposiadających legalnego właściciela.

Major Donellan, pyszny typ anglika, wielki, chudy, kościsty, muskularny, śpiczasty, z ptasią szyją, głową a la Palmerston na uciekających ramionach, z nogami długimi jak u czapli, bardzo jeszcze czerstwy mimo sześćdziesiątki, niestrudzony, jak tego złożył dowody, pracując przy rozgraniczaniu Indyj z Birmanią. Nikt go nie widział śmiejącego się. Kto wie, może nie śmiał się nigdy w swym życiu. Bo i po co?... Czyż widział kto kiedy śmiejącą się lokomotywę, parowiec lub maszynę elewacyjną?

W tym ostatnim względzie major różnił się najzupełniej od swego sekretarza Deana Toodrinka. Dean był mowny, żartobliwy, miał dużą głowę, kręcące się włosy na skroniach, oczki małe, zmrużone. Rodem szkot, był znany w swej ojczyźnie tak ze swych krotochwilnych żarcików, jak z upodobania do wykrętów. Z tem całym wszakże ożywieniem okazywał się równie stronnym, zawziętym i nieubłaganym jak major Donellan, gdy szło o prawa i pretensje słuszne i niesłuszne Wielkiej Brytanii.

Ci dwaj delegaci byli oczywiście najzajadlejszymi przeciwnikami amerykańskiego stowarzyszenia. Podług nich, biegun północny był ich własnością: do nich należał od czasów przedhistorycznych; im, to jest anglikom, powierzył Stwórca nadzór nad obrotem ziemi wkoło osi, – to też potrafia oni wywiązać się z swego posłannictwa i nie dopuszczają, by ono miało przejść w obce, niepowołane ręce.

Wypada nam zawiadomić czytelników, że chociaż Francya nie uznała za właściwe wysłać na ten zjazd swego urzędowego delegata, to jednak pewien inżynier francuz przybył „z miłości dla sztuki”, by się przyjrzeć zblizka tej interesującej sprawie. Ukaże się on we właściwym czasie i miejscu.

Owóż tedy reprezentanci północnych państw europejskich przybyli do Baltimore, każdy innym statkiem, obawiając się wzajemnych wpływów i pamiętając o tem, że są rywalami. Każdy z nich był zaopatrzony w kredyt, niezbędny do prowadzenia walki. Ale musimy wyznać przy tej sposobności, że nie mieli oni walczyć jednakową bronią. Jeden rozporządził nie całym milionem, drugi sumą znacznie większą. I prawdę powiedziawszy, za nabycie części naszej sferoidy, do której przystęp wydawał się całkiem niemożliwy, każda suma zdawałaby się zawysoką. Najlepiej pod tym względem uposażonym był delegat angielski, któremu królestwo Wielkiej Brytanii otworzyło znaczny kredyt. Dzięki temu kredytowi major Donellan nie obawiał się walki ze swymi współzawodnikami – szwedem, duńczykiem, holendrem i rosyjaninem. Co zaś do Ameryki, inaczej się rzeczy miały i niełatwo można było zwalczyć ją, a raczej jej dolary. I w istocie, było bardzo prawdopodobnem, że tajemnicze stowarzyszenie ma znaczne fundusze w zapasie. Więc ostatecznie walka na miliony umiejscowi się, podług wszelkiego prawdopodobieństwa, pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Wielką Brytanią.

Wraz z wylądowaniem europejskich delegatów opinia publiczna zaczęła się roznamietniać coraz bardziej. Najosobliwsze wieści obiegały dzienniki. Najdziwaczniejsze przypuszczenia robiono w kwestyi zamierzonego nabycia bieguna północnego. W jaki sposób chciano go zużytkować? W żaden – bo i do czego mogły się przydać nieprzejrzane lodowiska

starego i nowego świata? Kto byłby w możności przejść poza osmdziesiąty czwarty równoleżnik? Najkomiczniejsze domysły o celach tego przedsięwzięcia wygłaszał paryzki dziennik *Figaro*.

Wszakże delegaci, którzy unikali się wzajemnie w czasie podróży przez ocean, zaczęli zbliżać się do siebie po przybyciu do Baltimore.

Oto dla jakich przyczyn:

W początkach każdy z nich na własną rękę i w tajemnicy przed drugimi starał się zawiązać stosunki z North Polar Practical Association. Każdy pragnął dowiedzieć się – by w danym wypadku skorzystać z tego – jakie są cele tego przedsięwzięcia i jakie korzyści stowarzyszenie spodziewało się z niego osiągnąć. Otóż nie znaleźli oni nawet śladów istnienia jakiegoś miejsca, gdzieby się zgromadzali członkowie tego stowarzyszenia w Baltimore. Ani śladu biur jakichkolwiek, ani śladu pracujących w nich urzędników. Po bliższe informacje odsyłano ich do Williama Forstera, mieszkającego na High-Street, a tymczasem ten wielce szanowny agent składów stokfiszów tyleż, zdawało się, wiedział w tej kwestyi, ile pierwszy lepszy posłaniec miejski.

Tak więc delegaci niczego zgoła dowiedzieć się nie mogli. Musieli zadowolić się domysłami, mniej lub więcej nedorzecznymi, które puszczała w kurs publiczność. Tajemnica stowarzyszenia miała więc pozostać nieprzeniknioną dopóty, dopóki jemu samemu nie przyjdzie chęćka podnieść kryjącą ją zasłonę. Niejeden łamał sobie nad tem głowę, a każdy przyszedł do wniosku, że stowarzyszenie objawi swoje cele nie prędzej, aż się stanie posiadaczem podbiegunowych przestrzeni.

Z tego wszystkiego wynikło to, że delegaci zbliżyli się do siebie, złożyli sobie wizyty, starali się wybadać wzajemnie i ostatecznie zawiązali stosunki – być może w celu utworzenia związku przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi, noszącemu nazwę amerykańskiego stowarzyszenia.

Pewnego wieczoru, a było to w dniu 22 listopada, zebrali się na naradę do hotelu Wolesley, w apartamencie zajmowanym przez majora Donellan i jego sekretarza Deana Toodrink. Dążność ta do wzajemnego porozumienia się była owocem zręcznych usiłowań jednego z delegatów, nader biegłego dyplomaty.

W początkach rozmowa zawiązała się na temat celów, a raczej korzyści handlowych lub przemysłowych, które stowarzyszenie projektowało wyciągnąć z nabycia ziem północnych. Profesor Jan Harald zagaił posiedzenie zapytaniem, czy który z jego kolegów nie zdołał powziąć jakiej wiadomości w tym względzie. Wszyscy, jeden po drugim, zeznali, że usiłowali wybadać Williama S. Forstera, do którego, podług ogłoszenia, należało zwracać się po wszelkie objaśnienia.

– Nie powiodło mi się – powiedział Eryk Baldenak.

– Mnie również – dodał Jakób Jansen.

– Co do mnie – zabrał z kolei głos Dean Toodrink, – gdy się przedstawiłem w imieniu majora Donellan w magazynach na High-Street, znalazłem się oko w oko z grubasem czarno odzianym, w wysokim kapeluszu i udrapowanym w biały fartuch, okrywający go od stóp do głowy. Gdy go poprosiłem o informacje co do interesu, odpowiedział mi, że okręt „South-Star” przybył właśnie z Nowej Ziemi z odpowiednim ładunkiem i że może mi służyć całym transportem świeżych stokfiszów na rachunek domu Ardrinell and Com.

– Eh! eh! – przerwał stary radca Indyj, zawsze cokolwiek sceptyczny – lepiej byłoby zakupić cały ładunek stokfiszów, znajdujący się na okręcie „South-Star”, niż rzucić pieniądze w głębie Oceanu Lodowatego.

– Nie o to rzecz idzie – rzekł na to major Donellan tonem wyniosłym i zwięzłym. – Nie mówimy tu o transporcie stokfiszów, ale o krajach podbiegunowych.

– Które Ameryka z chęcią włożyłaby do swojej kieszeni! – dodał Dean Toodrink, śmiejąc się z własnego dowcipu.

– Naraziłoby ją to na zakatarzenie – zawyrokował dowcipnie jeden z delegatów.

– Nie o to rzecz idzie – powtórzył raz jeszcze major Donellan, – i doprawdy nie rozumiem, co przewidywanie kataru lub zaziębienia ma wspólnego z naszą konferencją. Jest rzeczą pewną i niezaprzeczoną, że dla tej lub innej przyczyny Ameryka, reprezentowana przez North Polar Practical Association... zauważcie to słowo „practical”, panowie... otóż Ameryka chce nabyć przestrzeń czterechkroć siedmiu tysięcy mil kwadratowych, leżącą wokoło północnego bieguna, przestrzeń, określoną istotnie... zauważcie to słowo „istotnie”, panowie... przez ósmdziesiąty czwarty stopień szerokości północnej...

– Wiemy to, majorze Donellan – odpowiedział Jan Harald, – wiemy to dobrze; ale natomiast nie wiemy, w jaki sposób rzeczony stowarzyszenie zamierza wyzyskiwać te ziemie (jeżeli są to ziemie) lub te morza (jeżeli są to morza) dla celów przemysłowych...

– Nie w tem leży pytanie – wygłosił po raz trzeci major Donellan. – Pewne państwo życzy przywłaszczyć sobie za stosowną pieniężną opłatą część kuli ziemskiej, która to część przez swe geograficzne położenie, zdaje się, należy wyłącznie do Anglii...

– Do Rosyi – rzekł pułkownik Karkow.

– Do Holandyi – rzekł Jakób Jansen.

– Do Szwecyi i Norwegii – rzekł Jan Harald.

– Do Danii – rzekł Eryk Baldenak.

Wszyscy delegaci przybrali postawę kogutów, gotujących się do walki, i przez chwilę należało się obawiać, że rozmowa przybierze obrót groźny dla zgodnego porozumienia się, gdy Dean Toodrink począł dyplomatycznie łagodzić:

– Moi panowie – rzekł tonem pojednawczym, – nie o to rzecz idzie, jak mówi mój szanowny zwierzchnik, major Donellan. Ponieważ w zasadzie zostało postanowione, że strefy podbiegunowe będą wystawione na sprzedaż przez licytację, otóż mają się one dostać temu z państw, przez was reprezentowanych, które zaofiaruje na ten cel najwyższą sumę. Ponieważ tedy Szwecya z Norwega, Rosya, Dania, Holandya i Anglia otwarły kredyt swym delegatom, czyż nie lepiejby było, gdyby ci delegaci utworzyli rodzaj syndykatu, coby ich postawiło w możności rozrządzania sumą takiej wysokości, aby stowarzyszenie amerykańskie nie poważyło się z nimi stanąć do walki?

Delegaci spojrzeli po sobie. Ten Dean Toodrink wpadł, zdaje się, na dobry pomysł. Syndykat... W naszych czasach wyraz ten jest bardzo na dobie. Ludzie tak są przyzwyczajeni zawiązywać stowarzyszenia tego rodzaju, jak oddychać, jeść, pić, spać. Nic nad to więcej modnego, tak w polityce, jak i w interesach zwyczajnych.

Wszakże, ponieważ na propozycję wypadało zrobić jakikolwiek zarzut, a raczej żądać wyjaśnienia, Jakób Jansen stał się tłumaczem uczuć swych kolegów, wypowiadając następane zapytanie:

– A potem?

– Tak!... Co ma się stać po skutecznieniu kupna przez syndykat?

– Ależ, zdaje mi się, że Anglia!... – rzekł major ostro.

– I Rosya!... – rzekł pułkownik, którego brwi groźnie się nastroszyły.

– I Holandya!... – wygłosił radca.

– Skoro Bóg dał Danię duńczykom... – zauważył Eryk Baldenak.

– Bardzo przepraszam – zawołał Dean Toodrink, – jeden tylko kraj był dany przez samego Boga! To była Szkocya, szkotom.

– A to co znowu?... – spytał delegat szwedzki.

– Czyż poeta nie powiedział: „*Deus nobis Scotiam fecit?*” – odparł żartowniś, tłumacząc dowolnie *haec otia* z szóstego wiersza pierwszej sielanki Wirgiliusza.

Wszyscy parsknęli śmiechem, z wyjątkiem majora Donellana – i spór, przybierający niepokojący obrót, po raz drugi został zażegnany.

Dean Toodrink powiedział:

– Nie sprzeczkajmy się, panowie... Bo i po co?... Utwórzmy lepiej nasz syndykat.

– A następnie?... – spytał Jan Harald.

– Następnie? – odpowiedział Dean Toodrink, – Nic nad to prościejszego, panowie, Skoro się staniecie posiadaczami własności podbiegunowej, pozostanie ona albo waszym wspólnym, niepodzielnym majątkiem, albo też za pewną umówioną sumę odstąpicie ją jednemu z państw interesowanych. Tym sposobem, co najważniejsze, cel główny zostanie osiągnięty, a tym jest właśnie wyrugowanie stanowcze przedstawicieli Ameryki!

Propozycja ta miała swoją dobrą stronę – przynajmniej w obecnej chwili, – gdyż w przyszłości, i to bardzo niedalekiej, można było przypuścić, że się delegaci chwycą wzajemnie za czuby (czy tylko natura uposażyła ich odpowiednio pod tym względem?), gdy przyjdzie wybierać ostatecznego nabywcę tej nieruchomości, o którą tak się dobijano, pomimo że zupełnie nieużyteczną była. Przeprowadzeniem do skutku tej propozycji wyłączano – jak to sprytnie zaznaczył Dean Toodrink – Stany Zjednoczone najzupełniej z konkursu.

– To mi dopiero rozumna myśl! – rzekł Eryk Baldenak.

– I dyplomatyczna – rzekł pułkownik Karkow.

– Dowcipna – zawyrokował Jan Harald.

– Przebiegła – rzekł Jakób Jansen.

– To pomysł prawdziwie angielski – wygłosił major Donellan.

Każdy z nich rzucił słówko, ciesząc się nadzieją, że w przyszłości wyprowadzi w pole szanownych kolegów.

– Tak więc, moi panowie – przemówił Borys Karkow, – porozumieliśmy się; i jeżeli utworzymy syndykat, prawa każdego państwa będą zastrzeżone na przyszłość?...

Wszyscy skinęli potakująco.

Pozostało teraz dowiedzieć się, jakiej doniosłości kredyt państwa otwarty swym delegatom. Prawdopodobnie kredyt wszystkich państw razem przewyższy fundusze, będące w posiadaniu North Polar Practical Association?

Pytanie to zadał Dean Toodrink.

Wbrew oczekiwaniu głucho milczenie zaległo salę posiedzenia. Nikt nie chciał odpowiadać. Ukazać ciekawym zawartość portmonetki, wypróżnić kieszenie na korzyść kasy syndykatu, objawić naprzód wszystkim, do wysokości jakiej sumy jest się w możności prowadzić licytację – nikomu nie było pilno. A jeśliby jakieś nieporozumienie zaszło pomiędzy stowarzyszonymi, tworzącymi syndykat?... A jeżeli okoliczności zmuszą ich wziąć udział w walce każdemu za własną sprawę i na własną rękę?... A jeśli przypadkiem dyplomata Karkow niezadowolony będzie z wybiegów Jakóba Jansena, a ten ostatni oburzy się na podstępne knowania Eryka Baldenaka, ten znów będzie podrażniony sarkazmami Jana Haraldza, zaś Harald ze swej strony nie zechce tolerować pretensjonalnej wyniosłości majora Donellana, który znowu nie zaniedba knować intryg przeciw wszystkim swym kolegom? Jednym słowem – objawić swój kredyt jest to pokazać karty wtedy, kiedy polityka nakazywała im zachowywać się jak chorym w ostatnim stopniu suchot.

Prawdę powiedziawszy, były tylko dwa sposoby odpowiedzi na słuszne ale niedyskretne pytanie Deana Toodrinka: Albo błagować i przesadzić ilość kredytu

posiadanego, coby mogło się stać kłopotliwym, gdyby przyszło do wypłaty, – albo zmniejszyć ją do możliwego minimum, tak, żeby odpowiedź obrócić w żart, a całą propozycję w niwecz.

Myśl tę powziął najprzód ex-radca Indyj, który, jak wiemy, był dość krotchwilnego usposobienia, a koledzy poszli w jego ślady.

– Panowie – przemówiła Holandia głosem swego przedstawiciela, – załuję mocno, ale na cel nabycia krajów północnych mam do rozporządzenia tylko pięćdziesiąt rixdalerów.

– Ja rozporządzam tylko trzydziestu pięciu rublami – wyrzekła Rosya.

– Ja dwudziestu kronorami – przemówiła Szwecya z Norwegią.

– Ja zaś nie posiadam więcej nad piętnaście koron – rzekła Dania.

– A więc – rzekł major Donellan tonem, w którym uwydatniała się cała pogardliwa wyniosłość, cechująca Wielką Brytanię, – a więc strefy północne staną się waszą własnością, panowie, gdyż Anglia nie może za nie ofiarować więcej nad jednego szylinga i sześć pensów.

Na tem ironicznem oświadczeniu zakończyła się konferencya delegatów starego ładu.

ROZDZIAŁ III

W którym odbywa się licytacja krajów podbiegunowych.

Dlaczego sprzedaż ta, wyznaczona na dzień 3 grudnia, miała się odbyć w sali „Auctions”, gdzie zazwyczaj sprzedawano ruchomości takie, jak meble, sprzęty, narzędzia, naczynia i t.p., lub przedmioty sztuki, jak obrazy, posągi, medale, starożytności? Dlaczego, ponieważ szło tu o licytację nieruchomości, nie miała ona odbywać się w obecności notaryusza, lub u krętek trybunału, ustanowionego na ten cel? Nakoniec, po co tu był wmieszany komornik, skoro sprzedać miano część kuli ziemskiej? Czyż możliwym było wziąć ten kawał sferoidy za sprzęt jakiś, i czyż nie był on najbardziej nieruchomą nieruchomością ze wszystkich nieruchomości na świecie?

To wszystko razem wydawało się nielogicznym, a jednak tak było w istocie. Całość stref północnych miała być sprzedana w tych warunkach, a kontrakt miał mieć ważność prawną. Nie było to wskazówką, że w opinii North Polar Practical Association wymieniona nieruchomość uważaną była niejako za ruchomą i jakby możliwą do przeniesienia z miejsca na miejsce? Ta zagadkowość zaciekała wielce niektóre odznaczające się przenikliwością umysły, a takie nawet w Stanach Zjednoczonych nieczęsto spotkać można.

Zresztą podobne obecnemu wydarzeniu było już raz w przeszłości. Część naszej planety została sprzedana za pośrednictwem komornika na publicznej licytacji w sali „Auctions” i odbywało się to również w Ameryce.

W istocie, na kilka lat przed tem, w San-Francisco w Kalifornii jedna z wysp Oceanu Spokojnego, wyspa Spencer, została sprzedana bogatemu Williamowi W. Kolderup, który za nią ofiarował pięććroć sto tysięcy dolarów więcej od swego współzawodnika J. R. Taskinar ze Stockton. Za tę wyspę Spencer zapłacił Imć. Pan W. Kolderup cztery miliony dolarów. Wprawdzie wyspa ta była mieszkalną, leżała o kilka zaledwie stopni od wybrzeży kalifornijskich, posiadała lasy, rzeki, grunt stały i urodzajny, pola i łąki, nadające się do uprawy, a nie była jakąś krainą nieokreśloną, przypuszczalnem morzem, pokrytem wiekuiestemi lodami, strzeżoną przez nieprzebyte lawiny i prawdopodobnie nigdy niemogącą być zamieszkaną. Z tych wszystkich danych można było wnioskować, że cena ziem podbiegunowych nawet na licytacji nie dosięgnie zbyt wysokiej sumy.

Jednakże w dniu oznaczonym na licytację sama nadzwyczajność sprawy zwabiła sporą liczbę ciekawych. Walka zapowiadała się bardzo zajmująco.

Trzeba wiedzieć, że delegaci europejscy od chwili ukazania się w Baltimore byli nadzwyczajnie przez publiczność całą otaczani i poszukiwani. Ponieważ rzecz cała działa się w Ameryce, nie możemy się dziwić, że opinia publiczna była do najwyższego stopnia podnieconą. Powstawały najszałeńsze zakłady – w tej bowiem formie objawia się to podniecenie w Stanach Zjednoczonych, których przykład Europa zaczyna, niestety, naśladować. Wszakże, chociaż obywatele amerykańskiej konfederacji, Nowej Anglii, Stanów środkowych, zachodnich i południowych, dzielili się różnorodnością zdań na grupy, to wszyscy jednak mimo to jednoznacznie dla swej ojczyzny pragnęli zwycięstwa. Wszyscy cieszyli się nadzieją, że północny biegun wywiesi flagę, zdobną trzydziestu ośmiu gwiazdami. A jednak nie czuli się oni zupełnie spokojnymi. Nie Rosya, nie Szwecya z Norwegią, nie Dania i nie Holandya nabawiały ich niepokojem, ale królestwo Wielkiej Brytanii, znane z

nienasyconej żądzy zaboru, ze swej dążności do pochłaniania wszystkiego, z zaciętego obstawania za chociażby urojonemi prawami, ze swych banknotów wszechpotężnych. Robiono zakłady za Ameryką i w równej ilości za Wielką Brytanią, tak jak to bywa na wyścigach konnych. Co zaś do Danii, Szwecyi, Holandyi i Rosyi, nikomu się i nie śniło, by mogły mieć jakiegokolwiek powodzenie.

Licytacja była oznaczoną na południową godzinę. Od samego rana natłok ciekawych uniemożliwiał ruch na Bolton-Street. Opinia od dnia poprzedniego była niesłychanie wzburzoną. Dzienniki zostały zawiadomione telegraficzną nicią, że większa ilość zakładów, proponowanych przez amerykańców, była robioną przez anglików, a Dean Toodrink natychmiast tę wiadomość polecił rozgłosić w sali licytacyjnej. Powiadano, że rząd angielski oddał jakoby ogromne sumy do rozporządzenia majorowi Donellan... „New-York Herald” podawał do wiadomości, że w biurze admiralicyi lordowie agitowali na rzecz nabycia stref północnych, które jakoby już zawczasu figurowały w nomenklaturze kolonij angielskich i t.d. i t.d.

Co było prawdziwego w tych wiadomościach, co prawdopodobnego w domysłach, trudno było sprawdzić. Ale w dniu tym ludzie rozważni, zamieszkujący Baltimore, sądzili, że jeżeli North Polar Practical Association będzie zmuszoną na własnych poprzestać funduszach, walka skończy się niechybnie zwycięstwem Anglii. Ztąd powstał nacisk, wywierany przez zagorzałych yankesów na rząd Waszyngtona. Wśród całego tego rozgorączkowania Stowarzyszenie, uosobione w niepozornej osobistości swego agenta, Williama S. Forstera, zdawało się nie podzielać wcale tego ogólnego przejęcia, jak gdyby było z góry pewne powodzenia.

W miarę zbliżania się godziny oznaczonej tłum gromadził się coraz gęściej przez całą długość Bolton-Street. Na trzy godziny przed otwarciem podwoi nie można się było docisnąć do sali licytacyjnej. Cała przestrzeń, przeznaczona na pomieszczenie publiczności, była wypełniona tak, że ściany groziły pęknięciem. Kilka zaledwie otoczonych baryerą miejsc zostało zachowanych dla europejskich delegatów. Należało im się to wyróżnienie, gdyż w razie przeciwnym niepodobnaby im było śledzić przebiegu całej, tak żywo ich obchodzącej sprawy.

Jak tego możemy się domyśleć, w przestrzeni otoczonej baryerą siedzieli: Eryk Baldenak, Borys Karkow, Jakób Jansen, Jan Harald, major Donellan i jego sekretarz Dean Toodrink. Tworzyli oni grupę szczelnie zbitą, która się trącała łokciami, jak oddział żołnierzy, formujący się w kolumnę do ataku. I doprawdy, patrząc na nich, można było sądzić, że idą brać szturmem biegun północny.

Ze strony Ameryki nie ukazał się nikt, prócz znanego nam już cokolwiek agenta składów stokfiska, którego twarz pospolita wyrażała najgłębszą obojętność. Rzecz dziwna, zdawał się on mniej wzruszonym od całego zgromadzenia i myślał prawdopodobnie tylko o umieszczeniu ładunków, które lada chwila miały przybyć z Nowej Ziemi. Gdzież więc kryli się ci kapitaliści, których reprezentował ten niepozorny człowieczyna, obracający w ich imieniu może milionami dolarów.? Jak widzimy, nie brakło materiału do zaciekawienia publiczności.

Nikt a nikt nie domyślał się, że J. T. Maston i pani Evangelina Scorbitt byli tak mocno zainteresowani w tej sprawie. Bo i jakim sposobem mógł się ktokolwiek tego domyśleć? Oboje znajdowali się tam jednak, ale zamieszani w tłumie, nie zajmując osobnego miejsca, otoczeni głównymi członkami klubu strzeleckiego, to jest kolegami J. T. Mastona. Zdawali się oni być prostymi widzami, pozornie zupełnie nieinteresowanymi. Sam William Forster zachowywał się tak, jakby nie znał ich wcale.

Nie potrzebujemy powiadamiać czytelników, że wbrew zwyczajowi, panującemu w salach licytacyjnych, przedmiot wystawiony na sprzedaż nie znajdował się tamże pod ręką

kupujących. Przecież nie można było brać do rąk bieguna północnego, oglądać go na wszystkie strony, przypatrywać mu się przez szkło powiększające, ani trzeć palcami w celu przekonania się, czy bronzowanie jest prawdziwe czy sztuczne, jak się to robi ze starożytnymi drobiazgami. Starożytnym co prawda był ten sprzęt, obecnie sprzedawany, – starożytniejszym od żelaznego okresu, od okresu brązowego, od okresu kamiennego, to jest od wszystkich epok przedhistorycznych, gdyż sięgał początków istnienia świata.

Jednakże, jeśli biegun nie figurował na biurku taksującego komornika, to wielka karta geograficzna, zawieszona wprost widzów, wyobrażała odmalowane jaskrawymi kolorami zarysy krain północnych. O siedmnaście stopni powyżej koła biegunowego linia czerwona, wyraźnie zakreślona na ośmdziesiątym czwartym równoleżniku, opasywała wkoło część kuli ziemskiej, wystawionej na sprzedaż z łaski skrytych zamiarów North Polar Practical Association. Zdawało się, że kraina ta jest zalana morzem, pokrytem lodową skorupą znacznej grubości. Ale co to mogło kogo obchodzić? Mogło to interesować tylko nabywców, którzy wiedzieli z góry, czego się trzymać, i nie będą mogli się skarżyć, że ich oszukano na towarze.

Równo o samej dwunastej w południe komornik taksujący, Andrew R. Gilmour, wszedł małymi drzwiczkami, ukrytymi w ścianie, podszedł do swego biurka i zajął przy nim miejsce. Woźny Flint, obdarzony grzmiącym głosem, przechadzał się zwolna wzdłuż baryery, utrzymującej w korbach publiczność, krokiem ciężkim niedźwiedzia, spacerującego po klatce. Obaj ci zacni ludzie cieszyli się wielce procentem, który im miała przynieść sprzedaż, a który z przyjemnością włożą do kieszeni. Niema co i mówić, że kupno miało być robione za gotówkę, bo inaczej w Ameryce nie bywa. Co zaś do sumy samej, to jakabądź byłaby jej wysokość, miała być wypłaconą w całości delegatom, na korzyść państw, którymby biegun nie został przysądzony.

W tejsze chwili dzwoniący jak na gwałt dzwon sali oznajmił na zewnątrz – to jest (pozwolimy sobie użyć tego wyrażenia) *urbi et orbi*, że licytacja miała się zacząć.

Co za uroczysta chwila! Wszystkie serca, tak w sali, jak w mieście całym, uderzyły przyspieszonym tętnem. Z Bolton-street i przyległych ulic szmer rozgłośny przedarł się przez ściany gmachu i rozszedł się po sali.

Andrew R. Gilmour chciał zacząć swoją czynność, ale musiał czekać, aż ten szmer tłumu, podobny do odgłosu, jaki wydaje morze, pokryte spienionymi falami, ucichnie cokolwiek.

Wtedy powstał i obrzucił spojrzeniem całe zgromadzenie. Zdjął z nosa binokle, które mu opadły na piersi, i głosem lekko wzruszonym przemówił:

– Panowie, wskutek propozycji, zrobionej przez rząd federacyjny, i dzięki zezwoleniu, danemu na tę propozycję, przez różne stany Nowego Świata i Starego Łądu, wystawiamy na sprzedaż nieruchomości, leżące w okolicach bieguna północnego, a opasane ośmdziesiątym czwartym równoleżnikiem, nieruchomości w postaci mórz, łądów, cieśnin, wysp, wysepek, ław lodowych, części stałych i płynnych, jakie tylko w zakreślonej powyżej przestrzeni mogą się znajdować.

A kierując palec w stronę ściany, mówił dalej:

– Chciejcie rzucić okiem na kartę, skreśloną podług najnowszych odkryć. Przekonacie się, że powierzchnia tej nieruchomości zajmuje blisko czterysta siedm tysięcy mil kwadratowych w jednym ciągu. Otóż, dla ułatwienia sprzedaży, zdecydowano, że ziemie te będą się sprzedawać podzielone na części, zawierające w sobie po tysiąc mil kwadratowych. Trochę ciszej, panowie!

Zalecenie nie było zbyt cennym, gdyż niecierpliwosć publiczności objawiała się taką wrzawą, że poza nią głosu spełniającego swą czynność komornika słyszeć prawie nie było.

Skoro zapanowała względna cisza, dzięki głównie wdaniu się woźnego Flinta, który ryczał jak niedźwiedź zraniony, Andrew R. Gilmour zabrał znowu głos w tych słowach:

– Nim zacznę moją czynność, powinienem przypomnieć jeden paragraf, dotyczący aktu sprzedaży, a tym jest, że nieruchomość podbiegunowa będzie uważana za kupioną bez żadnych zastrzeżeń, a jej posiadanie nie może być kwestyonowane przez sprzedających ją w przestrzeni, opasanej ośmdziesiątym czwartym stopniem szerokości północnej, chociażby w przyszłości zaszły jakiegokolwiek zmiany geograficzne lub meteorologiczne.

Zawsze występowało to szczególne zastrzeżenie, figurujące w dokumencie, które jeśli pobudzało jednych do żarcików, drugim poważnie zastanawiało.

– Przystępujemy do licytacji – rzekł komornik taksujący głosem donośnym.

Ręka, trzymająca młotek z kości słoniowej, drgała bezwiednym ruchem, a on tymczasem mówił dalej tonem nosowym:

– Sprzedajemy po dziesięć setnych milę kwadratową.

Dziesięć setnych, czyli jedna dziesiąta dolara, stanowiły sumę czterdziestu tysięcy siedmiuset dolarów za całość nieruchomości północnej.

Zaledwie komornik Andrew R. Gilmour wygłosił te słowa, zabrzmiał głos reprezentanta rządu duńskiego, Eryka Baldenak:

– Daję dwadzieścia setnych.

– Trzydzieści! – zawołał Jakób Jansen w imieniu Holandyi.

– Trzydzieści pięć! – powiedział Jan Harald w imieniu Szwecyi i Norwegii.

– Czterdzieści! – zawołał pułkownik Borys Karkow w imieniu Wszech Rosyi.

Ta ostatnia cyfra przedstawiała poważną sumę stu sześćdziesięciu dwóch tysięcy ośmiuset dolarów, a jednak był to dopiero początek licytacji.

Należy tu jednak zwrócić uwagę, że przedstawiciel Wielkiej Brytanii nie otworzył jeszcze ani razu ust, które najszczelniej zaciskał.

Co zaś do Williama S. Forstera, wielce szanownego właściciela składów stokfisz, zachowywał on zupełne milczenie. A nawet w chwili obecnej zdawało się, że był zupełnie pogrążony w czytaniu „Mercurial of New-Found-Land”, który to dziennik zajmował się daniem sprawozdań o dowozie statków i odbycie towarów na targach amerykańskich.

– Po czterdzieści setnych mila kwadratowa – powtórzył Flint głosem, którego ostatnie dźwięki przechodziły w śpiew. – Po czterdzieści setnych. Kto da więcej?

Czterej koledzy majora Donellan spojrzeli po sobie. Czyżby ich kredyt był już tak prędko, bo w samym początku walki, wyczerpany? Czyżby milczenie ich było wpływem smutnej konieczności?

– I cóż dalej, moi panowie? – ciągnął Andrew R. Gilmour. – Czterdzieści setnych! Kto da więcej?... Czterdzieści setnych... Przecież ona więcej warta ta skorupa lodowa...

Zdawało się, że doda jeszcze:

– ...Zabezpieczenie na czystym lodzie.

Delegat duński przemówił:

– Pięćdziesiąt setnych.

Delegat Holandyi postąpił na sześćdziesiąt setnych.

– Sześćdziesiąt setnych mila kwadratowa! – krzyknął Flint. – Sześćdziesiąt setnych!... Czy nikt nie da więcej?

Te sześćdziesiąt setnych stanowiły poważną sumę dwustu czterdziestu czterech tysięcy dwustu dolarów.

Publiczność przyjęła podwyżkę, zrobioną przez przedstawiciela Holandyi, szmerem zadowolenia.

Rzecz dziwna, a wszakże nawskróś ludzka, że gapie tam przytomni, biedacy bez grosza w kieszeni, zdawali się najwięcej interesować tą walką, w której pociskami były dolary.

Po owym wystąpieniu Jakóba Jansena major Donellan podniósł głowę i rzucił przelotne spojrzenie w kierunku swego sekretarza, Deana Toodrink. Ale na przeczące, zaledwie dostrzegalne skinienie tego ostatniego, nie przerwał milczenia.

Gdy się to działo, William S. Forster, nieustannie zatopiony w swym dzienniku, robił ołówkiem jakieś notatki na marginesie, zaś pan J. T. Maston odpowiadał kiwnięciem głowy na zalotne uśmiechy mistress Evangeliny Scorbitt.

– I cóż, moi panowie? trochę więcej werwy!... Brak nam energii, odwagi... – ciągnął dalej Andrew R. Gilmour. – I cóż, nikt się nie odzywa?... Więc będziemy zmuszeni zakończyć, przysądżając...

Podczas gdy to mówił, młotek, który trzymał w ręce, podnosił się i opadał, jak kropidło w palcach bedela parafialnego.

– Siedmdziesiąt setnych – wymówił profesor Jan Harald głosem, który drżał lekko.

– Ośmdziesiąt – tuż za nim odezwał się Borys Karkow.

– Ośmdziesiąt setnych... kto da więcej? – krzyknął Flint, którego okrągłe, wyłupiaste oczy błysnęły ogniem zapału.

Gest Deana Toodrink jak sprężyna wysadził z miejsca majora Donellan.

– Sto setnych – powiedział tonem węzłowatym reprezentant Wielkiej Brytanii.

Tem jednym słowem zobowiązywał się w imieniu Anglii na sumę czterekroć siedmiu tysięcy dolarów.

Robiący zakłady za Wielką Brytanią krzyknęli; „hurra” – które część publiczności jak echo powtórzyła.

Zakładający się za Ameryką spojrzeli po sobie z miną niezadowolenia. Czterekroć siedm tysięcy dolarów! Była to suma wielce poważna w stosunku do wątpliwej wartości tej fantazyjnej strefy podbiegunowej. Czterekroć siedm tysięcy dolarów, ulokowanych na lodowych górach, lodowych płaszczynach, na krach lodowych!

A ów-że agent North Polar Practical Association, który, jak to mówią, pary nie puścił z ust, głowy nie podniósł nawet? Czy on się nie odważy wmieszać do licytacji? Jeżeli zamiarem jego było wyczekiwać, aż póki delegaci: duński, szwedzki, holenderski i ruski – nie wyczerpią posiadanego kredytu, – to chyba już ta chwila nadeszła. I w istocie, postawa, jaką przybrali, wskazywała, że „sto setnych” majora Donellan skłonią ich do opuszczenia pola walki.

– Sto setnych za milę kwadratową – powtórzył dwukrotnie komornik taksujący.

– Sto setnych! sto setnych! sto setnych! – wygłosił raz po raz woźny Flint, robiąc sobie tubę z dłoni wpół zamkniętej.

– Czy nikt nie da więcej? – pytał dalej Andrew R. Gilmour – czy to ma już być koniec?... Czy stanowczo koniec?... Czy nikt się nie namyśli?... A więc będziemy przysądzać...

Mówiąc to, zaokrąglął ramię, które wstrząsało młotkiem, i wodził wyzywającym spojrzeniem po zgromadzeniu, którego gwar ucichł we wzruszającym milczeniu.

– Raz!... Dwa!... – wymówił.

– Sto dwadzieścia setnych – powiedział spokojnie William S. Forster, nie podnosząc oczu od dziennika, którego kartę właśnie odwracał.

– Hip!... hip!... hip!... – krzyknęli jednym głosem wszyscy ci, co szalone zakłady porobili na rzecz Stanów Zjednoczonych.

Teraz major Donellan powstał z kolei. Jego długa szyja poruszyła się mechanicznie powyżej kąta, utworzonego przez dwoje ramion, wargi wydłużały się w kształt dzioba. Wzrokiem rzucał pioruny na niewzruszonego przedstawiciela Stowarzyszenia

amerykańskiego, który nie odwdzieczył mu się nawet spojrzeniem. Ten szatan, wcielony w Williama S. Forstera, nie drgnął nawet.

- Sto czterdzieści – przemówił nakoniec major Donellan.
- Sto sześćdziesiąt – odpowiedział Forster.
- Sto osmdziesiąt – ryknął major.
- Sto dziewięćdziesiąt – wymówił przyciszonym głosem Forster.
- Sto dziewięćdziesiąt pięć setnych! – zawył delegat Wielkiej Brytanii.

Skrzyżował ręce na piersiach, jak gdyby rzucając wyzwanie trzydziestu ośmiu Stanom Zjednoczonej Ameryki.

Można było usłyszeć chód mrówki, płynienie ryby, lot motylka, pełzanie robaczka, ruch mikroba. Wszystkie serca były przyspieszonym tętnem. Zdawało się, że życie tych wszystkich ludzi zawisło na ustach majora Donellan. Głowa jego, tak zazwyczaj ruchliwa, zdawało się, skamieniała odrazu, zaś Dean Toodrink z wielkiego wzruszenia tarł sobie tył głowy tak, że zdawało się, iż zedrze skórę wraz z włosami.

Andrew R. Gilmour przeczekał jeszcze chwil kilka, które wydawały się „jak wieki długimi”. Depozytaryusz stokfiszów nie przestawał czytać swego dziennika, kreśląc ołówkiem cyfry, widocznie niemające żadnego związku z bieżącą sprawą. Czy i jego kredyt był już wyczerpany? Czy nie chciał do sumy wyżej ofiarowanej dorzucić ani jednego dolara? Czy też może owa suma stu dziewięćdziesięciu pięciu setnych za milę kwadratową, czyli przeszło siedmset dziewięćdziesiąt trzy tysiące dolarów za całą nieruchomość, przekraczała, jak sądził, granice niedorzeczności?

– Sto dziewięćdziesiąt pięć setnych! – zabrzmiał znowu głos komornika taksującego. – Czy nikt nie da więcej?

I młotek jego zawisł znowu w powietrzu, gotów opaść na stół.

- Sto dziewięćdziesiąt pięć setnych – powtórzył, jak echo, woźny.
- Przysądzać!... Przysądzać!

Te słowa, rzucone w formie nakazu przez kilku niecierpliwych widzów, były jakby naganą wahania Andrew R. Gilmour’a.

– Raz... dwa!... – krzyknął.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na przedstawiciela North Polar Practical Association.

I cóż! ten niepojęty człowiek, zamiast okazać jakiegokolwiek zainteresowanie, wyciera z największą starannością swój nos w wielką fularową chustkę w kraty.

Jednakże spojrzenia pana J. T. Maston wbijały się w niego uporczywie, podczas gdy oczy mistress Evangeliny Scorbitt szły w tymże samym kierunku. Poznać można było po bladeści ich twarzy, jak gwałtowne było wzruszenie, nad którym zapanować usiłowali. Bo i dłaczegóż William S. Forster wahał się podkupić majora Donellan?

William S. Forster utarł nos po raz drugi, trzeci, z odgłosem petardy fajerwerkowej. Ale w przerwie pomiędzy dwiema ostatnimi petardami wyszeptał zcicha i skromnie:

– Dwieście setnych!

Przeciągłe drżenie przebiegło salę. Rozległy się *hip, hip!* amerykańców, od których aż szyby zadzwoniły.

Major Donellan, zmiażdżony, zdruzgotany, zniweczony, opadł na ławę obok Dean’a Toodrink, niemniej zbolełego, jak on sam. Kupując za wymienioną cenę milę kwadratową, całość wyniosłaby ogromną sumę ośmuset czterestu tysięcy dolarów, – było więc widocznym, że kredyt Wielkiej Brytanii nie pozwalał jej przekroczyć.

- Dwieście setnych! – powtórzył raz jeszcze Andrew R. Gilmour.
- Dwieście setnych! – wrzasnął Flint.

– Raz... dwa!... – ciągnął dalej komornik. – Czy nikt nie da więcej?...

Major Donellan, poruszony jakby stosem elektrycznym, powstał znowu, spojrzął na innych delegatów. Oni uważali go za ostatnią deskę ocalenia, ufali, że przeszkodzi zagarnięciu bieguna północnego z krzywdą mocarstw europejskich. Ale wysiłek ten był już ostatnim. Major otworzył usta, potem zamknął je, w końcu osunął się zgnębiony na ławę, uosabiając zgnębienie i upadek Anglii.

– Przysądzono! – zawołał Andrew R. Gilmour, uderzając w stół końcem młotka z kości słoniowej.

– Hip! hip! hip! Stany Zjednoczone! – zawyli wygrywający stronnicy zwyciężkiej Ameryki.

W mgnieniu oka wieść o dokonanej kupnie rozeszła się po wszystkich cyrkulach Baltimore, potem zapomocą nici telegraficznych po powierzchni całego Związkowego Państwa, potem nicią podwodną wtargnęła na Stary Łąd.

Tak tedy North Polar Practical Association stawała się właścicielką, zapomocą podstawionego w tym celu Williama S. Forstera, krajów północnych, zawartych we wnętrzu ośmdziesiątego czwartego równoleżnika.

Nazajutrz William S. Forster złożył urzędową deklarację, że nabył rzeczony kraj z polecenia i na rzecz Impey'a Barbicane, w którego osobie wcielone było amerykańskie Stowarzyszenie pod nazwą: Barbicane and Co.

ROZDZIAŁ IV

W którym występują na scenę starzy znajomi naszych czytelników

Barbicanes and Co!... Prezes klubu artylerzystów! Co mogli mieć do czynienia artylerzyści z operacją tego rodzaju?... Zaraz to zobaczymy.

Czy jest to potrzebne, byśmy oficjalnie prezentowali czytelnikom Imię pana Impey'a Barbicane, prezesa Klubu Strzeleckiego w Baltimore, jak również kapitana Nicholla, pana J. T. Mastona i Toma Huntera z drewnianymi nogami, fertycznego Bilsby, pułkownika Bloomsberry i resztę ich kolegów? Nie! Jeżeli tym dziwnym osobistościom przybyło parę dziesiątków lat od chwili, w której uwaga świata całego była na nie zwróconą, niemniej jednak pozostali oni zawsze tymi samymi, zawsze ułomni pod względem fizycznym, zawsze równie hałaśliwi, śmieli, ochoczy do rzucenia się naślęp w jakąś nadzwyczajną przygodę. Czas nie zostawił śladów na tym legionie dymisyonowanych artylerzystów. Uszanował ich tak, jak się szanuje armaty, które już wyszły z użytku, a które przystrajają muzea dawnych arsenałów.

Klub Strzelecki liczył aż tysiąc ośmset trzydziestu trzech członków w chwili swego założenia – mówimy tu o osobach, a nie o członkach takich na przykład jak nogi i ręce, których większa ich część była pozbawiona; – trzydzieści tysięcy pięćset siedmdziesiąt pięć osobistości, utrzymujących stosunki z rzeczonym klubem, pyszniło się zaszczytem, który na nie tym sposobem spadał, a cyfry te – możemy upewnić szanownych czytelników – nie zmniejszyły się wcale od owego czasu. O, nie! A nawet dzięki niesłychanym wysiłkom, które członkowie znakomitego klubu robili celem zaprowadzenia bezpośredniej komunikacji pomiędzy ziemią i księżycem, sława jego wzrosła do szalonych rozmiarów.

Ufam, że niezapomnianym został rozgłos, jaki miało ongi to pamiętne doświadczenie, które tu w kilku wierszach streścimy.

W kilka lat po wojnie o niepodległość kilku członków Klubu Strzeleckiego, znudzonych bezczynnością, umyśliło wysłać pocisk do księżyca za pomocą działa potwornych rozmiarów. Armata, długości dziewięciuset stóp, mająca dziewięć stóp w obwodzie kanału, została uroczyście odlaną w City-Moon, na gruncie półwyspu Florydy, potem nabitą czterystu tysiącami funtów bawełny strzelniczej; ciśnięty przez to działo granat z aluminium, walcowato-stożkowy, pomknął ku gwiazdzie nocnej, pchnięty siłą sześciu miliardów litrów gazu. Okrążywszy ją wokół skutkiem zboczenia z linii, po której miał biec, opadł w kierunku ziemi i zanurzył się w Oceanie Spokojnym niedaleko 27° 7' szerokości północnej i 41° 37' długości zachodniej. W tych to okolicach fregata Susquehanna, należąca do marynarki związkowej, złowiła go na powierzchni oceanu, z wielkim zadowoleniem znajdujących się w nim pasażerów.

Tak jest, pasażerów! Dwóch członków Klubu Strzeleckiego, prezes klubu Impey Barbicane i kapitan Nicholl, w towarzystwie pewnego francuza, znanego dobrze z zamiłowania do wycieczek, grożących złamaniem karku, zajęli miejsce w tym pocisku, pełniącym funkcję wagonu. Wszyscy trzej wrócili z tej podróży w dobrym zdrowiu. Ale podczas gdy dwaj amerykańczycy znajdowali się zawsze w Baltimore, gotowi ryzykować życie dla jakiejś nowej przygody, francuz Michał Ardan był nieobecny. Powrócił na Stary Łąd, wiodło mu się świetnie, przyszedł do fortuny – co wielu wielce dziwiło, – a obecnie został

hreczkosiejem, jadł dobrze, trawił jeszcze lepiej, jeśli mamy wierzyć sprawozdaniom reporterów, najlepiej poinformowanych.

Po tej zasługującej na wiekuiszą pamięć wyprawie Impey Barbicane i kapitan Nicholl żyli we względny spokoju, używając owoców sławy. Zawsze żądni wielkich czynów, marzyli o jakiej innej operacji w podobnym rodzaju. Pieniądzy im nie brakło. Mieli jeszcze resztki funduszków, zebranych na poprzednią wyprawę drogą składki publicznej, zbieranej tak na Nowym jak na Starym Łądzie. Z sumy pięciu milionów dolarów pozostało im jeszcze dwakroć sto tysięcy. Przytem, obwożąc po całych Stanach Zjednoczonych ów pocisk, z aluminium i pokazując go, jakby jakieś dziwowisko w klatce, zebrali wcale okazałą sumę dolarów nie mówiąc już o ilości sławy, najwyższej, do jakiej sięgnąć może w marzeniu nienasycona ambicya człowieka.

Impey Barbicane i kapitan Nicholl mogli tedy, siedząc spokojnie, spożywać owoce sławy, gdyby nuda ich nie trawiła. Chcąc wyjść z doskwierającej im beczynności, zakupili ową nieruchomość podbiegunową.

Jednakże – polecamy to pamięci łaskawych czytelników – jeżeli to kupno dokonaniem zostało za cenę ośmiukroć stu tysięcy dolarów, a nawet więcej, to dlatego, że mistress Evangelina Scorbitt poparła interes swym łaskawym udziałem.

Dzięki tej szlachetnej kobiecie Ameryka wyszła zwycięsko z walki z Europą.

Oto na czem polegała jej wspaniałomyślność:

Jeśli prezes Barbicane i kapitan Nicholl używali od powrotu z wyprawy nieporównanej wziętości, był człowiek jeszcze jeden, który w niej niepośledni brał udział. Domyślicie się zapewne, że chcę tu mówić o J. T. Mastonie, o owym kipiącym od wewnętrznego zapалу sekretarzu Klubu Strzeleckiego. Wszak to temu genialnemu rachmistrzowi zawdzięczała ludzkość formuły matematyczne, zapomocą których spróbowano wielkiego, wyżej wymienionego doświadczenia. Jeśli nie towarzyszył swym dwóm kolegom w owej nadziemskiej podróży, to przecież nie z braku odwagi, do kroćset kul! Nie, godny artylerzysta, mańkut, pozbawiony prawej ręki, był zaopatrzony w czaszkę z gutaperki, skutkiem jednego z tych, niestety zbyt pospolitych wypadków, zdarzających się na wojnie. I w istocie, pokazując go selenitom, dałoby się im arcy-nieosobliwe wyobrazenie o mieszkańcach ziemi, której księżyc jest przecież tylko pokornym satelitą.

Tak tedy J. T. Maston musiał, choć z głębokim żalem, pogodzić się ze swym losem i pozostać w domu. Wszelako nie był beczynnym. Pod jego kierunkiem wybudowano olbrzymi teleskop i wciągniono go na szczyt Long Peak'u, jeden z najwyższych szczytów łańcucha gór Skalistych. Maston przeniósł się tam w swej własnej osobie. Gdy pocisk puszczony dał się widzieć, opisując majestatyczną linię, J. T. Maston znalazł się już tam na stanowisku obserwacyjnym i nie zszedł z niego aż do końca. Tam przez szkło olbrzymiego instrumentu śledził jazdę przyjaciół, którzy, siedząc w napowietrznym rydwanie, lecieli w przestrzeń.

Można było mniemać, że ziemia utraci na zawsze swych zuchwałych podróżników. I w istocie, czyż nie należało się obawiać, że pocisk, zatrzymany w pewnej odległości przez przyciąganie księżycy, skazany zostanie na wiekuisze krążenie wokoło gwiazdy nocy w charakterze jej podrzędnego satelity? Wszakże nie tak się stało. Zboczenie, które należałoby nazwać opatrnościowem, zmieniło kierunek pocisku. Zamiast dosięgnąć księżycy, okrążył go wokoło i, spadając z coraz większą szybkością, powrócił do naszej sferoidy, przelatując pięćdziesiąt siedm tysięcy sześćset mil na godzinę w chwili, gdy się pogrążał w przepaściach morza.

Szczęściem, masy płynne Oceanu Spokojnego osłabiły wstrząśnienie, spowodowane upadkiem, którego świadkiem była amerykańska fregata Susquehanna. Natychmiast wiadomość o tem przesłano panu J. T. Maston. Sekretarz Klubu Strzeleckiego zszedł co tchu

ze swego obserwatorium na Long Peak'u, by zarządzić środki ratunkowe. Zapuszczono niezwłocznie ołowianki wokoło miejsca, w które pograżył się pocisk, a zacny i skory do poświęceń J. T. Maston nie wahał się z przywdzieniem korkowego gorsetu, by odnaleźć swych przyjaciół.

Prawdę powiedziawszy, niepotrzebnie zadał sobie tyle fatygi. Pocisk z aluminium, roztrąciwszy masy wody, cięższe od jego własnej wagi, powrócił na powierzchnię oceanu, dawszy przed tem wspaniałego nura. W tych to więc warunkach spostrzeżono prezesa Barbicane, kapitana Nicholl i Michała Ardana, kołyszących się na falach oceanu; grali sobie najspokojniej w domino w tem improwizowanym pływającym więzieniu.

Wracając jeszcze do pana Maston, musimy powiedzieć, że udział, brany przez niego w tych nadzwyczajnych przygodach, dodał wiele blasku jego osobistości.

Zaprawdę, J. T. Maston nie był pięknym z tą swoją przyprawioną czaszką i z prawą ręką obciętą w łokciu, z osadzonym w niej metalowym haczykiem. Nie był również młodym, mając lat pięćdziesiąt ośm z górą w chwili, gdy się nasza powieść zaczynała. Wszelako oryginalność jego charakteru, żywość inteligencji, ogień, błyszczący w oczach, zapał, z którym brał się do wszystkich swoich czynności, zrobiły z niego typ idealny w oczach mistress Evangeliny Scorbitt. Nakoniec mózg jego, starannie przechowany pod nakryciem z gumy, był całkowity i nienaruszony, a jego właściciel uchodził z wszelką słusnością za jednego z biegleszych rachmistrzów swego czasu.

Tak więc mistress Evangelina Scorbitt, której zrobienie najmniejszego rachunku sprowadzało migrenę, miała wielki pociąg do matematyków, pomimo że go nie miała dla matematyki samej. Uważała ona matematyków za istoty wyłącznie uposażone i wyższe. Bo też pomyślcie tylko! wyobraźcie sobie głowę, w której kołaczą się x , jak orzechy w worku; mózg, który igra ze znakami algebraicznymi; ręce, które obracają ilości integralne troiste, jak kuglarze swoje szklanki i butelki; inteligencje, które rozumieją formuły takie naprzykład:

$$\iiint \varphi(x, y, z) dx dy dz.$$

Tak jest! Uczeni ci zdawali jej się godnymi wszelkich uwielbień i stworzonymi na to, by kobieta czuła się do nich przyciąganą proporcjonalnie do mas i w stosunku odwrotnym do kwadratu przestrzeni. I właśnie J. T. Maston był dość silnym, by wywierać na nią to nieprzeparne wrażenie; co zaś do odległości, to ta zeszlaby do zera, gdyby kiedy mogli byli do siebie należeć.

Musimy wyznać, że to wszystko razem niepokoiło wielce sekretarza Klubu Strzeleckiego, który nie szukał szczęścia w tego rodzaju ścisłych związkach. Przytem mistress Evangelina Scorbitt nie była już pierwszej młodości, ani nawet drugiej, miała już bowiem lat czterdzieści pięć, włosy przylepione na skroniach i kolorem przypominające kilkakrotnie farbowaną materyę. Usta jej były przystrojone zbyt długimi zębami, z których nie brakło ani jednego; figura jej nie miała profilu, chód wdzięku. Wyglądała na starą pannę, pomimo że kilka lat przepędziła w jarzmie małżeńskim. Zresztą była to najzaciejsza pod słońcem istota, która sądziłaby się u szczytu ziemskich rozkoszy, gdyby mogła kazać się anonsować w salonach Baltimore pod nazwiskiem mistress J. T. Maston.

Majątek tej interesującej wdowy był bardzo znaczny. Nie była ona wprawdzie bogatą na równi z Gouldami, Mackayami, Vanderbiltami, Gordon Bennettami, których fortuna przewyższała miliard i którzy mogliby Rotszyldowi jałmużnę ofiarować. Nie była ona nawet posiadaczką trzystu milionów, jak naprzykład mrs. Moses Carper, ani nawet dwustu, jak mrs. Stewart, ani nawet ośmdziesięciu, jak mrs. Crocker, – trzy wdówki, ciepłe, jak to mówią! – nie była ona równa majątkiem mrs. Hammersley, mrs. Helly Green, mrs. Maffitt, mrs. Marshall, mrs. Para Stevens, mrs. Mintury i wielu innym. Wszelako miałyby zupełne prawo zając miejsce przy owej pamiętnej uczcie w hotelu Fifth-Avenue w New-Yorku, w której brali

udział biesiadnicy, mający co najmniej pięć milionów. Pani Evangelina Scorbitt rozporządzała w istocie pięciu milionami dolarów, czyli dwudziestu pięciu milionami franków, które odziedziczyła po panu Janie P. Scorbitt, wzbogaconym na podwójnym handlu: artykułami mody i wieprzowiną soloną. Otóż zacna i wspaniałomyślna ta niewiasta czułaby się niewypowiedzianie szczęśliwą, gdyby miała sposobność zużytkować owe pięć milionów na korzyść pana J. T. Maston, któremu w dodatku przyniosłaby w darze skarb uczucia niewyczerpany.

A tymczasem, na prośbę pana J. T. Maston, mrs. Evangelina Scorbitt zgodziła się chętnie włożyć kilka setek tysięcy dolarów w przedsiębiorstwo North Polar Practical Association, i to nie wiedząc nawet, o co tu właściwie chodziło. Wprawdzie, skoro tylko J. T. Maston był w nie wmieszany, dzieło musiało być wielkiem, szczytnem, nadludzkim. Przeszłość sekretarza Klubu Strzeleckiego była rękojmią przyszłości.

Możemy sobie wyobrazić, że po odbytej licytacji, gdy deklaracja urzędowa Forstera powiadomiła ją, że nad Radą administracyjną nowego Stowarzyszenia prezydenturę obejmuje prezes Klubu Strzeleckiego, pod firmą Barbicane and Co, natchnęła ją nowa ufność i wiara. Z chwilą, gdy J. T. Maston zostawał członkiem „Barbicane and Co”, mogła sobie tylko wieszować, że jest najznacniejszą akcjonariuszką Stowarzyszenia.

Tak więc mrs. Evangelina Scorbitt została właścicielką – w bardzo znacznej części – stref północnych, opasanych osmdziesiątym czwartym równoleżnikiem. Było to bardzo piękne! Ale co ona miała począć z niemi, a raczej w jaki sposób Stowarzyszenie zamierzało ciągnąć korzyści z tych niedostępnych krain?

To pytanie zadawali sobie wszyscy bez wyjątku, a jeśli ze względu na stronę materialną mocno ta kwestya interesowała panią Evangelinę Scorbitt, niemniej intrygowała świat cały z racyi swej zagadkowości.

Zacna ta niewiasta próbowała, z niesłychaną co prawda oględnością, wy badać pana J. T. Maston w tej materji; pragnęła gorąco jakichkolwiek objaśnień, zanim powierzy swe kapitały kierownikom tego przedsiębiorstwa. Ale J. T. Maston był niewzruszony jak głaz, a milczący jak skała. Mrs. Evangelina Scorbitt miała się dowiedzieć, co się święciło, ale nieprędzej, aż nadejdzie uroczysta chwila, to jest, gdy świat cały dowie się i oniemieje z podziwu na wieść o celach nowego Stowarzyszenia!...

Niema wątpliwości, że w pojęciu J. T. Mastona szło tu o przedsiębiorstwo, które, według słów Jean-Jacques'a, „nie miało nic sobie równego i nie będzie nigdy miało naśladowców”; dzieło to miało przewyższyć o wiele próbę, zrobioną przez członków Klubu Strzeleckiego, której celem było zaprowadzenie bezpośredniej komunikacji z satelitą ziemi.

Gdy mrs. Evangelina nalegała, J. T. Maston kładł swój haczyk na ustach wespół przymkniętych i mówił z przymileniem:

– Droga mrs. Scorbitt, miej ufność, proszę!

Jeśli mrs. Evangelina Scorbitt miała ufność „przedtem”, jakże niezmiernej radości doświadczyła „potem”, skoro pełen ognia sekretarz Klubu jej przypisał tryumf Stanów Zjednoczonych i porażkę Europy północnej.

– Czyż nie dowiem się nakoniec, w jakim celu robicie to wszystko?... – spytała, zwracając się z uśmiechem do znakomitego matematyka.

– Dowiesz się pani wkrótce – odpowiedział J. T. Maston, ściskając silnie, na sposób amerykański, rękę swej współpracownicy.

Wstrząśnienie to wywarło wpływ uspokajający na niecierpliwość mrs. Scorbitt.

W kilka dni potem oba światy, Stary i Nowy, doznały niemniejszego wstrząśnienia – nie mówimy tu o wstrząśnieniu, które je oczekiwało w przyszłości – na wieść o projekcie

zupełnie niedorzecznym, dla urzeczywistnienia którego North Polar Practical Association odwoływało się do składki publicznej.

Okazało się, że Towarzystwo nabyło tę część krajów podbiegunowych celem eksploatawania... pokładów węgla ziemnego, mających się tam znajdować.

ROZDZIAŁ V

Ale z kąd przypuszczenie, że są pokłady węgla ziemnego pod biegunem?

To było pierwsze zapytanie, które się przedstawiło umysłom ludzi, niepozbawionych pewnej dozy logiki.

– Dlaczego miałyby być pokłady węgla ziemnego w okolicach bieguna? – mówili jedni.

– Dlaczego nie miałyby być? – mówili drudzy.

Wiadomo, że pokłady węgla, rozrzucone w różnych punktach kuli ziemskiej, znajdują się w wielkiej obfitości w niektórych okolicach Europy. Obie Ameryki posiadają znaczne kopalnie węgla, a Stany Zjednoczone są bodaj czy nie najhojniej w nie zaopatrzone. Pokładów tych nie braknie zresztą ani Afryce, ani Azji, ani Oceanii.

W miarę jak badanie gruntów kuli ziemskiej posuwa się na przód, spostrzegamy, że pokłady te znajdują się we wszystkich geologicznych warstwach: antracyt w warstwach najdawniejszych, węgiel ziemny w warstwach wyższych, stypit w warstwach drugorzędowych, lignit w warstwach trzeciorzędowych. Materiału palnego nie zbraknie zatem przed setkami, a może i tysiącami lat.

Wszakże wydobywanie węgla, którego sama Anglia dostarcza sto sześćdziesiąt milionów tonn, wynosi w całym świecie do czterystu milionów tonn. Zużytkowanie zaś wzrasta ciągle w miarę wzrostu potrzeb przemysłu. Niech elektryczność zastąpi parę jako siłę poruszającą, będzie to zawsze jeden i ten sam wydatek węgla na wytworzenie tej siły. Maszyny zastosowywane w przemyśle zużytkują moc węgla. Przemysł jest zwierzęciem „węgłozernem”, trzeba je żywić.

A przytem ten węgiel nie jest jedynie materiałem palnym – jest substancją telluryczną, z której nauka wyprodukowuje niezliczoną ilość wyrobów dla najrozmaitszych użytków. Po różnorodnych przeistoczeniach, którym węgiel ulega w tyglach laboratoryjnych, można za jego pomocą farbować, słodzić, zaprawiać woniami, ulatniać, oczyszczać, ogrzewać, oświetlać, zdobić, produkując dyament. Jest on równie użyteczny jak żelazo, jest nim więcej nawet. Na szczęście, niema obawy, by ten ostatni kruszec mógł być kiedykolwiek wyczerpany; jest on częścią składową kuli ziemskiej.

Prawdę powiedziawszy, ziemia może być uważana jako masa żelaza mniej lub więcej zwęglonego, będącego w stanie płynnym zapomocą działania ognia, pokrytą krzemieniem płynnym, to jest rodzajem materii, pływającej po wierzchu stopionych metali, ponad którą wznoszą się skały i woda. Inne metale, jak również woda i kamień, tworzą zaledwie bardzo małą cząstkę naszej sferoidy.

Ale jeśli żelaza we wnętrzu ziemi jest tyle, że go wystarczy aż do skończenia wieków, nie możemy tego samego powiedzieć o węglu ziemnym. Możemy nawet powiedzieć rzecz wręcz przeciwną. Ludzie rozważni zatem, przewidujący przyszłość na daleką metę, powinni robić poszukiwania, w celu wynalezienia kopalń węgla, wszędzie, gdzie je tylko przezorna natura umieścić mogła w epokach geologicznych.

– No tak! niema, ani słowa – odpowiadali oponenty.

Tak w Stanach Zjednoczonych, jak i wszędzie indziej, znaleźć można ludzi, którzy, powodując się czy to zemstą, czy to zazdrością, lubią potępić wszystko i wszystkich, że już pominę milczeniem tych, którzy zbijają cudze zdania dla samej przyjemności zbijania ich.

– Tak! niema, ani słowa! – mówili ci ludzie. – Ale z kąd pewność, że są pokłady węgla u bieguna północnego?

– Z kąd? – odpowiadali stronnicy prezesa Barbicane. – Ztąd, że w epoce formacji geologicznych objętość słońca była prawdopodobnie taką, podług teorii pana Blandet, że różnica temperatury równika i biegunów nie była prawie dostrzegalną. Wówczas ogromne lasy pokrywały strefy północne kuli ziemskiej – było to jeszcze przed pojawieniem się pierwszego człowieka, kiedy nasza planeta ulegała stałemu działaniu gorąca i wilgoci.

Dzienniki, przeglądy i wszelkiego gatunku gazety, interesujące się zamiarami Stowarzyszenia, rozpisywały się w tym przedmiocie w najróżnorodniejszych artykułach, mających jedne żartobliwą, drugie naukową formę. Owóż tedy lasy te, wskutek olbrzymich przewrotów, które wstrząsały kulą ziemską, zanim ta ustaliła się na swych podstawach i przybrała obecną formę, prawdopodobnie przetworzyły się na pokłady węgla pod działaniem czasu, wód i ciepła wewnętrznego. Otóż nic bardziej podobnego do prawdy, jak ta hipoteza, podług której krainy podbiegunowe obfitują w warstwy węgla ziemnego, czekając tylko na uderzenie młotka górników.

Zresztą na poparcie tego mniemania były fakty niezaprzeczone. Umysły pozytywne, niemające zwyczaju opierać się jedynie na prawdopodobieństwach, nie mogły zaprzeczyć rzeczywistości tych faktów, które powagą swą zachęcały do szukania rozmaitych odmian węgla na powierzchni stref północnych.

O tem właśnie rozmawiali znajomi nam dwaj panowie: major Donellan i sekretarz jego Dean Toodrink, siedząc w kilka dni po porażce w najciemniejszym zakątku knajpy pod „Dwoma Przyjaciołmi”.

– Czy być może – mówił Dean Toodrink, – aby ten Barbicane, który bodaj się powiesił, miał doprawdy słuszność?

– To jest prawdopodobnem, a nawet pewnem – odparł major Donellan.

– Ależ w takim razie możnaby zebrać miliony, eksploatując strefy podbiegunowe!

– Bez żadnej wątpliwości! – odpowiedział major. – Skoro Ameryka Północna posiada tak obszerne pokłady palnego materiału, jeśli donoszą nam o coraz to nowych, nie można wątpić, że odkryją ich jeszcze moc niezliczoną, panie Toodrink. Owóż tedy ziemie północne, jak się wydaje, należą do łądu amerykańskiego, jest bowiem tożsamość kształtowania się i powierzchowności. Co zaś do Grenlandyi, ta jest przedłużeniem Nowego Świata i jest rzeczą pewną, że Grenlandya styka się z Ameryką...

– Tak jak głowa końska, której Grenlandya ma kształt, styka się z korpusem tego zwierzęcia – zauważył sekretarz majora Donellan.

– Dodam jeszcze i to – mówił dalej major, – że podczas badań, odbywanych na gruncie Grenlandyi, profesor Nordenskiöld rozpoznał tworzenie się osadów, złożonych ze żwirów i łupkowego kamienia z przymieszką drzewnego kwasu, które mają w sobie znaczną ilość roślin kopalnych. W samym obwodzie Disko duńczyk Stoenstrup rozpoznał aż siedmdziesiąt jeden pokładów, w których obfitują ślady roślinności, niezaprzeczone dowody tej bujnej wegetacyi, która się skupiała niegdyś z nadzwyczajną siłą wkoło osi biegunowej.

– Dobrze, ale tam wyżej na północ?... – spytał Dean Toodrink.

– Wyżej, czyli dalej, w kierunku północy – odpowiedział major – obecność węgla ziemnego jest niemal stwierdzoną i zdawałoby się, że należy tylko schylić się, by to zbierać. Otóż, jeśli węgiel znajduje się w takiej obfitości na powierzchni tych okolic, czy nie należy z tego wywnioskować prawie na pewno, że pokłady jego sięgają aż do głębi ziemnej skorupy.

Miał zupełną słuszność major Donellan. I dlatego właśnie, że kwestya tworzeń się geologicznych bieguna północnego była mu doskonale znaną, irytował się niepomiernie całą tą sprawą. Byłby może długo jeszcze mówił w tym samym przedmiocie, gdyby nie zauważył,

że goście, obecni w knajpie, zaczęli mu się przysłuchiwać. Tak więc Dean Toodrink i jego szanowny zwierzchnik uznali za stosowne wstrzymać się od dalszych rozpraw w tej materii i tylko wyżej wymieniony Dean wygłosił następną uwagę:

– Czy nie zadziwia pana pewna okoliczność, panie majorze Donellan?

– I jaka naprzykład?

– Ta, że w całej tej sprawie, w której, jakby należało się spodziewać, będą figurowali inżynierowie lub co najmniej marynarze, ponieważ idzie tu o biegun i jego kopalnie węgla, biorą udział tylko artylerzyści!

– To prawda – odpowiedział major – to w istocie rzecz bardzo dziwna.

Tymczasem dzienniki co rana zamieszczały nowe rozprawy w kwestyi tych pokładów.

– Pokłady? I jakież to jeśli łaska? – zapytywała *Pall Mall Gazette*, której zajadłe artykuły, natchnione przez wyższy przemysł angielski, wymyślały na argumenta North Polar Practical Association.

– Jakież? – odpowiadali redaktorzy dziennika *Daily News* z Charlestonu, zapaleni stronnicy prezesa Barbicane. – Ależ pokłady te zostały najpierw rozpoznane przez kapitana Nares w 1875–76 roku na granicy ośmdziesiąt drugiego stopnia szerokości i jednocześnie z tem odnaleziono warstwy, które wskazują istnienie roślinności, złożonej z topoli, buków, kaliny, leszczyny i drzew szyszkowatych.

– Zaś w roku 1881–1884 – dodawał uczony kronikarz dziennika *New-York Witness* – podczas wyprawy pułkownika Greely do zatoki Lady Franklin, czyż nie został odkryty pokład węgla przez naszych rodaków w niewielkiej odległości od fortecy Conger, przy przystani Watercourse? A czyż doktor Pary nie z wszelką słuszością utrzymuje, że te okolice nie są pozbawione warstw węglowych, prawdopodobnie przeznaczonych przez przewidującą naturę do zwalczania w przyszłości zimna, trapiącego te strefy.

Łatwo zrozumieć, że gdy fakty tak wiarygodne zostały zacytowane, odwołując się przytem do sprawozdań śmiałych podróżników amerykańskich, przeciwnicy prezesa Barbicane nie znaleźli już nic do nadmienienia. Tak więc stronnictwo, objawiające swe wątpliwości zapytaniem: „a zkądby się tam wzięły pokłady węgla?” musiało spuścić banderę przed stronnictwem, wyrażającem swe przekonanie w słowach: „i dlaczego nie miałyby się one tam znajdować?”. Tak! Pokłady te znajdowały się tam i przypuszczalnie w znacznej ilości. Grunt podbiegunowy mieścił masy tego cennego palnego materiału, ukrytego we wnętrzościach tych stref, których roślinność tak bujną była niegdyś.

Ale jeśli przeciwnikom brakło gruntu pod nogami w kwestyi pokładów węgla, których istnienie w głębi okolic północnych nie mogło być wątpliwem, za to mogli sobie porażkę powetować, badając kwestyę z innego punktu.

– Niech i tak będzie! – wyrzekł dnia jednego major Donellan wśród rozprawy, którą sam wywołał w sali Klubu Strzeleckiego, w ciągu której wyzwał prezesa Barbicane na ustną szermierkę. – Niech i tak będzie! Zgadzam się na to, twierdząc nawet, że tak jest istotnie. Są kopalnie węgla w okolicach, kupionych przez wasze Stowarzyszenie. Ale spróbujcie teraz eksploatować je!...

– Jest to właśnie zamiarem naszym – odparł z całym spokojem prezes Barbicane.

– Przejdźcie ośmdziesiąty czwarty równoleżnik, poza który jeszcze żaden podróżnik się nie przedostał.

– Przejdziemy go.

– Dostańcie się do bieguna!

– Dostaniemy się.

Słyszając prezesa Klubu Strzeleckiego, odpowiadającego z tak zimną krwią, z taką stanowczością, widząc go objawiającego swe przekonania tak jasno i niewątpliwie, najupartsi

wahać się zaczęli. Czuli, że się znajdują w obecności człowieka, który nic nie utracił z przymiotów, dawniej go zdobiących, zawsze spokojny, zimny, umysłu w wysokim stopniu poważnego i skoncentrowanego, akuratywny jak chronometr, żądny przygód, ale zastosowujący praktyczne pomysły nawet w przedsięwzięciach najzuchwalszych...

Że major Donellan miał niezmyśloną ochotę udusić swego przeciwnika, można być tego aż nadto pewnym, tak przynajmniej twierdzili ci, co znajdowali się w pobliżu tego szanownego ale niepohamowanego w swych uniesieniach geltenmana. Ba! prezes Barbicane był bardzo mocnym tak co do strony fizycznej, jak i moralnej. Wytrzymał on z niewzruszonym spokojem wszelkiego rodzaju pociski, zdolny był wytrwać wszelkie przeciwności losu. Jego nieprzyjaciele, współzawodnicy, zazdroszczący mu, wiedzieli o tem aż nadto dobrze.

Wszakże, ponieważ nie można zabronić złośliwym i zazdrośnikom robienia dokuczliwych żartów, w tej formie objawiło się podrażnienie roznamiętnionych przeciwników nowego Stowarzyszenia. Zaczęto przypisywać prezesowi Klubu Strzeleckiego najdziwaczniejsze, najśmieszniejsze zamiary. Wmieszały się w to i karykatury, których najwięcej wytwarzała Europa, a wyłącznie Anglia, nie mogąca strawić porażki, w której dolary odniosły zwycięstwo nad funtami sterlingów.

Ha! ha! ten Yankes ośmielił się twierdzić, że dostanie się do bieguna północnego! Sądzi, że postawi swoją stopę na gruncie, którego dotąd żadna ludzka stopa nie dotknęła! Zatknie chorągiew Stanów Zjednoczonych, na jedynym punkcie kuli ziemskiej, który wiekuiście pozostaje nieruchomy, wtedy gdy wszystkie są pociągane ruchem, dobę trwającym!

Dopieroż tedy karykaturzyści mieli wolne pole do żartów.

We wszystkich witrynach znakomitszych księgarzy, we wszystkich kioskach większych miast europejskich, jak również w główniejszych miastach Związku – tego kraju wolności w najobszerniejszym znaczeniu słowa – ukazywały się szkice i rysunki, przedstawiające prezesa Barbicane, wysilającego się na wynalezienie najosobliwszych środków dostania się do bieguna.

Tu naprzykład śmiały ten amerykańczyk z motyką w ręku usiłował z pomocą członków Klubu Strzeleckiego przekopać podwodny tunel poprzez masy lodów, poczynając od pierwszych lawin lodowych aż do dziewięćdziesiątego stopnia szerokości północnej, chcąc przedostać się aż do końca osi.

Tam to wielce szanowny Impey Barbicane, w towarzystwie J. T. Mastona i kapitana Nicholl – których podobieństwo było znakomicie uchwycone – wysiadał z balonu na owym tak upragnionym miejscu i w końcu, po przejmujących grozą próbach, po przebyciu tysiąca niebezpieczeństw, wszyscy trzej zdobywali kawałek węgla... ważący pół funta. To było wszystko, co zawierały owe okrzykane pokłady węgla w strefach podbiegunowych.

J. T. Maston, niemniej jak jego zwierzchnik był wystawiony na złośliwe pociski szyderców. *Punch*, dziennik angielski, zamieścił następną karykaturę. Sekretarz Klubu Strzeleckiego, pochwycony przyciąganiem magnetycznym bieguna, został przykuty do ziemi swym haczykiem metalowym.

Musimy powiedzieć z tego powodu, że znakomity matematyk był zbyt żywego temperamentu, by mózgiem brać ze strony komicznej żart, który ośmieszał jego fizyczną ułomność. Był on nim niesłychanie zgorzchniony i możemy sobie wyobrazić, że Mistress Evangelina Scorbitt podzielała w zupełności jego sprawiedliwe oburzenie.

Inna karykatura, zamieszczona w *Czarnoksiężkiej Latarni*, wychodzącej w Brukseli, przedstawiała Impeya Barbicane i członków rady administracyjnej Stowarzyszenia działających wśród płomieni, jak żyjące w ogniu salamandry. Celem stopienia lodów oceanu, wyleli oni na jego powierzchnię całe morze alkoholu, potem zapalili to morze, przemieniając tym sposobem basen podbiegunowy w ogromną czarę ponczu. Robiąc igraszkę

ze słowa *punch*, które w angielskim języku oznacza pajaca, karykaturzysta belgijski posunął nieuszanowanie aż do tego stopnia, że przedstawił prezesa Klubu Strzeleckiego w postaci śmiesznego poliszynela.

Z tych wszystkich karykatur największe powodzenie miała ta, którą zamieścił dziennik francuzki *Charivari* z podpisem rysownika Stopa. W brzuchu wieloryba, umeblowanym i zaopatrzonym we wszystkie sprzęty, których wymaga komfort, siedzieli, grając w szachy, Impey Barbicane i J. T. Maston. Naśladując Jonasza, prezes i jego sekretarz nie wahali się dać połknąć ogromnemu potworowi morskemu, i za pomocą tego nowego sposobu przenoszenia się z miejsca na miejsce przepływali pod lodowemi krami, dążąc do portu, to jest do niedostępnego bieguna ziemi.

Flegmatyczny dyrektor nowego Stowarzyszenia niewiele w gruncie troszczył się tem nieumiarkowanem rozpasaniem pióra i ołówka. Pozwalał ludziom zabawiać się swoim kosztem, to jest mówić, śpiewać, parodiyować, karykaturyzować. Nie przeszkadzało mu to do prowadzenia dalej rozpoczętego dzieła.

To też po decyzji, powziętej na walnej naradzie, Stowarzyszenie, mocne koncesyą, otrzymaną od rządu związkowego, chcąc przystąpić niezwłocznie do eksploatawania okolic podbiegunowych, odwołało się do składki publicznej na sumę piętnastu milionów dolarów. Akcje, wydawane na sto dolarów każda, miały być spłacone jednorazowie. Otóż! tak wielkim był kredyt Barbicane and Co, że podpisujący się na składkę tłumnie zaczęli napływać. Należy wszakże wyznać, że byli oni wyłącznie mieszkańcami Stanów Zjednoczonych.

– Tem lepiej! – zawyrokowali stronnicy North Polar Practical Association. Dzieło będzie tym sposobem wyłącznie amerykańskie!

Rękojmia, jaką przedstawiała osobistość Barbicane and Co dla poczynającego się interesu, była tak poważną, spekulanci wierzyli z taką zaciętością w urzeczywistnienie jego obietnic w kwestyi przemysłowych korzyści, i z tak niewzruszoną wiarą pewni byli istnienia pokładów węgla pod biegunem północnym i możliwości eksploatawania ich, że kapitał nowego Stowarzyszenia po trzykroć zebrano.

Sumę zebraną zredukowano więc do trzeciej części i z dniem 16-ym grudnia kapitał zakładowy towarzystwa wynosił piętnaście milionów dolarów.

Suma ta była prawie trzy razy większą od zebranej również drogą publicznej składki przez Klub Strzelecki na koszt wysłania pocisku z ziemi do księżycy.

ROZDZIAŁ VI

W którym przerwaną jest rozmowa telefoniczna pomiędzy Mistress Scorbitt a panem J. T. Maston.

Nietylko prezes Barbicane uroczyście zapewnił, że dosięgnie celu, ale obecnie już i kapitał, którym rozporządzał, dozwalał mu dojść, gdzie zamierzył, bez potykania się o przeszkody – przytem zabrakłoby mu było niechybnie odwagi odwoływania się do funduszków publiczności, gdyby nie był aż nadto pewnym powodzenia.

Tak więc biegun północny miał zostać zdobyczą śmiałego geniuszu człowieka.

Nie ulegało wątpliwości, że prezes Barbicane i jego rada administracyjna mieli sposoby doprowadzenia wyprawy do pożądanego rezultatu, wbrew niepowodzeniu, które tylu innych spotkało. Mieli oni dokonać tego, czego nie dokonał ani Franklin, ani Kane, ani De Long, ani Nares, ani Greely. Tak jest, nie można było wątpić, że ci genialni ludzie przedostaną się poza ośmdziesiąty czwarty równoleżnik, obejmą w posiadanie obszary kuli ziemskiej, nabyte na pamiętnej licytacji, dodadzą do bandery amerykańskiej trzydziestą dziewiątą gwiazdę trzydziestego dziewiątego stanu, przyłączonego do Związku amerykańskiego.

– Błagierzy, fanfaroni – powtarzała zazdrosna czereda, złożona z delegatów europejskich i ich stronników ze Starego Łądu.

A jednak nic nad to nie było prawdziwszego, i ten sposób praktyczny, logiczny, nie ulegający wątpliwości zdobycia bieguna północnego – sposób prosty, rzecz można dziecinny – podany został przez Mastona. Z tego to mózgu, będącego w stanie wiekuistego wrzenia, w którym pomysły smażyły się w temperaturze, mogącej sprowadzić zapalenie, wynikł projekt tego wielkiego dzieła geograficznego, a zarazem i środek doprowadzenia go do pomyślnego rezultatu.

Nie będzie zbyt cennym, gdy powtórzymy po raz już nie wiem który, że sekretarz Klubu Strzeleckiego był znakomitym rachmistrzem, mogliśmy jeszcze dodać „emerytem”, gdyby to określenie nie miało znaczenia wprost przeciwnego temu, które mu ogólnie przypisują. Dla niego było igraszką rozwiązywać najzawilsze matematyczne zagadnienia. Śmiał się on z trudności tak w nauce o wielkościach, to jest w algebrze, jak w nauce o liczbach, to jest arytmetyce. Trzeba go było widzieć jak igrał ze znakami algebraicznymi, czy to one przedstawiały się literami alfabetu, oznaczając ilości i wielkości, czy to w liniach parzystych lub skrzyżowanych wskazywały stosunek, jaki można zaprowadzić pomiędzy ilościami i działaniem, jakiemu się je poddaje.

Ach! a mnożniki, wykładniki, znaki pierwiastkowe i inne orzeczenia, przyjęte w tym języku. Jakże te wszystkie znaki skakały pod piórem, a raczej pod kawałkiem kredy, migocącym na końcu jego żelaznego haczyka, gdyż bohater nasz lubił pracować przy czarnej tablicy. Tam to na powierzchni ledwie dziesięciu metrów kwadratowych – tyle bowiem potrzeba było panu J. T. Maston – oddawał się z całym zapalem namiętności swego temperamentu algebraisty. Cyfr małych nie używał on w swych rachunkach, nie! cyfry jego były fantastyczne, olbrzymie, kreślone ręką pełną ognia. Jego 2 i 3 zaokrąślały się jak lalki papierowe; 7 zarysowywały się jak szubienice, na których brakło tylko wisielca; jego 8 miały podobieństwo do pary okularów; jego 6 i 9 zakończone były olbrzymimi ogonami.

A cóż powiedzieć o literach, którymi kreślił swoje formuły, tak o pierwszych w alfabecie a , b , c , którymi oznaczał ilości znane lub dane i o ostatnich x , y , z , którymi się posługiwał dla określenia ilości nieznanych. Kreślił je jednym zamachem, z pewnym zacięciem; jego z zwłaszcza wykrzywiało się w kształt potworny! A jak wyglądały, jak imponującą miały postawę jego greckie litery, temi Archimedes i Euklides mógłby się słusznie pochwalić.

Co do znaków, kreślonych kredą białą i niepokalaną, to te były poprostu cudownymi. Jego $+$ wskazywały dobitnie, że są znakiem dodania dwóch ilości. Jego $-$, mimo pozornej pokory, pokaźnie wcale wyglądały. Jego \times jeżyły się jak krzyże Świętego Andrzeja. Co zaś do $=$, te dwie kreski, nieposzlakowanie równe, wskazywały, że J. T. Maston był synem kraju, w którym równość nie była częścią formułą, naturalnie pomiędzy typami rasy białej. Równie wspaniała była postać jego $<$ i $>$, rysowanych w rozmiarach zdumiewających. Co zaś do znaku \surd , który wskazuje pierwiastek jakiegokolwiek liczby lub ilości, był on jego tryumfem, a gdyby go jeszcze uzupełnił laską poziomą tej formy:



zdawałoby się, że to ramię wskazujące, wychodząc z granic czarnej tablicy, groziło całemu światu, że go zmusi uleść swym rozhukanym algebraicznym równaniom.

Nie sądźcie, że bystrość umysłu i osobliwe zdolności matematyczne J. T. Mastona ograniczały się do początkowej algebry! O nie! Ani rachunek różniczkowy, ani całkowy nie były mu obcemi; kreślił on ręką pewną ów sławny znak, oznaczający ilość skończoną, tę literę przerażającą w swej prostocie,



sumę ilości nieskończenie małych!

To samo też działo się ze znakiem \sum , który przedstawia sumę skończoną ilości skończonych, ze znakiem ∞ , którym matematycy oznaczają nieskończoność i z temi wszystkimi symbolami tajemnicznymi, których używa ten język, niepojęty dla ogółu śmiertelników.

Jednym słowem, ten człowiek zadziwiający zdolnym był wznieść się do najwyższych szczybli wysokości matematycznych.

Oto jakim był J. T. Maston! Oto dlaczego koledzy jego mogli pokładać w nim nieograniczoną ufność, skoro on się tylko podjął rozwiązania chociażby najzawilszych rachunków, obmyślonych przez ich śmiałe mózgownice! Oto, co skłoniło Klub Strzelecki do powierzenia mu zadania wysłania pocisku z ziemi do księżycy. I oto na koniec, dlaczego mistress Evangelina Scorbitt, upojona jego chwałą, powzięła dlań uwielbienie, graniczące z miłością.

Zresztą w wypadku obecnym – to jest w sprawie rozstrzygnięcia kwestyi zdobycia bieguna północnego – J. T. Maston nie potrzebował wznosić się w górne strefy analizy. By postawić nowych koncesjonaryuszów krain północnych w możliwości eksploataowania ich, sekretarz Klubu Strzeleckiego miał tylko zagadnienie mechaniczne do rozwiązania; było to zagadnienie zawile być może, wymagające formuł może zupełnie nowych i arcy osobliwych, ale on wywiąże się z tego z chlubą i honorem, jak zawsze.

Tak, można było zaufać panu J. T. Maston, pomimo, że najdrobniejsza omyłka mogła pociągnąć za sobą straty milionów. Ani razu od chwili, gdy jego dziecięcy umysł począł

przyswajając sobie pierwsze pojęcia o arytmetyce, nie pomylił się on choćby o włos jeden; gdyby mu coś podobnego kiedykolwiek się było zdarzyło, nie wahałby się być roztrzaskać swej czaszki z guttaperki.

Zdaje się, że dostatecznie uwydatniłszy zdolność, odznaczającą J. T. Mastona. Możemy więc poprzestać na tem, co zostało powiedziane. Teraz chcielibyśmy go zaprezentować czytelnikom w chwili sprawowania powierzonych mu obowiązków i w tym celu musimy się cofnąć o jakie kilka tygodni.

Działo się to na miesiąc prawie przed ogłoszeniem dokumentu, wystosowanego do mieszkańców dwóch półkuli, w czasie gdy Maston podjął się projekt, poddany swym kolegom, streścić i wykazać jego racjonalność cyframi, czarno na białem.

Od lat wielu J. T. Maston mieszkał pod numerem 179 przy ulicy Franklina, jednej ze spokojniejszych ulic w Baltimore, daleko od ruchu przemysłowego, którego nie rozumiał, daleko od hałasu tłumu, który w nim wstręt obudzał.

Tam to zajmował skromne mieszkanie, znane pod nazwą Balistic-Cottage. Pensyjka, którą pobierał jako dymisyonowany oficer artylerii, i druga, również niezbyt znaczna, którą mu jako sekretarzowi Klub Strzelecki wypłacał, stanowiły całe jego utrzymanie. Żył zupełnie samotnie, obsługiwany przez swego murzyna Fire-Fire (Ogień-Ogień!) – przewisko niesłychanie odpowiednie dla służącego artylerzysty. Murzyn ów nie był wcale zwyczajnym sługusem, ale dymisyonowanym kanonierem i obsługiwał swego pana w sposób, w jaki obsługiwał ongi swoje działo.

J. T. Maston był bezzęnnym z upodobania i z zasady, będąc przekonany, że bezżeństwo jest jedynym możliwym stanem na tym padole. Znał on to słowiańskie przysłowie: „Kobieta mocniej ciągnie za jeden włos, niż cztery woły za pług!” – powtarzał on je sobie i nie dawał się złapać.

To też samotność jego w Balistic-Cottage była zupełnie dobrowolną. Wiadomo, że jednym skinieniem mocen był zamienić swą samotność na samotność we dwoje, a był skromny na bogactwa milionera. Nie mógł powątpiewać o tem, że mrs. Evangelina Scorbitt byłaby szczęśliwą, gdyby... Ale J. T., jak dotąd przynajmniej, nie uważałby się za szczęśliwego, gdyby... I zdawało się rzeczą pewną, że te dwie istoty, jak gdyby umyślnie stworzone dla siebie – takie było przynajmniej zdanie czulej wdowy, – nie dokonają nigdy tego przeistoczenia.

Domek, zamieszkiwany przez Mastona, był bardzo skromny. Składał się z dołu i piętra z werandą. Mały salonik i mała salka jadalna wraz z kuchnią i spiżarnią, zawartemi w przyległym budynku, zajmowały dolne piętro. Na górze znajdował się pokój sypialny z oknami wychodzącymi na ulicę, pracownia z oknami na ogród, co ją chroniło od hałasów, dochodzących z ulicy. Było to schronienie uczonego i mędrca, gdzie dokonywały się takie wyliczenia, że pozazdrościłby ich niejedyn Newton, Laplace lub Cauchy.

Jakaż to różnica była z pałacem mrs. Evangeliny Scorbitt, wznoszącym się w najbogatszej dzielnicy miasta, z frontem ozdobionym balkonami i przystrojonym rzeźbiarskimi fantazyami architektury anglo-saksońskiej razem w stylu gotyckim i odrodzenia, z salonami bogato umeblowanymi, wspaniałym przysionkiem, galaryą obrazów, w której mistrze francuzcy zajmowali pierwsze miejsce, schodami marmurowymi, liczną służbą, stajniami, wozowniami, ogrodem, ozdobionym obszernymi trawnikami, wielkimi drzewami, wodotryskami, z panującą ponad wszystkimi budynkami wieżą, u szczytu której powiewała flaga niebieska ze złotem Scorbittów!

Trzy mile, tak jest, trzy wielkie mile co najmniej dzieliły hotel New-Park od Balistic-Cottage. Zato osobna nić telefoniczna łączyła te dwa mieszkania i na słowo „Allo! Allo!” które służyło za hasło komunikacji pomiędzy wiejskim domkiem i pałacem, rozmowa się zawiązywała. Jeśli rozmawiający nie mogli się widzieć wzajemnie, wzajemnie słyszeli się

doskonale. Nie zdziwi to nikogo, gdy powiemy, że mrs. Evangelina Scorbitt częściej przywoływała J. T. Mastona do swego aparatu drgającego, niż J. T. Maston przywoływał ją do swojego. Posłyszawszy wezwanie, nasz znakomity matematyk rzucał robotę nie bez widocznych oznak nieukontentowania i na przyjazne pozdrowienie odpowiadał mruknięciem, którego niezbyt uprzejme intonacje łagodził prawdopodobnie prąd elektryczny, poczem zasiadał znowu do swych zadań i teorem.

Działo się to w dniu 3 października, gdy po ostatniej, długiej bardzo konferencji, J. T. Maston pożegnał swych kolegów, by zasiąść do pracy. Praca ta była jedną z najważniejszych, jakich się kiedykolwiek podejmował – trzeba było bowiem obliczyć ściśle działalność mechaniczną, która miała ułatwić przystęp do bieguna północnego, a zarazem umożliwić eksploataowanie pokładów, ukrytych pod skorupą lodu.

J. T. Maston wyliczył, że mu potrzeba ośmiu dni na wykończenie swej tajemniczej roboty, istotnie nader skomplikowanej, nużącej i zawilej, bo wyliczenia te opierały się na mechanice, geometrii analitycznej, geometrii polarnej i trygonometrii.

By uniknąć wszelkiej przeszkody, postanowiono, że sekretarz Klubu Strzeleckiego schroni się do swego wiejskiego domku i że przez tych ośm dni nikt go nie będzie odwiedzać. Decyzja ta zmartwiła wielce mrs. Evangelinę Scorbitt, musiała wszakże się zrezygnować. To też jednocześnie z prezesem Barbicane, kapitanem Nicholl i ich kolegami: fertycznym Bilsby, pułkownikiem Bloomsberry i Tomem Hunter o drewnianych nogach – przybyła ona tegoż dnia po południu złożyć ostatnią wizytę panu J. T. Maston.

– Wszystko pójdzie pomyślnie; nieprawdaż, drogi Mastonie? – wyrzekła przy pożegnaniu.

– Przedewszystkiem nie zrób pan omyłki! – dodał, uśmiechając się, prezes Barbicane.

– Omyłki!... on!... – zawołała mrs. Evangelina, płonąć rumieńcem oburzenia.

– Jeśli Bóg nie pomylił się, układając prawa mechaniki niebios, nie pomyłę się i ja – odparł z wzorową skromnością sekretarz Klubu Strzeleckiego.

Nastąpiły uściśnienia dłoni, parę westchnień tłumionych, życzenia powodzenia i zalecania, by się nie nużył zbyt dużą pracą, poczem wszyscy pożegnali znakomitego matematyka. Podwoje Balistic-Cottage zamknęły się, a Fire-Fire otrzymał rozkaz nieotwierania ich nikomu – nawet prezydentowi Stanów Zjednoczonych, gdyby się zjawił w swej własnej osobie.

Przez dwa dni pierwsze swej samotności J. T. Maston poświęcił się rozmyślaniu nad danem mu zagadnieniem, nie biorąc kredki do ręki. Przeczytał kilka dzieł, traktujących o częściach składowych ziemi, o jej masie, ściśłości, objętości, kształcie, obrocie naokoło osi i ruchu wzdłuż drogi przebieganej – te bowiem dane miały służyć za podstawę jego wyliczeniom.

Najważniejsze z tych danych przedstawimy czytelnikowi:

Kształt ziemi: była kulista, dopełniająca peryodycznego obrotu w promieniu od 6,377,398 metrów do 6,356,080. Różnica ta pochodzi ze spłaszczenia naszej sferoidy przy biegunach.

Obwód ziemi przy równiku stanowi 40,000 kilometrów lub 10,000 mil.

Powierzchnia ziemi obejmuje w przybliżeniu 510 milionów kilometrów kwadratowych.

Objętość ziemi: około 1,000 miliardów kilometrów sześciennych, to jest sześciastów, mających każdy tysiąc metrów długości, szerokości i wysokości.

Gęstość ziemi: pięć razy prawie większa od wody, to jest cokolwiek większa od gęstości spatu ciężkiego, równająca się prawie gęstością jodu, jednym słowem wynosząca 5,480 kilogramów na metr sześcienny ziemi. Jest to wyliczenie zrobione przez Cavendish'a zapomocą wagi, wynalezionej i urządzonej przez Mitchell'a. Podług sprostowania,

zrobionego przez Baily, ciężkość metra sześciennego wynosi 5,670 kilogramów. To ostatnie wyliczenie zostało potwierdzone przez pp. Wilsing, Cornu, Baille i innych.

Trwanie obrotu ziemi naokoło słońca: 365 dni i godzin sześć, stanowiące rok słoneczny, albo, jeśli mamy być zupełnie dokładnymi, 365 dni 6 godzin 9 minut 10 sekund, co nadaje naszej sferoidzie – na jedną sekundę – szybkość 30,400 metrów, albo siedem mil.

Przestrzeń, przebiegana w krążeniu ziemi na swej osi przez punkty powierzchni, leżące na równiku: 463 metry na sekundę, lub 417 mil na godzinę.

Oto jakie były dane, które J. T. Maston wziął za podstawę do swych wyliczeń: metr, kilogram, sekunda i kąt środkowy, wychodzący z centrum jakiegobądź łuku, równego promieniowi.

Miało to miejsce dnia 5 października, około godziny piątej po południu. J. T. Maston, po dojrzałym rozmyśle, zabrał się do pracy piśmiennej. Niech nikt się nie dziwi, że z taką ścisłością datę rozpoczęcia tak wiekopomnego dzieła oznaczamy. Zaczął on swe zadanie od fundamentów, to jest od liczby, która przedstawia obwód ziemi przy równiku.

Tablica czarna stała gotowa w rogu pracowni na politurowanych nogach dębowych. Była ona dobrze oświetloną jednym z okien, które wychodziło na ogród. Małe laseczki kredy leżały rzędem na deszczulce, przymocowanej u dołu tablicy. Gąbka do ścierania znajdowała się w pobliżu pod lewą ręką matematyka. Ręka prawa a raczej ów przyprawiony haczyk miały kreślić figury, formuły i cyfry.

Na początek J. T. Maston jednym kolistym pociągiem kredki nakreślił obwód, przedstawiający ziemską sferoidę. Przy równiku zgięcie kuli ziemskiej zostało oznaczone linią pełną, przedstawiającą część poprzednią zgięcia, potem linią utworzoną z kropek, przedstawiającą część następną w sposób, uwydatniający kształt figury kulistej. Co zaś do osi, kończącej się u biegunów, nakreślił ją sztrychem prostopadłym w stosunku do równika i oznaczył literami N i S.

Nakoniec w prawym rogu tablicy wypisał liczbę, przedstawiającą ilość metrów obwodu ziemi:

40,000,000.

Dopełniwszy tego, pogrążył się w swych wyliczeniach.

Zajęty niemi, zapomniał o świecie bożym i nie zwrócił uwagi na stan powietrza, w którym znaczna zmiana zaszła od południa. Od godziny blisko gotowało się na jedną z tych gwałtownych burz, które wstrząsają organizmem wszelkiej żyjącej istoty. Sine chmury, podobne do bladawych płacht śniegu, skupione na tle szaro-matowem, przesuwały się ociężale ponad miastem. Huk grzmotu w oddali odbijał się dźwięcznym echem pomiędzy ziemią i przestrzenią. Kilka błyskawic zaświeciło w parnym powietrzu i naprężenie elektryczne doszło ostatecznych granic.

Zatopiony w swej pracy, J. T. Maston nie widział i nie słyszał nic.

Wtem dźwięk dzwonka elektrycznego przerwał milczenie, zalegające gabinet uczonego.

– Masz sobie! – mruknął Maston. – To mi dopiero natręctwo. Nie mogąc wejść drzwiami, przeszkadzają mi zapomocą telefonu!... Śliczny wynalazek dla ludzi, którzy potrzebują mieć choć chwilę spokoju!... Będę zmuszony przerwać prąd na czas trwania mojej pracy.

A zbliżając się do przyrządu, spytał:

– Czego tam chcą ode mnie?

– Zamienić słów kilka – odpowiedział głos kobiecy.

– Któż to mówi?...

– Czyżes mnie pan nie poznał, drogi panie Maston?... To ja jestem... mistress Scorbitt!

– Mistress Scorbitt!... Czy uwzięła się nie dać mi ani chwili wytchnienia!

Te ostatnie słowa, niezbyt uprzejme dla zajmującej wdówki, zostały wymówione, szczęściem, w pewnej odległości od aparatu.

Poczem J. T. Maston, pojmując, że mu niepodobna wykręcić się od odpowiedzi chociażby jakim zdawkowym frazesem, przemówił:

– Ach! więc to pani jesteś?

– Tak, ja, drogi panie Maston!

– A czego pani życzysz sobie, mistress Scorbitt?

– Chcę zawiadomić pana, że gwałtowna burza wybuchnie lada chwila!

– I cóż ztąd? Wszak nie mogę temu przeszkodzić...

– Tak, zapewne, ale jestem niespokojna, czyś pan kazał pozamykać okna...

Zaledwie mrs. Evangelina Scorbitt dokończyła tych słów, gdy straszliwy huk grzmotu rozległ się w powietrzu. Zdało się, jakby ogromną sztukę jedwabiu rozdarto na przestrzeni mil kilkunastu. Piorun upadł w pobliżu Balistic-Cottage, a płyn, przeprowadzony nicią telefonu, napelnił w mgnieniu oka gabinet uczonego.

J. T., pochylony nad blachą aparatu, otrzymał w samą twarz uderzenie prądu. Policzek ten był chyba najsilniejszym, jaki mogło kiedykolwiek dostać oblicze uczonego. Następnie iskra elektryczna, przebiegłszy metalowy haczyk naszego uczonego, przewróciła go, jak domek z kart. Jednocześnie tablica czarna, potrącona przez niego, padła w drugi koniec pokoju. Ostatecznie piorun, wypadłszy przez niedostrzegalny otwór w szybie, trafił na rurę przewodową i zarył się w ziemi.

Ogłuszony – czemu dziwić się nie powinniśmy, – J. T. Maston podniósł się, potarł, krzywiąc się, różne części ciała i przekonał się, że jest cały i nieuszkodzony. Dopelniwszy tego, z całą zimną krwią, jak przystało na byłego kanoniera, zabrał się do przywrócenia porządku w pracowni – ustawił na nowo sztalugi, ułożył na nich tablice, pozbierał kawałki kredy, porozrzucane na dywanie, i zasiadł do pracy, tak niefortunnie przerwanej.

Wtem spostrzegł, że, skutkiem spadnięcia tablicy, napis, skreślony po prawej stronie, a oznaczający przestrzeń obwodu równika, został w połowie starty. Miał go właśnie poprawić, gdy wtem dzwonek rozległ się powtórnie i to jakimś gorączkowym dźwiękiem.

– Znowu! – burknął Maston.

Podszedł do aparatu.

– Kto tam?... – spytał.

– Mistress Scorbitt.

– Czego chce mistress Scorbitt?

– Czy ten straszny piorun nie uderzył czasem w Balistic-Cottage?

– Tak coś zdaje się!

– Wielki Boże! Więc piorun...

– Uspokój się, mistress Scorbitt!

– Czy nic złego nie spotkało cię, drogi Mastonie?

– Nie spotkało.

– Czy pewien jesteś tego, że nie zostałeś tknięty?...

– Jestem tknięty jedynie pani życzliwością – odpowiedział z galanterią J. T. Maston.

– Dobra noc, drogi Mastonie!

– Dobra noc, droga mistress Scorbitt!

A wracając na swoje miejsce, dodał:

– Niech dyabli porwą tę babę razem z jej troskliwością! Gdyby mnie nie była przyzwała tak nie w porę do telefonu, nie zostałbym narażony na niebezpieczeństwo zabicia od pioruna!

Tym razem mrs. Scorbitt pozostawiła naszego uczonego w spokoju. Nic już nie miało przeszkodzić J. T. Mastonowi do dokończenia rozpoczętego zadania. Aby zapewnić sobie zupełne bezpieczeństwo z tej strony, przerwał komunikację elektryczną.

Biorąc za podstawę liczbę przed chwilą napisaną, wyprowadził z niej różne formuły, na koniec formułę ostateczną, którą umieścił na prawej stronie tablicy, starszy wprzód cyfry, z których ją wyprowadził. Następnie pogрузił się w nieskończonej seryi znaków algebraicznych...

W tydzień potem, a było to dnia 11 października, te zdumiewające wyliczenia zostały ukończone i sekretarz Klubu Strzeleckiego przyniósł swoim kolegom z miną prawdziwego tryumfatora rozwiązanie problemu, na które oczekiwali z bardzo naturalną ciekawością.

Sposób praktyczny dostania się do bieguna północnego dla eksploatacji kopalni węgla ziemnego był ze ścisłością matematyczną obliczony. Tak więc powstało Stowarzyszenie pod firmą „North Polar Practical Association”, któremu rząd Waszyngtonu udzielił koncesję na kraje północne na wypadek, gdyby rezultat licytacji oddał je mu na własność. Wiemy już, w jaki sposób odbyła się licytacja i kto otrzymał koncesję. Po dopełnieniu wszystkich potrzebnych formalności nowe Stowarzyszenie odwołało się do współdziałania kapitalistów obu półkul.

ROZDZIAŁ VII

W którym prezes Barbicane mówi tylko tyle, ile mu powiedzieć wypada.

W dniu 22 grudnia wszyscy należący do składki na rzecz Stowarzyszenia „Barbicane and Co.” zostali wezwani na ogólne zebranie. Jako miejsce zebrania się oznaczono salony Klubu Strzeleckiego, mieszczące się w hotelu Union-square. Prawdę powiedziawszy, nie mogły one pomieścić tłumu niezliczonego akcyonaryuszów. Ale czy sposób jest odbyć meeting na dworze, na jednym z placów Baltimore, w porze, w której termometr opada o dziesięć stopni poniżej zera?

Obszerny przysionek Klubu Strzeleckiego był zazwyczaj – zapewne pamiętają o tem czytelnicy – ozdobiony działami rozmaitego kalibru, świadczącymi o szlachetnem powołaniu jego członków. Wyglądał on jak prawdziwe muzeum artylerji. Przytem meble, tak stołki jak stoły, fotele jak sofy, przypominały swą formą dziwną te narzędzia mordercze, które posłały do lepszego świata tylu zacnych ludzi, pragnących najgoręcej umrzeć nieinaczej jak ze starości.

Otóż tedy w dniu owego zebrania powynoszono te drogocenne sprzęty. Prezes Barbicane bowiem nie wojennemu, ale przemysłowo-pokojowemu zgromadzeniu miał przewodniczyć. Trzeba było usunąć zwyczajne umeblowanie, by zrobić miejsce dla licznych akcyonaryuszów, zbiegających się ze wszystkich punktów Stanów Zjednoczonych. W przysionku, jak również w przyległych salonach, pchano się, tłoczono, duszono, że już nie wspomnimy o tłumie, którego koniec sięgał samego środka Union-square’u.

Samo się przez się rozumie, że członkowie Klubu Strzeleckiego, którzy najpierwsi podpisali się na składkę dla nowego Stowarzyszenia, zajmowali miejsca w pobliżu biura. Pomiędzy nimi wyróżniały się oblicza tryumfujące i rozpromienione pułkownika Bloomsberry, Tom’a Hunter o drewnianych nogach, i ich kolegi, fertycznego Bilsby. Wygodny fotel był z przynależną galanterją zachowany dla mrs. Evangeliny Scorbitt, która, co prawda, miałaby prawo, będąc w znaczniejszej części właścicielką nieruchomości podbiegunowej, zasiąść tuż obok prezesa Barbicane. Tłum kobiet, należących do wszystkich warstw społeczeństwa, mienił się różnemi barwami kapeluszy, upstrzonych kwiatami piór najdziwniejszych, wstęg najróżnokolorowszych, i cały ten tłum hałaśliwy tłoczył się pod oszklonem sklepieniem przysionka.

Wogóle, a przynajmniej w ogromnej większości, akcyonaryusze, obecni na tem zebraniu, mogli być uważani nietylko jako stronnicy, ale jako przyjaciele osobiści członków Rady administracyjnej.

Zrobimy tu małą uwagę. Delegaci europejscy, to jest: szwedzki, duński, angielski, holenderski i ruski, zajmowali miejsca wyłącznie dla nich przeznaczone, a jeśli należeli do tego zebrania, to dlatego, że każdy z nich zakupił pewną liczbę akcji, co mu dawało prawo do rady. Tak jak byli jednomyślnymi w pragnieniu nabycia krajów podbiegunowych, tak teraz również jednomyślnie pragnęli wyszyci nabywców. Można łatwo wyobrazić sobie, jak bardzo byli ciekawi usłyszeć to, co prezes Barbicane miał na zebraniu oznajmić interesowanym. Wiadomość ta miała bezwątpienia rzucić światło na środki, obmyślane w celu dostania się do bieguna północnego. W tem bowiem leżała największa trudność, stokroć większa od samego eksploataowania kopalni węgla. Jeżeli znajdzie się jaki zarzut do zrobienia,

delegaci: Eryk Baldenak, Borys Karkow, Jakób Jansen, Jan Harald, nie omieszkają zabrać głosu. Ze swej strony major Donellan, namawiany przez Deana Toodrink, postara się przyprzeć do muru współzawodnika swego, Impeya Barbicane.

Była ósma godzina wieczorem. Przysionek, salony, dziedzińce Klubu Strzeleckiego błyszcząły światłem żyrandoli Edisona. Od chwili otwarcia podwoi, obleżonych przez publiczność, gwar rozpraw nie ustawał ani na chwilę. Wszystko jednak uciszyło się, skoro odzwierny oznajmił przybycie Rady administracyjnej.

Tam, na estradzie, przybranej w draperye, za stołem, przykrytym ciemnym sukniem, zasiadł pod samem światłem żyrandola prezes Barbicane, sekretarz J. T. Maston i kolega ich, kapitan Nicholl. Potrójne „hurra!” zagrzmiało pod sklepieniem przysionka, rozlegając się aż w przyległe ulice.

J. T. Maston i kapitan Nicholl zasiedli uroczyście, w pełni sławy.

Wówczas prezes Barbicane, który stał dotąd, włożył rękę lewą do kieszeni, prawą za kamizelkę i w te słowa przemówił:

„Szanowni akcyonaryusze i akcyonaryuszki!

„Rada administracyjna North Polar Practical Association zgromadziła was w salach Klubu Strzeleckiego celem udzielenia wam ważnej wiadomości.

„Dowiedzieliście się z piśmiennej szermierki dzienników, że celem naszego nowego Stowarzyszenia jest wyzyskanie pokładów węgla ziemnego przy biegunie północnym, i na te pokłady otrzymaliśmy koncesję rządu związkowego. Posiadłość ta, nabyta na publicznej sprzedaży, jest udziałem właścicieli interesu, o którym mowa. Fundusze, oddane im do rozporządzenia, a zebrane składką, ukończoną w dniu 11 grudnia zeszłego roku, stawiają ich w możności uorganizowania tego przedsięwzięcia, którego korzyści wyniosą procent, jakiego po dziś dzień nie przyniosła jeszcze ani jedna operacya handlowa lub przemysłowa.”

W tem miejscu dały się słyszeć szmery zadowolenia, które na chwilę przerwały wylew krasomówczej werwy przemawiającego.

„Jest wam wiadomem – ciągnął dalej, – co nas naprowadziło na przypuszczenie istnienia obfitych pokładów węgla ziemnego, a może nawet słoniowej kości kopalnej, w strefach podbiegunowych. Dokumenty, ogłoszone przez dzienniki świata całego, nie pozwalają na najmniejszą wątpliwość co do istnienia tych pokładów.

„Otóż tedy, moi panowie, węgiel ziemny jest źródłem i podstawą całego tegoczesnego przemysłu. Nie mówiąc już o węglu, zużywanym na opał lub na wyprodukowanie pary i elektryczności, czyż zdołam wyliczyć rozmaite produkty, jakie mu zawdzięczamy? farby: czerwoną, mchową, indygo, karminową; perfumy wanilii, gorzkich migdałów, gwoździkowe, winter-green, anyżowe, kamforowe, macierzankowe, heliotropowe; kwas salicylowy, antipirynę, benzynę, naftalinę, taninę, saccharinę, smołę, asfalt, żywicę, oliwę do smarowania kół, pokost i t.d., i t.d.”

Wyrecytowawszy to wszystko jednym tchem, mówca zaczerpnął płucami powietrza, jak zdyszany szybkobiegacz, który staje w biegu na chwilę, by nabrać tchu. Potem ciągnął dalej:

„Jest rzeczą pewną, że węgiel ziemny, ta materya cenna ponad wszystko, wyczerpie się w czasie niedalekim wskutek niepomiernego jej zużywania. Nim pięćset lat upłynie, kopalnie węgla, obecnie eksploatowane, opróżnią się całkowicie.”

– Nie wystarczą one i na trzysta lat! – zawołał jeden ze słuchaczy.

– Ani nawet na dwieście! – dodał drugi.

„Czy czas ten nadejdzie prędzej, czy później – mówił dalej prezes Barbicane, – my wystawmy sobie, że zbraknie nam węgla przed końcem dziewiętnastego wieku, i usiłujmy odkryć nowe jego pokłady.”

Tu nastąpiła przerwa, pozwalająca słuchaczom nastawić dobrze uszu, a następnie dalszy ciąg zaczętej przemowy:

„Dlatego to, szanowni panowie i panie, powstańmy i pędźmy do północnego bieguna.”

Publiczność poruszyła się, powstała, gotowa pakować się w drogę, jak gdyby prezes Barbicane miał tuż pod ręką okręt, udający się w kraje północne.

Uwaga, rzucona głosem cierpkim a donośnym przez majora Donellan, powstrzymała ten ruch, cechujący zarówno zapał jak nierozwagę.

– Nim odbijecie od lądu – rzekł, – pozwolę sobie zadać pytanie: w jaki sposób zamierzacie się dostać do bieguna? Czy czasem nie wodą?

– Ani wodą, ani ziemią, ani powietrzem – odpowiedział ze słodyczą prezes Barbicane.

Zgromadzenie usiadło, miotaną łatwą do zrozumienia ciekawością.

„Nie jest to dla was tajemnicą – prawil dalej mówca, – jakie robiono usiłowania celem dostania się do tego niedostępnego punktu ziemskiej półkuli. Wszelako uważam za stosowne przypomnieć wam to w krótkości. Będzie to oddaniem hołdu winnego śmiałym pionierom, którzy wyszli zwycięzko, lub zginęli w tych nadludzkich wyprawach.”

W tem miejscu szmer pochwalny dał się słyszeć w całym zgromadzeniu.

„W 1845 roku – mówił dalej prezes Barbicane – angił Jan Franklin w trzeciej wycieczce na okrętach Erebus i Terror, której celem było przedostanie się do bieguna, Jan Franklin, powtarzam, zapuszcza się w okolice północne i ginie bez wieści.

„W 1854 roku amerykańnik Kane i jego porucznik Morton puszczają się odważnie na poszukiwanie Jana Franklina. Powracają cali z wyprawy, ale bez okrętu Advance, który zaginął wśród lodowisk.

„W roku 1859 angił Mac Clintock odnajduje dokument, z którego dowiaduje się, że nie pozostała ani jedna dusza żyjąca z załogi Erebusa i Terrora.

„W roku 1860 amerykańnik Hayes wyrusza z Bostonu na statku United-States, przepływa poza ósmdziesiąty pierwszy równoleżnik i powraca w r. 1862, nie zdoławszy dostać się wyżej, pomimo bohaterkich usiłowań swych towarzyszy.

„W roku 1869 kapitanowie Koldervej i Hegemann, obaj niemcy, wyruszają z Bremerhaven na okrętach Hansa i Germania. Hansa, zmiążdżona przez lodowiska, tonie cokolwiek poniżej siedmdziesiątego pierwszego stopnia szerokości, a załoga zawdzięcza swe ocalenie jedynie szalupom, które jej ułatwiają przedostanie się na wybrzeża Grenlandyi. Pomyślniejszym jest los Germanii, która powraca do portu Bremerhaven, nie zdoławszy wszakże przepłynąć poza siedmdziesiąty siódmy równoleżnik.

„W roku 1871 kapitan Hall odpływa z New-Yorku na statku Polaris. W cztery miesiące potem ten odważny marynarz umiera z wycieńczenia i trudów podczas ciężkiej zimy. W rok potem Polaris, pchany lodowiskami, ginie, rozbity przez kołyszące się kry, nie wzniołszy się nawet do ósmdziesiątego drugiego stopnia szerokości. Ośmnastu ludzi z załogi, odpłynawszy pod rozkazami porucznika Tyson na tratwie z lodu, pchanej falami oceanu, dostają się żywi do lądu. Trzynastu ludzi, pozostałych na parowcu, ginie wraz z nim.

„W roku 1875 angił Nares opuszcza Portsmouth na okrętach Alerte i Découverte. Podczas tej pamiętnej wyprawy, w której załoga staków rozłożyła zimowe kwatery pomiędzy ósmdziesiątym drugim i ósmdziesiątym trzecim równoleżnikiem, kapitan Markham, posuwając się w kierunku północy, stanął o czterysta tylko mil (740 kilometrów) od bieguna północnego, dokąd nie dostał się przed nim żaden żywy człowiek.

„W roku 1879 nasz znakomity rodak i współobywatel Gordon Bennett...”

W tem miejscu potrójne hurra zagrzmiało na cześć „znakomitego współobywatela”, redaktora „New York Herald.”

„... uzbraja statek Jeannette i powierza go dowództwu komendanta De Long, należącego do rodziny pochodzenia francuskiego. Jeannette wyrusza z San Francisco z trzydziestu trzema ludźmi, przepływa cieśninę Behringa, ujęta jest pomiędzy ławy lodowe na wysokości wyspy Herald i zatapia się w morzu na wysokości wyspy Bennett, mniej więcej przy siedmdziesiątym siódmym równoleżniku. Załoga nie widzi przed sobą innego środka ocalenia, jak skierować się na południe w czółenkach, ocalonych od rozbicia i ciągnionych po wierzchu ław lodowych. Głód i zimno dziesiątkują ich. Komendant De Long umiera w październiku. Znaczna liczba jego towarzyszy ginie również i zaledwie dwunastu powraca z wyprawy.

„Nakoniec w roku 1881 amerykańnik Greely wyrusza z portu Saint-Jean w Nowej Ziemi na parowcu Proteusz, celem zaprowadzenia stacyi w zatoce Lady Franklin, na ziemi Granta, cokolwiek niżej ósmdziesiątego drugiego stopnia. Tam to założono fortecę Conger. Ztamtąd śmiali, zahartowani na zimno podróżnicy udają się na zachód i północ zatoki. Porucznik Lockwood wraz z towarzyszem Brainardem w maju 1882 roku wznoszą się aż do ósmdziesiątego trzeciego stopnia, prześcigając kapitana Markhama o kilka mil.

„Jest to najdalszy po dziś dzień doścignięty punkt. Jest to Ultima Thule kartografii podbiegunowej!”

W tem miejscu zagrzmiały hurra na cześć podróżników amerykańskich.

„Ale – ciągnął dalej prezes Barbicane – wyprawa ta miała się nieszczęśliwie zakończyć. Proteusz tonie, a dwudziestu czterech osadników Północy skazanych jest na najstraszniejszą niedolę. Doktor Pavy, francuz rodem, i wielu innych giną marnie. Greely, któremu przychodzi w pomoc Thétis w 1883 r., przywozi z powrotem zaledwie sześciu towarzyszy. Jeden z bohaterów, porucznik Lockwood, ginie również, przydając jeszcze jedno nazwisko do bolesnej martyrologii tych krain.”

Tym razem milczenie pełne poszanowania przyjęło słowa prezesa Barbicane, którego wzruszenie podzielało całe zgromadzenie.

Prezes mówił dalej donośnym głosem:

„Tak więc, pomimo tylu poświęceń i takiej odwagi, ósmdziesiąty czwarty równoleżnik nie został ani razu przekroczony. A nawet ósmieję się twierdzić, że nie stanie się to nigdy przy pomocy środków, dotychczas używanych, czy to okrętami, dla dostania się do ław lodowych, czy to tratwami, dla przesuwania się po nich. Nie jest danem człowiekowi narażać się bezkarnie na takie niebezpieczeństwa, znosić takie obniżenie temperatury. Innych dróg trzeba spróbować, chcąc zdobyć biegun północny.”

Znać było po drzeniu, wstrząsającym słuchaczy, że nadeszła chwila, w której wiadomość najbardziej ich interesująca, tajemnica najgorączkowej a bezskutecznie zgłębianą, miała im być objawioną.

– Jakże się pan do tego weźmiesz, mój panie? – spytał ironicznie delegat Anglii.

– Za dziesięć minut dowiesz się o tem, majorze Donellan – odpowiedział prezes Barbicane, – i dodam jeszcze – mówił, zwracając się do akcyonaryuszów: – Miejcie w nas ufność, panowie, gdyż promotorzy tego przedsięwzięcia są to ci sami, którzy, wyruszywszy w pocisku walcowato-konicznym...”

– Walcowato-konicznym! – zawołał złośliwie Dean Toodrink.

„... odważyli się jechać na księżyc...”

– Z którego, jak widzimy, powrócili! – dodał sekretarz majora Donellan, którego nieprzyzwoite obserwacje wywołały powszechne oburzenie.

Ale prezes Barbicane wzruszył ramionami i prawił dalej głosem pewnym:

„Tak jest, za dziesięć minut, panowie i panie, dowiedcie się, o co chodzi!”

Szmer, złożony z przeciągłych oh! eh! i ach! przyjął to oświadczenie.

W istocie, zdawało się, że mówca powiedział do swych słuchaczy:

„Nim dziesięć minut minie, znajdziemy się u bieguna.”

Mówił dalej w tych słowach:

„Ale najpierw zadajmy sobie pytanie: czy to ląd stały stanowi tę północną pokrywę ziemi? Czy nie jest to czasem morze, a komendant Nares czy nie miał czasem słuszności, nazywając ją „morzem paleokrystycznym”, to jest morzem dawnych lodów? Na to pytanie odpowiadam: Nie, nie jesteśmy tego zdania, nie sądzimy, aby tak było.”

– Takie twierdzenie nie jest wystarczającym! – zawołał Eryk Baldenak. – W kwestyi tej nie należy „sądzić”, ale być pewnym...

„A więc jesteśmy pewni, odpowiem memu niecierpliwemu współzawodnikowi. Tak jest. Nie jest to morze, lecz grunt stały, który nabyło Stowarzyszenie North Polar Practical Association i którego obecnie, gdy został własnością Stanów Zjednoczonych, żadna potencja europejska nie zdoła im wydrzeć!”

Daje się słyszeć szmer na ławach, zajmowanych przez delegatów Starego Świata.

– To mi dopiero nabytek!... Dziura pełna wody... miednica... której niezdolni jesteście wypróżnić! – zawołał Dean Toodrink.

Koledzy przytakiwali mu szmerem zadowolenia.

„Nie, moi panowie – odparł z żywością prezes Barbicane. – Tam się znajduje ląd, ląd stały, płaszczyna, która się wznosi... może jak pustynia Gobi w Azji środkowej... o trzy lub cztery kilometry ponad powierzchnię morza. To, co powiadam, zostało łatwo i logicznie wywnioskowane z obserwacji, robionych na okolicach granicznych, których kraje podbiegunowe są niejako przedłużeniem. W swych podróżach celem zwiedzenia tych stron Nordenskjöld, Peary, Maaignard sprawdzili, że Grenlandya, to jest powierzchnia jej, wznosi się coraz bardziej, idąc w kierunku północy. O sto sześćdziesiąt kilometrów ku środkowi, idąc od wyspy Diskö, wysokość powierzchni jest na dwa tysiące trzysta metrów. Otóż ze względu na te spostrzeżenia, tudzież ze względu na rozmaite płody, tak zwierzęce, jak roślinne, znajduwane w odwiecznych skorupach lodowych, jak na przykład szkielety mastodontów, kły i zęby słoniowe, pnie drzew szyszkowatych, można twierdzić napewno, że ląd ten był niegdyś ziemią żyzną, zamieszkaną przez zwierzęta napewno, przez ludzi prawdopodobnie. Zostały tam zagrzebane gęste lasy z czasów przedhistorycznych, zamienione obecnie na pokłady węgla ziemnego, które nie omieszkamy wydobyć. Tak! to, co rozciąga się wkoło bieguna, jest lądem stałym, lądem, nietkniętym nogą ludzką, lądem, na którym zatknijemy wkrótce flagę Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej.

Grzmot oklasków.

Skoro ostatnie echa ucichły w dalekich zakrętach skweru Union, usłyszano piskliwy dyszkant majora Donellan. Oto co mówił on:

– Upłynęło już siedm minut z dziesięciu, w ciągu których miałeś nas pan zaprowadzić do bieguna...

– Będziemy tam za trzy minuty – odrzekł oschle prezes Barbicane.

I ciągnął dalej:

„Jednakże ląd ten, stanowiący nabytą przez nas nieruchomość, a wysoko wzniesiony ponad powierzchnię morza, jak to jest naszym ogólnym mniemaniem, jest okryty wiekiustymi lodami, zavalony lodowymi górami i polami, jednym słowem znajduje się w takich warunkach, że eksploatacja węgla byłaby trudną...”

– Niemożliwą! – powiedział Jan Harald, podkreślając to twierdzenie wymownym ruchem.

„Niemożliwą, niech i tak będzie – odpowiedział Impey Barbicane. – Otóż właśnie nasze usiłowania dążą do usunięcia tej niemożliwości. Nietylko nie będziemy potrzebowali

okrętów, ani sani, by dojść do bieguna, ale, dzięki mającym być użytymi przez nas środkiem, stopienie lodów dawnych i nowych dokona się jakby dotknięciem różdżki czarodziejskiej i nie będzie kosztowało ani jednego dolara z naszego kapitału, ani jednej minuty z naszej pracy.”

Tu nastąpiła cisza, jakby makiem zasiał. Słuchacze zbliżali się do chwili uroczystej, jak się elegancko wyraził Dean Toodrink, szepcząc swoje obserwacje do ucha Jakóba Jansena.

„Panowie – mówił dalej prezes Klubu Strzeleckiego, – Archimedes, by ruszyć świat z posad, potrzebował tylko... punktu oparcia. Otóż ten punkt oparcia znaleźliśmy. Wielki geometra Syrakuzy szukał dźwigni... tę dźwignię my posiadamy. Jesteśmy więc w możności ruszyć z miejsca biegun...”

– Ruszyć z miejsca biegun!... – zawołał Eryk Baldenak.

– Sprowadzić go do Ameryki!... – krzyknął Jan Harald.

Zapewne prezes Barbicane nie chciał jeszcze wypowiedzieć wszystkiego, gdyż, nie odpowiadając na te wykrzykniki, mówił dalej:

„Co zaś do punktu oparcia...”

– Nie wymieniaj go! nie wymieniaj! – zawołał jeden z przytomnych głosem gromkim.

„Co zaś do tej dźwigni...”

– Zachowaj to w tajemnicy!... – krzyknęła większość zebranych widzów.

„Stanie się, jak żądacie...” – odpowiedział prezes Barbicane.

Można wyobrazić sobie, jak dalece odpowiedź ta podrażniła delegatów europejskich. Pomimo ich natarczywych żądań, mówca nie wyjawiał sekretu. Poprzestał na dodaniu jeszcze słów paru:

„Co się zaś tyczy rezultatów pracy mechanicznej, pracy, niemającej podobnej sobie w rocznikach przemysłu, a którą mamy rozpocząć i doprowadzimy do końca dzięki współdziałaniu waszych kapitałów, niezwłocznie was o niej powiadomię.”

– Słuchajcie!... Słuchajcie!

Można wyobrazić sobie, jak słuchano!

„Najprzód – mówił dalej prezes Barbicane – pomysł tego nadzwyczajnego dzieła zawdzięczamy jednemu z naszych najuczestniejszych, najbardziej poświęconych, najznakomitszych kolegów. Jemu również należy się chwała za to, że obliczeniami swymi umożliwił zamienienie tego pomysłu w czyn, przejście z teorii do praktyki, gdyż jeśli eksploataowanie pokładów węgla w krajach północnych jest igraszką, poruszenie z miejsca bieguna jest problemem, który rozwiązać mogła jedynie wyższa mechanika. Oto dlaczego zwróciliśmy się do szanownego sekretarza Klubu Strzeleckiego, pana J. T. Mastona.”

– Niech żyje J. T. Maston! – krzyknęło całe zgromadzenie, zelektryzowane obecnością tej znakomitej i nadzwyczajnej osobistości.

Ach! jakże rozkosznie wzruszoną była mrs. Evangelina Scorbitt oklaskami, jakie zagrzmiały na cześć sławnego matematyka, jak błogo wstrząsnęły one jej kochającym sercem!

On tymczasem, pełen skromności, która go zawsze cechowała, pochylał z wolna swą głowę w prawo i w lewo, i końcem haczyka salutował rozentuzyzmowaną publiczność.

„Szanowni akcyonariusze – mówił znowu prezes Barbicane, – jeszcze podczas owego wielkiego mitingu, którym obchodziliśmy przybycie francuza Michała Ardana do Ameryki, na kilka miesięcy przed naszą wycieczką na księżyc...”

Ten yankes mówił z taką prostotą o tej podróży, jakby szło o przejażdżkę z Baltimore do Nowego Yorku!

„... J. T. Maston wykrzyknął: „Wynajdźmy maszyny, znajdziemy punkt oparcia i wyprostujemy oś ziemi!” Otóż, wy wszyscy tu obecni, wiedźcie... Maszyny odpowiednie są wynalezione, punkt oparcia odkryty: wszystkie nasze usiłowania zwrócimy do wyprostowania osi ziemskiej!”

Tu nastąpiła chwila ogólnego zdumienia, na określenie którego jedni tylko francuzi mają odpowiednie ludowe orzeczenia.

– Jakto!... Panu się marzy naprostować oś ziemi? – wrzasnął major Donellan.

– Tak, panie – odpowiedział prezes Barbicane, – a raczej mamy sposób stworzyć nową, na której będzie odąd odbywać się obrót dzienny...

– Zmienić obrót dzienny!... – powtórzył pułkownik Karkow, którego oczy rzucały błyskawice.

– Tak jest, i nie zmieniając jego trwania – odpowiedział prezes Barbicane. – Operacja, przez nas obmyślana, sprowadzi biegun terazniejszy mniej więcej na sześćdziesiąty siódmy równoleżnik, i w tych warunkach z ziemią będzie to samo, co z planetą Jowiszem, którego oś jest prawie prostopadłą w stosunku do planu drogi, przez nią przebieganej. Otóż to poruszenie z miejsca na przestrzeń dwudziestu trzech stopni i dwudziestu ośmiu minut będzie wystarczającym, by naszej planecie dać ilość ciepła, mogącą stopić lody, nagromadzone od milionów wieków!

Publiczność była w podziwieniu. Nikt nie przerywał mówcy, nikt nie myślał nawet o oklaskach. Wszyscy byli pod czarem tej idei, jednocześnie genialnej i prostej: zmienić oś, na której obraca się ziemski sferoida!

Zaś europejscy delegaci byli całkiem oszołomieni, zmiażdżeni, unicestwieni – siedzieli w milczeniu, pogrążeni w zupełnym osłupieniu.

Ale oklaski zabrzmiały z niesłychaną siłą, skoro prezes Barbicane zakończył swą przemowę wnioskiem, szczytnym swą prostotą:

„Tak więc słońce samo podejmie się stopić lodowe góry i ławy lodowe, słońce samo umożliwi przystęp do bieguna północnego!”

– A zatem – powiedział major Donellan, – ponieważ człowiek nie może dojść do bieguna, biegun sam przyjdzie do człowieka?...

– Nieinaczej! – odrzekł prezes Barbicane.

ROZDZIAŁ VIII

„*Tak jak na Jowiszu?*” – powiedział prezes Klubu Strzeleckiego.

Tak jest! Tak jak na Jowiszu!

Podczas pamiętnego posiedzenia na owym mitingu na cześć Michała Ardana – przypomnianym bardzo w porę przez mówcę – jeśli J. T. Maston wykrzyknął zapalczywie: „Wyprostujmy oś ziemi!” – pobudziła go do tego ta okoliczność, że śmiały i pełen ognistej fantazyi francuz, jeden z bohaterów *Podróży z ziemi na księżyc*, towarzysz prezesa Barbicane i kapitana Nicholl, zaintonował hymn pochwalny na cześć najpotężniejszej planety naszej w świecie słonecznym. Francuz w swym wspaniałym panegiryku wysławiał wymownymi słowy jej przewagi zupełnie wyłączone, które tu w krótkości streścimy.

Tak więc, podług zagadnienia, rozwiązanego przez rachmistrza Klubu Strzeleckiego, nowa oś obrotowa miała być podstawioną na miejsce starej, na której ziemia się kręci „od chwili, jak świat jest światem”, jak mówi przypowieść ludowa. Prócz tego ta nowa oś miała być prostopadłą w stosunku do planu przebieganej przez nią drogi. W tych warunkach położenie klimatyczne starego bieguna północnego byłoby odpowiednie położeniu obecnemu Trondhem w Norwegii podczas wiosny. Jego skorupa paleokrystyczna stopiłaby się naturalnie od promieni słońca. Do tego klimaty zostałyby rozdzielone na naszej sferoidzie tak, jak na powierzchni Jowisza.

W samej rzeczy, pochylenie osi tej planety, albo, mówiąc innymi słowami, kąt, który jej oś obrotowa tworzy z planem jej ekliptyki, jest $88^{\circ}13'$. Jednym stopniem i czterdziestu siedmiu minutami więcej, a oś byłaby zupełnie prostopadłą w stosunku do planu drogi, przez nią wkoło słońca przebieganej.

Zresztą, uważamy to obowiązkiem naszym powiedzieć, że usiłowania, robione przez Stowarzyszenie Barbicane and Co., dążące do zmiany warunków obecnych położenia ziemi, nie dążyły, mówiąc jasno, do prostowania jej osi. Biorąc rzecz ze strony czysto mechanicznej, żadna siła, chociażby najpotężniejsza, nie mogłaby tego dokazać. Ziemia nie jest przecież pulardą na rożnie, obracającą się wkoło osi namacalnej, którą można wziąć w ręce i przesuwać z miejsca na miejsce podług fantazyi. Ale, bądź-co-bądź, stworzenie nowej osi było możliwem, a nawet, powiedzieć można, łatwem do skutecznienia, skoro punkt oparcia, o którym marzył Archimedes, dźwignia, wynaleziona przez J. T. Mastona, była w posiadaniu tych pomysłowych inżynierów.

Wszelako, ponieważ oni, jak się zdawało, byli zdecydowanymi trzymać wynalazek w tajemnicy do jakiegoś, im tylko wiadomego czasu, musiano się z tem zgodzić i poprzestać na zastanawianiu się nad skutkami.

Nie omieszkały zająć się tem najprzód dzienniki i przeglądy, przypominając uczonym, a pouczając nieświadomych o skutkach położenia prostopadłego osi Jowisza w stosunku do planu przebieganej przez niego drogi.

Jowisz, stanowiący część świata słonecznego, na równi z Merkurem, Wenerą, Ziemią, Marsem, Saturnem, Uranusem i Neptunem, krąży prawie o dwieście milionów mil od wspólnego ogniska, objętość zaś jego jest tysiąc trzysta razy większa od objętości ziemi.

Otóż, jeśli wierzyć mamy, że znajdują się mieszkańcy na powierzchni Jowisza, przedstawiamy czytelnikom wygody, a raczej korzyści niezaprzeczone, jakich owi

mieszkańcy używają na tej planecie, korzyści, uwydatnione tak fantazyjnie na owym pamiętnym mityngu, który poprzedził podróż na księżyc.

A najprzód musimy powiedzieć, że podczas obrotu dziennego Jowisza, obrotu, który trwa zaledwie 9 godzin 55 minut, dni są niezmiernie równe nocom na jakimkolwiek stopniu szerokości – to jest dni mają 4 godziny 77 minut, a noce również tyle.

„To mi porządek, który dogadza ludziom przyzwyczajeni systematycznych – mówili ci, co wierzyli w istnienie mieszkańców na Jowiszu. – Musi im się wydawać rozkoszonym życie tak regularne!”

A więc te same rozkoszy doznaliby i mieszkańcy ziemi, jeśliby prezes Barbicane doprowadził do skutku swoje zamiary. Tylko, ponieważ ruch obrotowy nowej osi ziemskiej nie zwiększyłby się, ani zmniejszył, ponieważ dwadzieścia cztery godzin dzieliłoby zawsze dwa południa, po sobie następujące, a więc dni i noce miałyby również po dwanaście godzin, bez względu, jakimby był punkt ziemi. Zmrok i jutrzeńka przedłużałoby dni o przeciąg czasu zupełnie równy. Żylibyśmy wśród wiekuiście trwającego porównania dnia z nocą, które obecnie ma miejsce tylko w dniu 21 marca i 21 września na wszystkich szerokościach kuli ziemskiej, podczas gdy gwiazda promienna opisuje swą pozornie krzywą linię na planie równika.

„Ale zjawiskiem klimatycznym najciekawszym i najbardziej interesującym – dodawali z całą słuszością zapaleńcy – będzie nieobecność pór roku!”

I w istocie, zmiany coroczne, znane pod nazwą wiosny, jesieni, lata i zimy, pochodzą z pochylenia osi nad planem drogi, przez nią przebieganej. Mieszkańcy Jowisza nie znają tych zmian wcale. Otóż teraz i mieszkańcy ziemi pożegnają się z niemi. Z chwilą, gdy nowa oś stanie prostopadle do ekliptyki, nie będzie już stref lodowatych, ani gorących, ale cała ziemia będzie się cieszyć rozkoszami strefy umiarkowanej.

Dlaczego? – zaraz wyjaśnimy.

Co to jest strefa gorąca?

Jest to część powierzchni kuli ziemskiej, zawarta pomiędzy zwrotnikami Raka i Koziorożca. Wszystkie punkty tej strefy cieszą się widzeniem słońca u zenitu dwa razy do roku, wtedy, gdy inne punkty zwrotnikowe oglądają to zjawisko tylko raz w rok.

Co to jest strefa umiarkowana?

Jest to część powierzchni kuli ziemskiej, zawierająca kraje, leżące pomiędzy zwrotnikami i kołami biegunowymi, mianowicie pomiędzy $23^{\circ}28'$ i $66^{\circ}72'$ stopniem szerokości, i nad którymi słońce nie wznosi się nigdy do zenitu, ale ukazuje się każdego dnia powyżej widnokręgu.

Co to jest strefa lodowata?

Jest to część okolic podbiegunowych, nieogrzewanych promieniami słońca przez znaczny przeciąg czasu, który w bliskości bieguna przeciąga się do sześciu miesięcy.

Jak to zrozumieć łatwo, skutkiem różnych stopni wysokości, do których dochodzi słońce, wznosząc się ponad widnokrąg, wynika gorąco nadzwyczajne dla strefy gorącej; umiarkowane, choć zmienne w miarę oddalenia od zwrotników, dla strefy umiarkowanej; zimno niesłychane dla strefy lodowatej, zaczynając od kół biegunowych, a kończąc przy biegunach.

Ten zwyczajny porządek rzeczy zmieniłby się na powierzchni ziemi, gdyby oś stanęła prostopadle. Słońce stałoby nieruchomie na planie równika. Od początku do końca roku przebiegałoby niezmiennie swą drogę w ciągu dwunastu godzin, wznosząc się do pewnej odległości od zenitu, równej ze stopniem szerokości miejsca, a więc o tyle wyżej, o ile punkt ten jest bardziej zbliżonym do równika. Tak więc dla krajów, położonych na dwudziestym stopniu szerokości, wznosiłoby się ono codzień do siedmdziesięciu stopni ponad horyzont, –

dla krajów, leżących na czterdziestym dziewiątym stopniu, do czterdziestu jeden, – dla punktów, leżących na sześćdziesiątym siódmym równoleżniku, do dwudziestu trzech stopni. Tym sposobem dnie zachowałyby najzupełniejszą jednostajność, odmierzaną przez słońce, które wschodziłoby i zachodziło co dwanaście godzin na jednym i tym samym punkcie widnokręgu.

„Zważcie tylko, jakie ztąd wypłynęłyby dogodności! – powtarzali stronnicy prezesa Barbicane. – Każdy, stosownie do upodobania lub temperamentu, byłby w możności obrać dla siebie klimat, najodpowiedniejszy dla swego kataru lub reumatyzmu; na całej kuli ziemskiej nie dałoby się uczuć zmiany temperatury, w istocie nieznośnej!”

Jednym słowem Barbicane and Co., ci nowocześni tytani, umyślili zmienić stan rzeczy, istniejący od chwili, gdy sferoida ziemską, pochyłona nad przebieganą przez się drogą, ześrodkowała się, by zostać tem, czem jest obecnie.

Co prawda, to były i ujemne strony tej przemiany. Badacz naprzykład straciłby niejedną konstelację lub gwiazdę z tych, które przywykł widywać na sklepieniu niebios. Poeta nie miałby już długich nocy zimowych, ani długich dni letnich do opiewania rymami kwiecistemi. Ale co tam po tem, jaka korzyść z tego dla ogółu śmiertelników?

„Zresztą – mówiły dzienniki, przyjazne prezesowi Barbicane, – ponieważ płody ziemi zostaną uporządkowane, rolnik będzie mógł zastosować do każdego gatunku roślinności temperaturę, która mu się odpowiednią wyda.”

„Cóż znowu! – odzywały się organy niechętnie – czyż to nie będzie już deszczów, gradów, burz, wichrów, trąb powietrznych, jednym słowem tych wszystkich zjawisk, które niszczą nieraz ze szczętem zbiory i dobytek rolników?”

„Bezwątpienia – odpowiadał chór przyjaciół, – ale te klęski będą, podług wszelkiego prawdopodobieństwa, rzadsze, wskutek jednostajności klimatycznej, która nie będzie dopuszczać zamieszania atmosfery. Tak, ludzkość zyska niezmiernie wiele przy tej zmianie porządku rzeczy. Tak jest! to będzie zupełny przewrót na kuli ziemskiej. Tak, Barbicane and Co., przyniosą niespożyte korzyści pokoleniom obecnym i następnym, znosząc wraz z nierównością dni i nocy nieznośną zmienność pór roku. Tak, ziemia nasza, na powierzchni której, jak mówi Michał Ardan, jest zawsze zaciepło lub zazimno, nie będzie już nadal siedliskiem katarów, kaszłów, zapaleń płuc. Nie będzie już więcej zakatarzonych, chyba ci, którzy sami tego zechcą, skoro będzie rzeczą tak łatwą zamieszkać w stronie, odpowiedniej dla płuc każdego z osobna śmiertelnika.”

W numerze z dnia 27-go grudnia *Sun*, dziennik new-yorski, zakończył swój niesłychanie wymowny artykuł tym wykrzyknikiem:

„Cześć prezesowi Barbicane i jego przezacnym kolegom! Ci bowiem śmiałkowie nie tylko, że tak się wyrażę, przyłączą nową prowincję do lądu amerykańskiego, a tem samem zwiększą obszar, i tak znaczny, stanowiący Stany Zjednoczone, ale uczynią ziemię bardziej mieszkalną pod względem higienicznym, uczynią ją jeszcze więcej płodną, gdyż można będzie siać natychmiast po skończeniu zbiorów; a ponieważ ziarno niezwłocznie zacznie kiełkować, nie będzie straty czasu, nieuniknionej teraz podczas zimy. Nie tylko bogactwo węgla powiększy się wydobywaniem nowych pokładów, które zapewnią dostatek tego niezbędnego materiału na długie jeszcze lata, ale warunki klimatyczne naszej kuli zmienią się na jej korzyść. Barbicane i jego dzielni towarzysze poprawią i udoskonalą, dla dobra bliźnich, dzieło Stwórcy. Cześć ludziom, którzy godni są zająć pierwszorzędne miejsce w szeregu dobroczyńców ludzkości!”

ROZDZIAŁ IX

W którym pojawia się Deus ex machina pochodzenia francuzkiego.

Takie tedy miały być korzyści, dzięki modyfikacji, zaprowadzonej przez prezesa Barbicane w osi obrotowej. Wiemy już zresztą, że modyfikacja zamierzona wpływała tylko nieznacznie na ruch krążenia naszej sferoidy wokół słońca. Ziemia niezmiennie miała opisywać swe koło w przestrzeni, a warunki słonecznego systematu nie miały być wcale zmienione.

Skoro skutki zmiany osi zostały podane do wiadomości całego świata, wrażenie, sprawione przezeń, było nadzwyczajnem. W pierwszych chwilach przyjęto z zapalem ten problemat najwyższej mechaniki. Perspektywa nastania pór roku niezmiennie jednostajnych i stosownie do stopnia szerokości oddanych „do gustu konsumentom” była nadzwyczajnie ponętną. Radowano się nadzieją, że wszyscy śmiertelnicy będą używać wiekuistej wiosny, którą śpiewak Telemaka przypisywał wyspie Kalypso, i że będą nawet mogli wybierać pomiędzy wiosną świeżą i ciepłą. Co się zaś tyczy położenia nowej osi, na której miał się odbywać obrót dzienny, był to sekret, którego ani prezes Barbicane, ani kapitan Nicholl, ani J. T. Maston nie zdawali się chcieć wyjawić publiczności. Czy wyjawią go, czy też dowiedzą się o nim ludzie aż po zrobionem doświadczeniu? Ta niepewność była dostateczną, by opinię zaniepokoić.

Przyszła kolej na głębsze zastanowienie, a pytanie, które było jego skutkiem, było namiętnie komentowane przez dzienniki. Jakież to wysiłki mechaniczne miał sprowadzić tę zmianę? Jakaż niesłychana siła potrzebna była w tym celu?

Forum, znakomity przegląd, wychodzący w Nowym Yorku, zamieścił w swych szpaltach następujące spostrzeżenie:

„Jeśliby ziemia nie kręciła się na swej osi, być może, że dość byłoby wstrząśnienia stosunkowo słabego, by jej nadać ruch obrotowy wkoło innej osi, dowolnie obranej; ale ona może być porównaną do ogromnego przyrządu, kręcącego się szybko, a prawo natury chce, by podobny przyrząd obracał się nieustannie wkoło tejże samej osi. Leon Foucault wykazał to dotykalnie w swych znakomitych doświadczeniach. Będzie zatem bardzo trudną rzeczą, a nawet, być może, niemożliwą, sprowadzić owo zboczenie.”

Nic nad to nie mogło być prawdziwszego. To też po zadaniu sobie pytania, jakiego to rodzaju sposób obmyślany był przez inżynierów North Polar Practical Association, było niemniej interesującym dowiedzieć się, czy ta przemiana dopełni się nieznacznie lub też gwałtownie. A w tym ostatnim wypadku czy na powierzchni globu nie zajdą jakie przerażające katastrofy, będące wynikiem środków, przedsięwziętych w celu zmiany osi, a obmyślanych przez Barbicana i jego współników?

Wszystko to było aż nadto wystarczającym, by zaprzętnąć głowy nie tylko uczone, ale i najciemniejsze na obu półkulach. Jakkolwiekby, wstrząśnienie jest zawsze wstrząśnieniem, i nie jest rzeczą miłą odczuć jego skutki. Zdawało się, że inicjatorzy tego przedsięwzięcia nie troszczyli się nic a nic o przewroty, jakie ich dzieło mogło wywołać na naszej nieszczęsnej kuli ziemskiej, i że mieli jedynie własne korzyści na celu. To też delegaci europejscy, więcej niż kiedyindziej gniewni za swą porażkę, postanowili z całą zręcznością

wyciągnąć korzyść z tej okoliczności, i zaczęli podniecać opinię publiczną przeciw prezesowi Klubu Strzeleckiego.

Zapewne nasi czytelnicy nie zapomnieli, że Francya, nie podnosząc wcale swych praw do krain podbiegunowych nie figurowała wcale wśród mocarstw, które wzięły udział w licytacji. Wszakże, pomimo że oficjalnie usunęła się od tego interesu, francuz jeden – mówiono – powziął myśl udania się do Baltimore, w celu śledzenia na swój własny rachunek i dla osobistej przyjemności rozmaitych faz tego olbrzymiego przedsięwzięcia.

Był to inżynier z korpusu górniczego, mający lat trzydzieści pięć. Wszedłszy jako uczeń celujący do Szkoły Politechnicznej, wyszedł z niej po ukończeniu najświetniejszym nauk, możemy go zatem przedstawić czytelnikom jako matematyka niepospolitej wiedzy i zdolności, prawdopodobnie wyższego o wiele od J. T. Mastona, który nie był niczem więcej, jak znakomitym rachmistrzem – był tem, czem byłby Le Verrier wobec Laplace'a lub Newtona.

Ten inżynier był przytem – co szkodzić wcale nie mogło – człowiekiem wielkiego sprytu i niepospolitej fantazyi, był oryginałem, któremu podobnych zdarza się niekiedy spotkać w Administracyi dróg i mostów, rzadziej wszakże w górnictwie. Miał on swój wyłączny, arcy-zabawny sposób opowiadania. Rozmawiając z dobrymi znajomymi, wtedy nawet gdy przedmiotem była kwestya naukowa, wyrażał się z pewną swobodą i zaniedbaniem, cechującemi paryzkiego ulicznika. Lubił on rozmaite wyrazy języka ludowego, którym moda nadała prawo obywatelstwa, i niejednen, słysząc go rozprawiającego w tych chwilach zapomnienia, zauważył, że jego sposób mówienia nie nadawał się do formuł akademickich, – on też zmuszał się do nich tylko wtedy, gdy miał pióro w ręku. Przy tem wszystkim był to pracownik niestrudzony, umiejący dziesięć godzin z rzędu przesiedzieć nad papierami, zapisując z wielką szybkością karty całe algebrą, jak ktoś inny ćwiartki listu. Najmilszą jego rozrywką po pracy całodzienną nad wyższą matematyką był wist, w którego grał nieosobliwie, pomimo że wszystkie jego szanse zwykle obliczał z góry. Trzeba go było słyszeć, gdy, przegrawszy, wykrzykiwał swą kuchenną łaciną: „*Cadaveri poussandum est!*”

Ta oryginalna osobistość nazywała się Alcyd Pierdeux; ulegając swej manii skrócania – wspólnej wszystkim jego kolegom – podpisywał się zwykle APierd albo APi, nie kładąc nawet kropki nad *i*. Z takim ogniem rozprawiał, że go przezwano Alcydem siarczystym. Był on wzrostu słusznego, a nawet wielkiego – przynajmniej takim się wydawał. Koledzy jego utrzymywali, że wzrost Alcyda równał się pięciomilionowej części ćwierci południka, to jest około dwóch metrów – i jeśli się mylili, to nie o wiele. Pomimo że głowę miał zamałą do swego potężnego biustu i rozłożystych ramion, natomiast z wielkiem ożywieniem poruszał nią; a jak pełnem zapału było jego z pod pince-nez wybiegające spojrzenie niebieskich oczu! Najgodniejszą uwagi była twarz jego, ożywiona wyrazem wesołości, pomimo cechującej ją powagi, pomimo czaszki, ogołoconej zupełnie z włosów wskutek nadużycia znaków algebraicznych i pracy przy świetle gazu, upowszechnionego w salach pracy. Przy tem wszystkim był to najpocziwszy z chłopców, których wspomnienie przechowała Szkoła Politechniczna, i bez cienia pretensjonalności. Chociaż usposobienia dość niepodległego, był zawsze w zgodzie z przepisami kodeksu **X**, który rządzi politechnikami we wszystkim, co ma związek z koleżeństwem i poszanowaniem munduru. Ceniono go też wielce, tak w cieniu drzew podwórza „akacyowego” – tak nazwanego z powodu, że nie rosła na nim ani jedna akacya, – jak również w ubieralniach, gdzie porządek, panujący w jego ubraniu i kufunku, świadczył o umyśle bardzo systematycznym właściciela.

Że głowa Alcyda Pierdeux, umieszczona na wierzchołku tego ogromnego korpusu, zdawała się być cokolwiek małą, nie mamy przeciw temu nic do nadmienienia. Ale że była wypełnioną aż po błony mózgowe, o tem zapewnić możemy. Przedewszystkiem był on matematykiem, jak wszyscy jego koledzy są lub byli; ale on pracował nad matematyką tylko wtedy, gdy trzeba ją było stosować do nauk doświadczalnych, które znowu tyle tylko miały

dla niego uroku, o ile zostały zastosowane do przemysłu. Była to, nie tał się z tem, gorsza strona jego natury. Cóż robić, nikt doskonałym nie jest. Jednym słowem jego specjalnością było badanie tych nauk, które, pomimo szalonych postępów, mają i mieć będą zawsze niezbadane tajemnice dla swych adeptów.

Wspomnijmy przy tej sposobności, że Alcyd Pierdeux był dotąd bezzęnnym. Tak jak to nieraz mawiał, był jeszcze „równym jedności”, chociaż najżywszym jego życzeniem było stać się dwójką. To też przyjaciele pomyśleli o tem, by go ożenić z pewną młodą, miluchną, wesołą i sprytną dziewczką, mieszkającą w Martigues w Prowancyi. Na nieszczęście owa dziewczeczka miała ojca, który przy pierwszym zagajeniu sprawy z takim wystąpił zdaniem:

„Nie, wasz Alcyd jest nadto uczony!. Mówiłbyj mojej pieszczoszce o rzeczach, zupełnie dla niej niezrozumiałych!...”

Tak jak gdyby prawdziwie uczeni nie byli skromnymi i bez pedanteryi.

To był powód, dla którego nasz inżynier, zawiedziony w swych uczuciach, postanowił stawić przestrzeń i otchłań morską pomiędzy sobą i Prowancyą. Prosił o urlop na rok cały, otrzymał go, a nie mając nic lepszego do roboty, udał się do Baltimore, w celu przypatrzenia się zblizka przedsiębiorstwu Stowarzyszenia North Polar Practical Association. I oto dlaczego w tym czasie znajdował się w Stanach Zjednoczonych.

Od chwili przybycia na Łąd Nowy Alcyd Pierdeux ani na chwilę nie przestał się interesować wielkiem przedsięwzięciem Barbicane and Co. Że ziemia miała się stać podobną Jowiszowi wskutek zmiany osi, mało go to obchodziło; ale jakim sposobem miano dokonać tej zmiany – w tem był sęk, to właśnie mocno zaciekawiało naszego uczonego – i nie bez racyi.

Taki monolog prowadził on z sobą w swym malowniczym języku:

„Widocznie prezes Barbicane zamierza dać naszej kulce porządnego szturchańca... Ale jak, w jakim kierunku?... Cały sekret w tem... Do licha! wyobrażam sobie, że jemu się marzy, iż ma z bilardową kulą do czynienia. Jeśli mu się powiedzie, wykolei się biedaczka z swej dotychczasowej drogi, a wtedy dyabli zabiorą zwykły porządek rzeczy, zmieni się on z gruntu! Nie! ci poczciwcy widocznie zamierzają nową oś podstawić na miejsce starej!... Niema wątpliwości!... Ale gdzie, u dyabła, wezmą potrzebny punkt oparcia i o jakim to wstrząśnieniu zamyślają na zewnątrz?... Ach! gdyby ruch każdodzienny nie istniał, dość byłoby jednego szcztka!... Ale ruch ten istnieje!... Niepodobna go zniweczyć! I w tem to właśnie dyabelski sęk!”

W ten to sposób Alcyd Pierdeux objawił swoje spostrzeżenia.

„W każdym razie – dodawał, – w jakikolwiekby sposób tego dokazali, wynikiem będzie ogólne wywrócenie porządku!”

Tak tedy nasz uczony nadaremnie „suszył nad tą kwestyą mózgownicę” – nie mógł żadną miarą wpaść na trop środków, obmyślanych przez Barbicane’a i Mastona. Rzecz to była tembardziej godna pożałowania, że gdyby odgadł środki, to i formuły mechaniczne łatwoby się dały wyprowadzić.

Dla tych wszystkich wymienionych wyżej powodów Alcyd Pierdeux, inżynier w korpusie narodowym francuzkiego górnictwa, przemierzał w dniu 29 grudnia swemi długimi nogami ruchliwe ulice Baltimore.

ROZDZIAŁ X

W którym rozmaite obawy zaczynają na jaw wychodzić.

Tymczasem miesiąc upłynął od owego posiedzenia ogólnego w salonach Klubu Strzeleckiego. W tym przeciągu czasu opinia publiczna wielce się zmieniła. Korzyści, mające wyniknąć ze zmiany osi, zostały zapomniane! Straty zaczęły się uwydatniać. Bez katastrofy przewrót był niemożliwy, gdyż owa zmiana miała być, podług wszelkiego prawdopodobieństwa, sprawioną jakimś gwałtownym wstrząśnieniem. Jaką mianowicie byłaby ta katastrofa? – oto czego nikt odgadnąć nie mógł. Co się zaś tyczy polepszenia klimatów, czy było ono w istocie pożądanem? Powiedziawszy prawdę, tylko eskimosi, lapończycy, samojedzi, czuchońcy mogli skorzystać na niem, nie mogąc na niem stracić.

Warto było słyszeć teraz delegatów europejskich, jak wymyślali na tę przewidywaną operację prezesa Barbicane. Na początek zdali oni raporty o niej rządowi, które reprezentowali, zużyli nici podmorskie nieustannem przesyłaniem depesz, pytali co moment i otrzymywali instrukcje... Łatwo się domyśleć, jakimi były te instrukcje. Zawsze stereotypowane podług formuł sztuki dyplomatycznej z dodatkiem wielce zajmujących zastrzeżeń: „Pokażcie dużo energii, nie kompromitując wszakże rządu! Działajcie stanowczo, ale nie naruszajcie *status quo!*”

Tymczasem major Donellan i jego koledzy nie przestawali protestować w imieniu ich zagrożonych krajów – w imieniu Starego Łądu nadewszystko.

– Co prawda – mówił pułkownik Borys Karkow, – jest to zbyt widocznem, że inżynierowie amerykańscy musieli przedsiębrać środki ostrożności, celem zabezpieczenia, o ile to jest możliwem, terytoryów Stanów Zjednoczonych od skutków wstrząśnienia!

– Ale czy to jest w ich możliwości? – odpowiadał Jan Harald. – Gdy się potrząsa drzewo oliwne podczas zbioru oliwek, czy nie wszystkie gałęzie cierpią na tem? A pan, gdy dostaniesz uderzenie pięścią w piersi, czy całe twoje ciało nie dozna wstrząśnienia?

– Więc to to opiewał ów tajemniczy paragraf dokumentu? – wołał Dean Toodrink. – To były zmiany geograficzne i meteorologiczne na powierzchni kuli ziemskiej, które przewidywał?

– Tak właśnie! – mówił Eryk Baldenak. – A czego najpierwej obawiać się można, to tego, aby zmiana osi nie wyrzuciła mór z ich przyrodzonych basenów.

– A jeśli poziom oceanu zniży się na niektórych punktach – zauważył Jakób Jansen, – czy nie może nastąpić to, że niektórzy mieszkańcy znajdą się na takich wysokościach, iż wszelka komunikacja z ich bliźnimi stanie się zupełnie niemożliwą?...

– A być może jeszcze, że zostaną podniesieni do warstw tak rzadkiego powietrza, że nie będzie ono wystarczającym dla oddychania.

– Wyobraźcie sobie tylko Londyn na wysokości góry Mont-Blanc! – zawołał major Donellan.

Mówiąc to, gentelman ten rozstawił nogi szeroko, głowę odrzucił w tył i spoglądał ku zenitowi, jak gdyby stolica Wielkiej Brytanii była tam gdzieś w kierunku jego wzroku, pośród chmur zatopiona.

W istocie, wszystko to było wielce groźnem dla świata i jego mieszkańców, a tem więcej niepokojącym, że już przewidywano możliwe skutki zmiany osi ziemskiej.

Szło tu, ani mniej ani więcej, tylko o zmianę dwudziestu trzech stopni, która miała sprowadzić ruszenie z miejsca mórz wskutek spłaszczenia ziemi przy dawnych biegunach. Czy ziemia zagrożoną była przewrotami, podobnymi do tych, które niedawno zauważono na powierzchni planety Marsa? Tam bowiem całe lądy, między innymi Libya Schiaparelli'ego, zostały zalane, – czego dowodzi cień ciemno-niebieski, który zastąpił kolor różowawy. Tam znikło jezioro Moeris. Tam sześćset tysięcy kilometrów kwadratowych zostało zmodyfikowanych na północy, podczas gdy na południu oceany opuściły obszerne, przedtem zajmowane okolice. A jeśli znalazły się litościwe istoty, które zaniepokoiły się losem „zatopionych na Marsie” i proponowały zrobienie składki na korzyść tych nieszczęśliwych, cóżby to było, gdyby przyszło troszczyć się o zalanych na ziemi?

Niebawem dały się słyszeć protestacye – ze wszystkich stron nadesłano ostrzeżenia rządowi Stanów Zjednoczonych. Wziąwszy dobrze wszystko na uwagę, lepiej było nie próbować doświadczenia, jak narażać się na katastrofy, które ono niechybnie sprowadzić musiało. Stwórca nie mógł być się omylić w swem dziele. Cóż za potrzeba była podnosić na nie zuchwałą rękę?

Otóż nie wiem, czy zechce kto uwierzyć temu, co powiem? Znalazły się umysły dość lekkie, by żartować z rzeczy tak poważnych!

„Patrzajcie na tych yankesów! – mówili. – Natknąć ziemię na inną oś! To mi pomysł dopiero! Gdyby jeszcze oś ta skutkiem ciągłego kręcenia przez miliony lat zużyła się od nieustannego tarcia, może byłoby właściwem zmienić ją, tak jak się zmienia oś bloku lub koła u wozu! Ale przecież oś ziemską jest w równie dobrym stanie teraz, jak była w pierwszych dniach stworzenia!”

I co tu na to powiedzieć?

Wśród tych wszystkich zażaleń Alcycd Pierdeux starał się odgadnąć, jakiej natury i w jakim kierunku ma nastąpić wstrząśnienie, obmyślane przez J. T. Mastona, jak również w jakim punkcie kuli ziemskiej odbędzie się ono. Skoro stanie się panem tej tajemnicy, potrafi rozpoznać, jakie części ziemskiej sferoidy mają być najwięcej zagrożone.

Jak to wspomnieliśmy już wyżej, obawy Starego Łądu nie mogły być podzielane przez Nowy – a przynajmniej w części objętej nazwą Ameryki północnej, która wyłącznie prawie należy do Związku Amerykańskiego. W istocie, czyż można było przypuszczać, że prezes Barbicane, kapitan Nicholl i J. T. Maston, rodowici amerykanie, nie pomyślą o zabezpieczeniu Stanów Zjednoczonych od zalewów i upustów, które miała sprowadzić zmiana osi w rozmaitych punktach Europy, Azji, Afryki i Oceanii? Albo się jest yankesem, albo nie jest się nim, – a przecież oni byli takowego typami, i to pierwszorzędnymi; były to nawet typy rzadkie, „ukute z jednego metalu”, jak to powiadano o prezesie Barbicane w tym czasie, gdy rozwijał swój projekt podróży na księżyc.

Oczywiście, część Nowego Łądu, leżąca pomiędzy ziemiami północnymi i odnogą Meksykańską, nie potrzebowała się obawiać tego wyczekiwanego wstrząśnienia. Możliwem było nawet, że Ameryka zyska na tem znaczne powiększenie swego terytorium. W istocie, czyż nie należało przypuszczać, że na basenach, opróżnionych przez dwa oceany, zalewające je obecnie, powstaną prowincye, które ona zagarnie pod zwoje swego gwiazdzistego sztandaru?

„Tak, bezwątpienia! Wszelakoż – powtarzały umysły lęklive, te, które zwykle widzą tylko złą stronę rzeczy, – czy można być czego pewnym na tym padole łez? A jeśli J. T. Maston pomylił się w swych wyrachowaniach? A jeśli prezes Barbicane zrobił choć najlżejszą niedokładność w zastosowaniu praktycznem tych wyrachowań? Do kaduka, to może się przytrafić najbieglejszemu artylerzyście! Nieraz przecie i oni chybią celu, i strzelą, jak to mówią, „kulą w płot”.

Łatwo się można domyśleć, że te niepokoje były starannie podtrzymywane przez delegatów mocarstw europejskich. Sekretarz Dean Toodrink podał masę artykułów tej treści, i to najgwałtowniejszych, do dziennika „Standard”, Jan Harald do szwedzkiego „Aftenbladet”, zaś pułkownik Borys Karkow do ruskiej bardzo poczytnej gazety „Nowoje Wremia”. Nawet w Ameryce zdania były podzielone. Jeśli republikanie, którzy są liberalnymi, pozostali stronnikami prezesa Barbicane, – demokraci, którzy są konserwatywni, ogłosili się przeciw niemu. Pewna część prasy amerykańskiej, mianowicie dziennik Bostonu, „Trybuna”, wychodzący w New-Yorku, i inne, dołączyły się do prasy europejskiej. Wiadomo, że w Stanach Zjednoczonych od uorganizowania Associated Press (Stowarzyszonej Prasy) i United Press (Zjednoczonej Prasy) gazeta stała się potężną agenturą informacji, skoro cena wiadomości miejscowych i zagranicznych rocznie przewyższa o wiele cyfrę dwudziestu milionów dolarów.

Napróżno inne pisma, również dość rozpowszechnione, chciały ujmować się za interesami Stowarzyszenia North Polar Practical Association. Napróżno mrs. Evangelina Scorbitt płaciła po dziesięć dolarów od wiersza artykułów poważnych, fantastycznych lub sarkastycznych, w których drwiono z obaw i niebezpieczeństw jakoby urojonych. Napróżno ta gorącego temperamentu wdowa usiłowała dowieść i przekonać, że nie było niedorzeczniejszej i bardziej bezpodstawowej hipotezy nad tę, żeby J. T. Maston był zdolny do popełnienia najłżejszej w rachunku pomyłki! Nic nie pomogło. Ameryka, opanowana panicznym strachem, przyłączyła się prawie jednomyślnie do chóru, zawodzonego przez całą Europę.

Zresztą, ani prezes Barbicane, ani sekretarz Klubu Strzeleckiego, ani nawet członkowie Rady administracyjnej nie zadawali sobie trudu odpowiadania. Pozwalali ludziom rozprawiać, ile im się podobało, i ani na jotę nie zmienili swych zwykłych zajęć. Zdawało się nawet, że nie są wcale zajęci ogromnymi przygotowaniem, niezbędnymi dla tego olbrzymiego czynu. Czy obchodził ich choć trochę zwrot opinii publicznej, niezadowolone ogólne, które uwydatniało się bardzo stanowczo przeciw projektowi, przyjętemu zrazu z takim zapalem? Nie znać było tego wcale a wcale.

Wkrótce, pomimo poświęcenia mrs. Evangeliny Scorbitt, pomimo znacznych sum, które oddała na cel obrony ich osobistości, prezes Barbicane, kapitan Nicholl i J. T. Maston zaczęli być uważani za istoty niebezpieczne dla spokoju i całości Obu Światów. Rząd związkowy został oficjalnie wezwany przez mocarstwa europejskie do zwrócenia uwagi na tę sprawę i wybadania jej promotorów. Ci ostatni powinni byli wyznać otwarcie, jakimi mianowicie środkami myślą operować, co umyślili przedsięwziąć, by starą oś ziemską zastąpić nową. Informacje takie powziąwszy, byłoby łatwym wywnioskować, jakie będą skutki, zapatrując się naturalnie na rzeczy z punktu ogólnego bezpieczeństwa; łatwym byłoby wskazać, które części kuli ziemskiej będą bezpośrednio zagrożone; jednym słowem dowiedzieć się wszystkiego, czego niepokój publiczny nie wiedział, a co przezorność wiedzieć chciała.

Rząd waszyngtoński nie dał się długo prosić. Wrażenie, które opanowało Stany północne, środkowe i południowe Rzeczypospolitej, nie dozwalało na najłżejszą zwłokę. Komisya śledcza, złożona z mechaników, inżynierów, matematyków, hydrografów, w liczbie pięćdziesięciu, pod prezydenturą znakomitego Johna H. Prestice, została wyznaczona dekretem z dnia 19-go lutego; miała ona pełną plenipotencję do zbadania środków, mających być użytymi, a w potrzebie wzbronienia ich.

Najprzód tedy prezes Barbicane otrzymał wezwanie do stawienia się przed tą komisją.

Pomimo wezwania, nie stawił się.

Agenci udali się do prywatnego mieszkania prezesa, pod numer 95 na Cleveland-Street w Baltimore.

Nie znaleziono go już tam.

Gdzież więc był?...

Nie wiadano.

Kiedy wyjechał?

Pięć tygodni temu, to jest 11 stycznia, opuścił on stolicę Marylandu i sam Maryland w towarzystwie kapitana Nicholl.

W którą stronę udali się obaj?...

Nikt nie umiał tego wyjaśnić.

Widocznie dwaj członkowie Klubu Strzeleckiego udali się w podróż do tajemniczej krainy, gdzie mieli kierować robotami.

Ale gdzie leżała owa kraina?...

Łatwo pojąć, jak na tej wiadomości zależało wszystkim; wszak należało zniweczyć w zarodku plan tych złowrogich inżynierów, i to nie zwlekając ani minuty, – bo kto wie, może wkrótce byłoby już zapóźno.

Tak więc wyjazd tajemniczy prezesa Barbicane i kapitana Nicholl sprawił publiczności zawód nielada. Gniewne jej usposobienie przeciw North Polar Practical Association objawiło się z równą gwałtownością, jak przyływ morza podczas przesilenia dnia z nocą.

Na szczęście był w Baltimore ktoś, co nie mógł nie wiedzieć, dokąd się udali prezes Barbicane i jego towarzysz. Ten ktoś był w możności odpowiedzieć stanowczo na ten olbrzymi znak zapytania, który wznosił się nad powierzchnią globu.

Tym ktosiem był J. T. Maston.

J. T. Maston został zawezwany przez komisję śledczą na żądanie Johna H. Prestice'a.

J. T. Maston nie zjawił się wcale.

Czyżby i on również opuścił Baltimore? Czyżby i on puścił się w drogę, by się połączyć z swymi współnikami, celem doprowadzenia do skutku tego dzieła, którego następstw świat cały wyczekiwał z łatwym do pojęcia przerażeniem?

Nie! J. T. Maston zamieszkiwał zawsze Balistic-Cottage, pod numerem 109 na Franklin-Street, pracując bez wytchnienia, zabawiając się nowymi obliczeniami, przerywając swe zajęcia tylko wtedy, gdy był zmuszony przepędzić jaki wieczór na salonach mrs. Evangeliny Scorbitt w jej wspaniałym hotelu na New-Park.

Prezes komisji śledczej wysłał doń agenta z rozkazem sprowadzenia go bez zwłoki.

Agent przybył do mieszkania, zapukał do drzwi, wszedł do przysionka – i został nieszczerólnie przyjęty przez murzyna Fire-Fire, a gorzej jeszcze przez pana domu.

J. T. Maston uznał wszakże potrzebę stawienia się na wezwanie; ale znalazłszy się wobec członków komisji śledczej, nie ukrywał wcale niezadowolenia z powodu natrętnego przerwania jego zajęć ulubionych.

Pierwsze zadane mu zapytanie było następującej treści:

Czy sekretarz Klubu Strzeleckiego jest powiadomiony o obecnym miejscu pobytu prezesa Barbicane i kapitana Nicholl?

– Tajemnicę tę posiadam – odpowiedział J. T. Maston głosem stanowczym, – ale nie czuję się upoważnionym do wyjawienia jej.

Drugie pytanie było takie:

Czy dwaj koledzy Mastona zajmowali się obecnie przygotowaniem, potrzebnymi do zamierzonej operacji zmiany osi ziemskiej?

– To, o co mię panowie zapytujecie – odrzekł J. T. Maston, – stanowi część tajemnicy, którą zachować jest moim obowiązkiem, zatem odpowiedzi dać nie mogę.

Zapytano go jeszcze: czy zechce pracę swoją przedstawić komisji śledczej, która osądzi, czy może zezwolić na spełnienie zamiarów Stowarzyszenia?

– Co za żądanie! Rzecz naturalna, że tego uczynić nie mogę!... Prędzej zniszczyłbym moje dzieło!... Wszak to jest mojem prawem, jako wolnego obywatela wolnej Ameryki, zachować w tajemnicy rezultat mojej pracy!

– Ale, jeśli pan jesteś w swoim prawie, panie Maston – rzekł prezes John H. Prestice głosem poważnym, jak gdyby przemawiał w imieniu całego świata, – to może niemniej jest twoim obowiązkiem mówić wobec ogólnego wzburzenia, by położyć kres gorączkowej trwodze ludów całej ziemi.

J. T. Maston nie sądził, aby to było jego obowiązkiem. On jeden tylko obowiązek widział przed sobą, a tym było: zachować milczenie. Więc będzie milczał.

Nie poskutkowały nalegania, prośby i groźby – członkowie komisji śledczej nie potrafili wydobyć ani jednego wyjaśniającego słówka z człowieka o żelaznym haczyku. Nigdy, przenigdy nie śniło się nikomu, aby tak zawzięty upór mógł się zagnieździć pod czaszką z gutaperki.

J. T. Maston tedy odszedł tak, jak przyszedł; a chyba nie potrzebujemy mówić czytelnikowi, z jakim zapalem wieszowała mu bohaterskiego znalezienia się mrs. Evangelina Scorbitt.

Skoro wieść o rezultacie stawienia się J. T. Mastona przed komisją śledczą rozeszła się pomiędzy publicznością, oburzenie tej ostatniej przybrało formy rzeczywiście zatrwajające dla bezpieczeństwa i całości dymisjonowanego artylerzysty. Taki nacisk wywierano na wyższych przedstawicieli rządu związkowego, tak gwałtowną była interwencja delegatów europejskich i opinii publicznej, że minister stanu John S. Wright był zmuszony żądać od swych kolegów upoważnienia do działania *manu militari*.

Pewnego zatem wieczora, w dniu 13 marca, J. T. Maston siedział w swym gabinecie w Balistic-Cottage, pogrążony w swych wyliczeniach, gdy raptem dzwonek u telefonu zadźwięczał gorączkowo.

„Allo!... Allo!...” – przemówił aparat, targany drżeniem, cechującym jakiś nadzwyczajny niepokój.

– Kto tam? – spytał J. T. Maston.

– Mistress Scorbitt.

– Czego żąda mistress Scorbitt?

– Ostrzedz, byś się pan miał na baczności!... Zawiadomiono mnie, że dziś wieczorem jeszcze...

Jeszcze te słowa nie doszły uszu Mastona, gdy podwoje Balistic-Cottage zostały gwałtem z zawiasów wysadzone.

W przysionku, prowadzącym do pracowni Mastona, zrobił się zamęt niewypowiedziany. Głos jeden kłął i łąjał. Inne starały się zmusić go do milczenia. W końcu posłyszano łoskot upadającego ciała.

Murzyn Fire-Fire zlatywał ze schodów, stoczywszy bohaterską ale bezskuteczną walkę z napastnikami swego pana.

Za chwilę drzwi pracowni zostały roztrzaskane, a na progu stanął urzędnik policyjny z eskortą agentów.

Urzędnik policyjny miał rozkaz zarządzić rewizję w mieszkaniu J. T. Mastona, zabrać jego papiery i przyaresztować samego właściciela.

Nieustraszony sekretarz Klubu Strzeleckiego uchwycił rewolwer i zagroził napastnikom sześciu wystrzałami.

W mgnieniu oka, dzięki przewyższającej liczbie, został rozbrojony, a papiery, okrywające stół, zrabowane.

Wtem raptownym ruchem J. T. Maston wyrwał się z rąk oprawców i potrafił schwycić kajecik, który prawdopodobnie zawierał ogół jego obliczeń.

Agenci rzucili się ku niemu, by mu go wyrwać wraz z życiem...

Lecz J. T. Maston otworzył go z szybkością błyskawicy, zdarł ostatnią kartkę i połknął ją, jak zwyczajną pigułkę.

– A teraz weźcie ją! – zawołał tonem Leonidasa przy Termopilach.

W godzinę potem J. T. Maston został zamknięty w więzieniu w Baltimore.

Było to, co mogło mu się trafić najpomyślniejszego, gdyż ludność byłaby na jego osobie dopuściła się gwałtów, którym policja nie byłaby w możności przeszkodzić.

ROZDZIAŁ XI

Co się znajduje w owym kajeciku J. T. Mastona i co się tam już nie znajduje.

Kajecik, pochwycony przez policję Baltimore, składał się z jakich może trzydziestu kartek, zapisanych formułami, równaniami algebraicznymi i nakoniec liczbami, stanowiącymi ogół obliczeń J. T. Mastona. Było to dzieło wyższej mechaniki, które ocenionem mogło być tylko przez matematyków. Znajdowało się tam nawet równanie, figurujące w problemacie podróży z ziemi na księżyc; były tam także różne określenia, dotyczące się przyciągania księżycowego.

Jednym słowem ogół pospolity śmiertelników nic zgoła nie zrozumiałby w tem wypracowaniu. To też uznano za stosowne powiadomić go o danych i rezultatach, którymi świat cały zajmował się tak wielce od niejakiego czasu.

Skoro tylko uczeni, należący do komisji śledczej, odczytali formuły znakomitego rachmistrza, natychmiast podali je do wiadomości ogółu za pośrednictwem dzienników... Wszystkie dzienniki, bez względu na to, do jakich należały stronnictw, rozgłosiły je w swych szpaltach gwoli ciekawości wszystkich ludów.

Co zaś do samej pracy J. T. Mastona, żadna wątpliwość nie była możliwą. Problem, określony z ścisłą dokładnością i w połowie rozwiązany, jak powiadano, był arcydziełem w swoim rodzaju. Obliczenia były prowadzone z taką dokładnością, że komisja śledcza ani na minutę nie myślała wątpić o ich nieomyślności i nieuniknionych rezultatach. Jeśli zamierzona operacja zostanie do końca doprowadzona, oś ziemską niechybnie się zmodyfikuje, a przewidziane katastrofy spełnią się w całej rozciągłości.

Nota, zredagowana staraniem komisji śledczej w Baltimore, dla zakomunikowania jej dziennikom, przeglądów i wszelakim pismom peryodycznym obu półkul:

„Skutek usiłowań Rady administracyjnej North Polar Practical Association, którego celem jest zastąpienie starej osi obrotowej nową, ma być otrzymany zapomocą odskoku maszyny, ustawionej w pewnym oznaczonym punkcie ziemi. Jeśli kanał tej maszyny jest nierozzerwalnie spojony z ziemią, ruch jej wsteczny udzieli się całej masie naszej planety.

„Maszyna, uznana za odpowiednią przez inżynierów Stowarzyszenia, jest niczem innym jak armatą potwornych rozmiarów, której wystrzał byłby zupełnie bez konsekwencji, gdyby strzelano w kierunku poziomym. By spotęgować wstrząśnienie do *maximum*, trzeba celować prostopadle ku północy lub południowi – i właśnie ten ostatni kierunek został obrany przez Barbicane and Co. W tych warunkach odskok nada ziemi pchnięcie ku północy, pchnięcie to będzie się równać umiętnemu pchnięciu kuli bilardowej”

To, cośmy tu nadmienili, przeczuwał, a raczej odgadywał przenikliwy Alcyd Pierdeux.

„W chwili puszczenia strzału środek ziemi ruszy się z miejsca, idąc w kierunku równoległym kierunkowi wstrząśnienia, co zmieni linię orbity, a zatem i trwanie roku; zmiana ta wszakże skuteczni się w sposób prawie niedostrzegalny. Jednocześnie ziemia pocnie się obracać wkoło osi, położonej w planie równika, i krążenie to dopełniałoby się odtąd niezmiennie około nowej osi, gdyby ruch dobowy nie istniał przed owym wstrząśnieniem.

„Otóż ruch ten istnieje wkoło linii biegunowych, i łącząc się z krążeniem dodatkowym, stworzonym przez odskok, stwarza nową oś, której biegun oddala się od dawnego bieguna o ilość x . Prócz tego, jeśli wystrzał ma miejsce w chwili, gdy jedna z przecinających się linii

równika i ekliptyki znajduje się w nadirze, i jeśli odskok jest dość silny, by ruszyć z miejsca bieguna o $23^{\circ}28'$, nowa oś ziemską stanie prostopadle do planu przebieganej przez nią drogi, tak jak to ma miejsce mniej więcej na planecie Jowiszu.

„Wiadome są skutki owego prostopadłego położenia osi, jeśli czytelnicy pamiętają słowa prezesa Barbicane, wymówione na posiedzeniu z dnia 22 grudnia.

„Wszakże, biorąc na uwagę objętość ziemi i ilość ruchu, wykonywanego przez nią, czy można wyobrazić sobie działo takiej wielkości, by jego odskok zdolny był wytworzyć modyfikację w położeniu obecnego bieguna, modyfikację wartości $23^{\circ}28'$?

„Tak jest, jeśli działo lub działa, użyte na ten cel, będą zbudowane w rozmiarach, wymaganych przez prawa mechaniki, albo jeśli w razie, gdyby działa nie były dostatecznej wielkości, wynalazcy posiadają materię wybuchową o tyle potężną, by nadała pociskowi szybkość, konieczną do poruszenia ziemi z miejsca.

„Otóż, biorąc za podstawę działo o dwudziestu siedmiu centymetrach marynarki francuskiej, które wyrzuca pocisk o stu ośmdziesięciu kilogramach z szybkością pięciuset metrów na sekundę, dając kanałowi tego działa rozmiar o sto razy zwiększony, a w całej objętości o milion razy, działo to wyrzuciłoby pocisk o stu ośmdziesięciu tysiącach tonn. Jeśliby, prócz tego, proch miał szybkość, wystarczającą, by nadać pociskowi chyżość pięć tysięcy sześćset razy większą od chyżości zwykłego prochu armatniego, rezultat pożądany byłby otrzymany. W istocie, z szybkością dwóch tysięcy ośmiuset kilometrów na sekundę można się było nie obawiać, by pęd pocisku, spotkawszy się na nowo z ziemią, powrócił rzeczy do pierwotnego stanu. Przy takiej szybkości możnaby było w ciągu sekundy odbyć podróż z Paryża do Petersburga.

„Otóż, na nieszczęście dla spokoju i bezpieczeństwa ziemi całej – wyda się nadzwyczajnością czytelnikom naszym – J. T. Maston i jego koledzy posiadają materię wybuchową potęgi niezrównanej, o której proch, użyty do wysłania pocisku Kolumbiady do księżycy, nie da nawet słabego wyobrażenia. Kapitan Nicholl wynalazł go. Jakie są substancje, wchodzące w jego skład, znajdujemy tego zaledwie jakieś ślady w kajecie J. T. Mastona; ogranicza się on na określeniu tego cennego materiału palnego nazwą meli-melonitu.

„Wiemy tylko tyle, że wytwarza się on przez oddziaływanie pewnych substancji organicznych i kwasu azotowego. Proch, z tych substancji wytworzony, powstaje tak, jak bawełna strzelnicza, z kombinacji, a nie ze zwyczajnego zmieszania pierwiastków palnych i podtrzymujących palenie.

„Jednym słowem, czemby nie był ten materiał palny, skoro posiada potęgę, wystarczającą, by wyrzucić pocisk, ważący sto ośmdziesiąt tysięcy tonn, poza sferę przyciągania ziemi, jest widocznym, że odskok, jaki on nada działu, wywoła następujące skutki: zmianę osi, przeniesienie bieguna o $23^{\circ}28'$, prostopadłość nowej osi ponad planem ekliptyki. Ztąd wynikną katastrofy, tak strasznie zagrażające mieszkańcom ziemi.

„Wszelakoż jedna jedyna szansa pozostaje ludzkości, szansa, która daje jej możność uniknięcia następstw operacji, która ma spowodować takie zmiany w warunkach geograficznych i klimatycznych kuli ziemskiej.

„Czyż jest możliwym sporządzić działo takich rozmiarów, żeby było o milion razy większe od zwykłego działa o dwudziestu siedmiu centymetrach? Pomimo niesłychanych postępów przemysłu metalurgicznego, który buduje mosty na rzekach Tay i Forth, wiadukty Garabit i wieże Eiffel, czy można przypuścić, by inżynierowie mogli wytworzyć tak olbrzymią maszynę, nie mówiąc już o pocisku o stu ośmdziesięciu tysiącach tonn, który ma być rzucony w przestrzeń?

„O tem wolno wątpić. W tem oczywiście jest jedna z przyczyn, dla których usiłowania Barbicane and Co. spełzną prawdopodobnie na niczem. Wszakże pozostaje tu wolne pole do

domysłów i przypuszczeń bardzo niepokojących, gdyż, podług wszelkiego prawdopodobieństwa, nowe Stowarzyszenie zabrało się już do dzieła.

„Podaje się do wiadomości, że wyżej wymienieni Barbicane i Nicholl opuścili Baltimore i Amerykę. Wyjechali przeszło dwa miesiące temu. Dokąd się udali?... Niezawodnie do owego nieznanego punktu kuli ziemskiej, gdzie wszystko już być musi przygotowane do tej złowrogiej operacji.

„Gdzie się to miejsce znajduje? Jest to dla wszystkich tajemnicą, a skutkiem tego niepodobnym jest ścigać tych zuchwałych „złoczyńców” (*sic*), którym się zachciewa wywracać świat do góry nogami, pod pozorem wyzyskiwania na swą korzyść jakichś kopalń urojonych.

„Owo miejsce było widocznie oznaczone w kajecie J. T. Mastona, na ostatniej jego karcie, która streszczała jego prace; to jest rzeczą niezawodną. Ale ta kartka została poszarpaną zębami współnika Impeya Barbicane, a współnik ten, osadzony obecnie w więzieniu w Baltimore, odmawia stanowczo jakiegokolwiek wyjaśnienia.

„Takim więc jest obecne położenie. Jeśli prezes Barbicane zdoła sfabrykować swe potworne działo i pocisk, jeśli operacja przez niego zamierzona dopełni się w warunkach wyżej wymienionych, stara oś zostanie zmienioną i za sześć miesięcy ziemia ulegnie następstwom tego „zbrodniczego zamachu” (*sic*).

„W tym celu został obrany dzień, w którym wystrzał ma zdziałać zupełny i niechybny skutek; wstrząśnienie, wywarne w tym dniu na ziemską elipsoidę, będzie podniesione do maximum mocy.

„Będzie ono miało miejsce w dniu 22 września, we dwanaście godzin po przejściu słońca przez południk miejsca *x*.

„Dalsze szczegóły są znane: 1) że strzał będzie dany przez armatę milion razy większą od armaty dwudziestu siedmiu; 2) że ta armata będzie nabitą pociskiem o stu ośmdziesięciu tysiącach tonn; 3) że ten pocisk będzie miał szybkość początkową dwóch tysięcy ośmiuset kilometrów; 4) że strzał będzie dany w dniu 22 września, we dwanaście godzin po przejściu słońca przez południk danej miejscowości. Czy z tych wszystkich szczegółów można wywnioskować, gdzie znajduje się owo miejsce *x*, w którym ma się odbyć operacja?

– „Oczywiście nie! – odpowiedzieli członkowie komisji śledczej.

„Istotnie, nic nie upoważnia do robienia wniosków, gdzie się znajduje ów punkt *x*, bowiem w pracy J. T. Mastona niema najmniejszej wzmianki o miejscu kuli ziemskiej, przez które ma nowa oś przechodzić, a mówiąc innymi słowami, w jakim punkcie będą położone nowe bieguny ziemi. O 23°28' od starego bieguna – niech i tak będzie! Ale na jakim południku, tego już stanowczo określić niepodobna.

„A zatem niemożliwym jest odgadnąć, które kraje będą podwyższone, a które znizone skutkiem zmiany poziomów oceanów, – które z lądów zamienią się w morza, a które morza na lądy.

„A jednakże ta zmiana poziomu będzie bardzo znaczną podług obliczeń J. T. Mastona: Z chwilą wstrząśnienia powierzchnia morza przybierze kształt bryły kulistej, kręcącej się około nowej osi biegunowej, a poziom warstw płynnych zmieni się prawie na wszystkich punktach globu.

„W istocie, przecięcie się linii poziomu morza dawnego i nowego – dwie powierzchnie, których osie się spotykają – składać się będzie z dwóch linii krzywych, których oba plany będą przechodzić przez jedną prostopadłą w stosunku do planu dwóch osi biegunowych, a odnośnie przez dwie podzielone linie kąta dwóch osi biegunowych.

„Z tego wszystkiego wynika, że zmiana poziomu morza może dojść do 8,415 metrów różnicy z dawnym poziomem i że w niektórych punktach globu terytoria będą o tę ilość

znizone lub podwyższone. Ilość ta zmniejszać się będzie stopniowo aż do linii demarkacyjnych, dzielących glob na cztery segmenty, na granicy których poziom nie ulegnie żadnej zmianie.

„Należy wziąć pod uwagę, że stary biegun będzie również zatopiony pod 3,000 metrów wody, z powodu, że się znajduje w mniejszej odległości od środka ziemi wskutek spłaszczenia sferoidy. Zatem kraje, nabyte przez North Polar Practical Association, powinnyby były być zatopione, a tem samem niemożliwe do wyzyskania. Wypadek ten został przewidziany przez Barbicane and Co. – i obserwacje geograficzne, wyprowadzone z ostatnich odkryć, pozwalają twierdzić, że istnieje na biegunie północnym płaszczyna, ciągnąca się na wyniosłości 3,000 metrów.

„Co zaś do punktów globu, w których poziom zmieni się o 8,415 metrów, to jest co do terytoryów, które ulegną niszczącym tego następstwom, nie trzeba nawet ważyć się określać ich. Najbystrzejsi inżynierowie nie zdobędą się na to. W tem równaniu jest niewiadoma, której żadna formuła nie wydobędzie. Jest to właśnie owo położenie punktu x , gdzie strzał będzie miał miejsce, a w ślad za tem wstrząśnienie... Otóż to x jest tajemnicą inicjatorów tego nieszczęsnego przedsięwzięcia.

„Z tego wszystkiego wynika, że mieszkańcy ziemi, mieszkający pod jakim bądź stopniem szerokości, winni dla własnego interesu starać się odkryć tę tajemnicę, gdyż są wszyscy bez wyjątku zagrożeni knowaniami Barbicane and Co.

„Niniejszym zawiadamia się mieszkańców Europy, Afryki, Azji, Ameryki, Australii i Oceanii, że w interesie własnego bezpieczeństwa winni śledzić wszelkie prace, mające związek z balistyką, jak np. lanie armat, fabrykowanie prochu i pocisków, któreby były prowadzone w ich okolicach i za ich wiedzą; że powinni również zwracać bacność na obecność jakichkolwiek cudzoziemców, których zjawienie się mogłoby być podejrzanem; i nakoniec, że obowiązani są zawiadomić o tem niezwłocznie członków komisji śledczej w Baltimore, Maryland, U.-S.-A.

„Oby sprawiły nieba, iżby wieść pożądana nadeszła przed 22 września roku bieżącego, dniem, który grozi zakłóceniem porządku, ustanowionego w ziemskim systemie.”

ROZDZIAŁ XII

W którym J. T. Maston zachowuje bohaterskie milczenie.

Tak tedy, po armacie, rzucającej pocisk na księżyc, ma nastąpić armata, zmieniająca oś ziemską! Nic, tylko armaty! jedne i te same armaty! Ależ chyba tylko to jedno mieści się w mózgach tych artylerzystów z Klubu Strzeleckiego. Czy ich opanowała mania kanonierska, i to w najwyższym stopniu? Czy z armaty chce im się zrobić *ultima ratio* tego padłołu? Czyż ta brutalna machina jest wszechwładczynią świata? Czyż tak, jak prawo kanoniczne rządzi teologią, tak prawo kanonierskie ma być najwyższym kierownikiem praw przemysłowych i kosmologicznych?

Tak jest! musimy przyznać, że armata była narzędziem, które wszechwładnie opanowało umysł prezesa Barbicane i jego kolegów. Tak jest, nikt bezkarnie nie może poświęcić całego życia balistyce. Po odbyciu próby z Kolumbiadą na półwyspie Florydy, nic dziwnego, że zaświtała im w głowie armata potworna miejscowości...*x*. Czy nie zdaje się nam, że słyszymy ich donośne głosy, komenderujące:

– Celuj prosto w księżyc!... Ognia z armaty numer pierwszy!

– Zmieniaj oś ziemi... Ognia z armaty numer drugi!

Oczekując z trwogą tej komendy, cały świat miał ochotę zakrzyknąć:

– Do Charenton, szaleńcy!... Ognia z armaty numer trzeci!...

W istocie, zamierzona przez nich operacja usprawiedliwiała tytuł tego dzieła.

Bądź-co-bądź, ogłoszenie noty, zredagowanej przez komisję śledczą, sprawiło wrażenie, które opisać pióro jest niezdolne. Przyznać trzeba, że to, co ona zawierała, nie było wcale uspokajającym. Z obliczeń J. T. Mastona wynikało, że problemat najwyższej mechaniki został rozwiązany we wszystkich swych danych.

Operacja, na którą się wzięli prezes Barbicane i kapitan Nicholl – było to zbyt widocznym – miała niechybnie spowodować najopłakańsze zmiany w ruchu obrotu dziennego. Nowa oś miała zastąpić starą... A wiadomym już było, jakie następstwa musiały wynikać z tej zamiany.

Tak więc owo znakomite dzieło Barbicana i jego współników zostało ostatecznie osądzone, przeklęte, podane na publiczną ohydę. Tak na Starym, jak na Nowym Łądzie, członkowie rady administracyjnej North Polar Practical Association mieli od tej chwili tylko przeciwników i wrogów zajadłych. Stronnicy, których posiadali pomiędzy wartogłowami Stanów Zjednoczonych, byli bardzo nieliczni.

Prawdę powiedziawszy, z punktu widzenia bezpieczeństwa osobistego, prezes Barbicane i kapitan Nicholl mądrze zrobili, opuszczając Baltimore i Amerykę. Gdyby nie to, niechybnie wybiłaby dla nich ostatnia godzina. Trudno bezkarnie grozić tysiąc czterystu milionom ludzi, burzyć i wywracać do szczytu ich nawyknięcia, zaprowadzając jakieś cudackie zmiany w warunkach mieszkalności ziemi, trwożyć i zagrażać ich życiu spowodowaniem klęski powszechnej i niepowetowanej.

Teraz zaciekało to wszystkim, jakim sposobem dwaj członkowie Klubu Strzeleckiego potrafili tak zniknąć bez śladu? Jakim sposobem rzeczy i osoby, niezbędne do tej operacji, mogły zostać wyprawionymi, nie zwróciwszy niczyjej uwagi? Setki wagonów – gdyby przewóz odbywał się koleją, setki okrętów – gdyby obrano drogę morzem, nie starczyłyby na

przewiezienie ładunków kruszcu, węgla i meli-melonitu. Zrozumieć zgoła nie można było, jakim sposobem wyjazd ten mógł się odbyć incognito. Tak jednak było niezaprzeczenie. Po ścisłym śledztwie dowiedziano się, że ani jedna fabryka metalurgiczna, ani jedna fabryka wyrobów chemicznych obu Łądów nie dostała żadnego obstalunku. Było to niepojęte, a jednak prawdziwe! Wszystkie te zagadki przyszłość miała wytłumaczyć... Przyszłość – ale czy miał jej kto doczekać?

Wszakże, jeśli prezes Barbicane i kapitan Nicholl, ulotniwszy się tajemniczo, czuli się zupełnie bezpiecznymi, zato ich wspólnik, J. T. Maston, siedząc, jak należy, pod kluczem, powinien był wszystkiego się obawiać od zajadłości publicznej. I cóż wy na to? Ani mu to w głowie było! O, jakże godnym zachwytu był ten rachmistrz w swym uporze! Tak, był on ukuty z żelaza, tak jak część jego ręki od łokcia do pięści. Stałości jego nic zmienić nie zdoła.

Z głębi komórki, którą zajmował w więzieniu w Baltimore, sekretarz Klubu Strzeleckiego zatapiał się w kontemplacji wewnętrznej, śledził oczyma duszy swych towarzyszy, z którymi, niestety, nie mógł być razem. Wywoływał w wyobraźni postać prezesa Barbicane i kapitana Nicholl, widział ich robiących przygotowania do olbrzymiego dzieła w tym nieznanym zakątku kuli ziemskiej, gdzie nikt ich pracy przeszkodzić nie zdoła. Widział ich fabrykujących ową ogromną maszynę, kombinującą melo-melonit, wytapiających pocisk, który słońce zaliczy wkrótce do rzędu swych satelitów. Ta nowa planeta otrzyma czarowną nazwę Scorbitty, a będzie to dowodem szacunku i rycerskiego hołdu, należnego bogatej kapitalistce z ulicy New-Park. I J. T. Maston obrachowywał dni, zbyt krótkie podług jego zdania, które go zbliżały do dnia, przeznaczonego na wystrzał.

Były to początki kwietnia. Za dwa miesiące i pół gwiazda dzienna, zatrzymawszy się w chwili przesilenia na Zwrotniku Raka, cofnie się aż do Zwrotnika Koziorożca. W trzy miesiące później przejdzie linię równikową na jesiennem porównaniu dnia z nocą. Z chwilą tą skończy się panowanie pór roku, które od milionów wieków tak jednostajnie i tak niemądrze następowały jedna po drugiej w ciągu każdego roku. To już ostatni raz w roku 189... ziemską sferoida ulegnie tej nierówności dni i nocy. Od tej chwili ta sama równa ilość godzin będzie przedzielać wschód od zachodu słońca, bez względu na to, czy to będzie ten lub inny horyzont kuli ziemskiej.

Doprawdy, to było dzieło wspaniałe, nadludzkie, boskie! J. T. Maston, lubując się niem, zapominał nawet o posiadłościach podbiegunowych i o eksploatacji kopalń starego bieguna, widział tylko następstwa kosmograficzne tej przedziwnej operacji. Główny cel nowego Stowarzyszenia malał, zacierał się wobec zmian, które miały przekształcić postać świata.

Ale, jak naprzekór, świat nie chciał zmienić postaci. Bo czyż ona nie była zawsze młodą i świeżą, taką, jaką mu dał Stwórca w pierwszych chwilach bytu!

Co zaś do J. T. Mastona, ten, samotny i bezbronny w głębi swej celi, stawiał opór naciskowi, który nań wywierano. Członkowie komisji śledczej przychodzili do niego codzień, ale nic wymódz nie zdołali. Wtedy to John Prestice powziął myśl zużytkowania wpływu, który możeby się okazał skuteczniejszym, niż presya, przez nich wywierana. Mówimy tu o mrs. Evangelinie Scorbitt. Nie było tajemnicą dla nikogo, do jakiego poświęcenia zdolną była ta przeznacna wdowa wtedy, gdy szło o jakąkolwiek, choćby najlżejszą odpowiedzialność J. T. Mastona, i jak tkliwym i bez granic było jej uczucie dla znakomitego matematyka.

Otóż więc, po długich naradach, członkowie komisji śledczej umyślili upoważnić mrs. Evangelinę Scorbitt do odwiedzania więźnia tak często, jak jej się będzie podobało. Alboż ona narówni z innymi mieszkańcami kuli ziemskiej nie była zagrożoną odskokiem potwornego dzieła? Przecież jej wspaniały pałac na New-Park nie miał być ochroniony od ostatecznej katastrofy, tak samo jak nędzna chałupka robotnika lub wigwam indyanina z wielkich łąk. Przecież tak samo szło tu o jej życie, jak o życie ostatniego z samojedów lub z wyspiarzy

Oceanu Spokojnego. To właśnie dał jej do zrozumienia prezes komisji śledczej i prosił ją o użycie swego wpływu na umysł J. T. Mastona.

Jeśli ten zdecyduje się na koniec przemówić, jeśli zechce powiedzieć, w jakiej miejscowości prezes Barbicane, kapitan Nicholl – i oczywiście liczna eskorta osób im towarzyszących – robią przygotowania, będzie jeszcze czas na to, by puścić się w pogoń za nimi, odszukać ich ślady, a tem samem położyć koniec niepokojom, popłochowi i trwodze całej ludzkości.

Tak więc mrs. Evangelina Scorbitt uzyskała wstęp do więzienia. Pragnieniem jej najgorętszym było ujrzeć J. T. Mastona, którego ręce policyantów wyrwały z dostatniego i wykwintnego otoczenia, jakie miał w swym mieszkaniu.

Wszelako źle znali energiczną Evangelinę ci, co ją sądzili niewolnicą słabostek ludzkich! I gdyby w dniu 9 kwietnia, w dniu pierwszych odwiedzin mrs. Scorbitt, jakie niedyskretne ucho znalazło się było u drzwi więziennej celi, oto coby to ucho z niepomiernym zdziwieniem usłyszało:

– Nakoniec widzę cię, drogi Mastonie!

– Aa, to pani, mrs. Scorbitt?

– Tak, to ja, po czterech, po długich czterech tygodniach rozłączenia...

– Tak, istotnie, po dwudziestu ośmiu dniach, pięciu godzinach i czterdziestu pięciu minutach – wyrzekł J. T. Maston, spojrzawszy na swój zegarek.

– Nakoniec jesteśmy znowu razem!...

– Ale jak się to stało, że cię wpuścili do mnie, droga mistress Scorbitt?

– Wpuścili mnie pod warunkiem, że użyję wpływu, jaki winnam mieć nad człowiekiem, który jest przedmiotem mego bezgranicznego przywiązania!

– Jakto?... Evangelino! – wykrzyknął J. T. Maston. – Ty zgodziłaś się dawać mi podobne rady!... Myślałaś, że zdradzę mych kolegów!...

– Ja? drogi Mastonie!... Czyż mnie tak źle oceniasz! Ja!... miałabym ci radzić, byś poświęcił honor osobistemu bezpieczeństwu!... Ja!... miałabym cię skłonić do postępku, któryby okrył wstydem życie, poświęcone szczytnym badaniom wyższej mechaniki!

– Tak to co innego, mistress Scorbitt. Odnajduję w tobie szlachetną akcyonaryuszkę naszego Stowarzyszenia. Nie!... jam nigdy nie wątpił o zacności twego serca!

– Dzięki ci, drogi Mastonie!

– Co do mnie – mówił dalej, – rozgłosić naszą pracę, objawić, w jakim punkcie kuli ziemskiej nastąpi nasz zdumiewający wystrzał, sprzedać, że tak powiem, tę tajemnicę, którą na szczęście zdołałem ukryć w najbardziej ukrytym zakątku mej istoty, pozwolić tym barbarzyńcom puścić się w pogoń za naszymi przyjaciółmi, przerwać prace, które mają być naszą nagrodą i chlubą!... Nigdy!... lepiej umrzeć!

– Wzniosły Mastonie! – wyrzekła mrs. Evangelina Scorbitt.

I doprawdy, te dwie istoty, tak ściśle jednym i tym samym zapalem połączone – i obie zarówno postrzelone – stworzone były na to, by się rozumieć.

– Nie! nigdy nie dowiedzą się nazwy kraju, który moje obliczenia wskazały im, a których sława przejdzie do nieśmiertelności – dodał J. T. Maston. – Niech mnie zabiją, jeśli są żądni mej krwi, ale mi nie wydrą mej tajemnicy!

– I mnie niech zabiją, niech umieram z tobą! – zawołała mrs. Evangelina Scorbitt. – Ja również milczeć potrafię...

– Na szczęście, Evangelino droga, oni nie wiedzą, że posiadasz tę tajemnicę!

– Więc sądzisz, najdroższy, że byłabym zdolną zdradzić ją dlatego, że jestem tylko kobietą! Zdradzić współników naszych i ciebie!... Nie, mój przyjacielu, po sto razy nie!

Niech ci niegodziwcy zbuntują przeciw tobie ludność wsi i miast, niech świat cały wtargnie w bramy więzienia, by cię z niego wywlec, i wtedy się nie ulękne, nie opuszczę cię i będziemy mieli tę ostatnią pociechę, że umrzemy razem...

Jeśli śmierć we dwoje może być pociechą, to czyż J. T. Maston mógł pragnąć słodszej nad śmierć w objęciach mrs. Evangeliny Scorbitt!

Na tem się kończyła rozmowa, ile tylko razy przezacna niewiasta przyszła odwiedzić więźnia.

A gdy ją członkowie komisji śledczej pytali o skutek widzenia się, odpowiadała:

– Dotąd żaden! Być może, z czasem, nie tracę nadziei...

O, chytróści kobieca!

Z czasem, być może – mówiła. Ale ten czas uciekał wielkimi krokami. Tygodnie upływały jak dni, dni jak godziny, godziny jak minuty.

Maj nadszedł w końcu. Mistress Evangelina Scorbitt nie wymogła nic na J. T. Mastonie, a tam, gdzie ta wpływowa kobieta nie osiągnęła celu swych zachodów, wszystkie usiłowania musiały spełznąć na niczem. Czyż zatem należało już wyczekiwać z zimną krwią straszliwego ciosu i nie marzyć nawet o nadziei ocalenia?

Otóż nie! W podobnym położeniu rezygnacja jest nie na dobre! To też delegaci mocarstw europejskich stali się więcej niż zazwyczaj natrętnymi. Prosto między nimi i członkami komisji śledczej zawiązała się walka, nieustająca ani na chwilę. Dopieroż komisja była w opałach! Wszyscy ci reprezentanci starej Europy obsypywali ją zażaleniami. Nawet Jakób Jansen, mimo swej holenderskiej flegmy, dał się im we znaki. Pułkownik Borys Karkow wyzwał na pojedynek sekretarza rzeczony komisji i zranił, co prawda lekko, swego przeciwnika. Co zaś do majora Donellana, ten, jeśli się nie bił ani na szpady, ani na pałasze z nikim – bo to nie jest zwyczajem w Wielkiej Brytanii, – zato jednak, sekundowany przez swego sekretarza Dean'a Toodrink'a, wymienił kilkanaście kułaków w walce na pięści z Williamem S. Forsterem, flegmatycznym depozytaryuszem stokfiszów, człowiekiem podstawionym przez North Polar Practical Association, który zresztą, co prawda, nie był wcale wtajemniczony w ten interes.

W istocie, świat cały przysiągł się na to, by amerykańców Stanów Zjednoczonych uczynić odpowiedzialnymi za czyny jednego z ich pełnych sławy synów, Impeya Barbicane. Ni mniej, ni więcej – mówiono już o cofnięciu posłów i ministrów wierzytelnych, upoważnionych przy tym bezrozumnym waszyngtońskim rządzie, i o wydaniu mu wojny.

Biedne Stany Zjednoczone! Z pewnością ofiarowałyby nie wiem co za możność pochwylenia Barbicane'a and Co. Nadaremnie protestowały wobec mocarstw Europy, Azji, Afryki i Oceanii, że dają każdemu z nich *carte blanche* do przyaresztowania go; nie słuchano ich nawet. A tu tymczasem ani sposobu wysledzić, w jakim zakątku świata prezes i jego koledzy zajmowali się ową przekłątą operacją.

Na wszelkie tłumaczenia mocarstwa obce niezmiennie odpowiadały:

– Macie w ręku J. T. Mastona, ich współnika, a ponieważ J. T. Maston wie, gdzie się obraca Barbicane, zatem zmuscie do przemówienia J. T. Mastona.

Zmusić do mówienia J. T. Mastona! To mi dopiero zadanie! Równie łatwym byłoby wydrzeć choć słówko z ust Harpokratesa, bożka milczenia, lub głuchoniemego z New-Yorkskiego Instytutu.

I tak rozjątrzenie rosło z dniem każdym w miarę wzrastającego powszechnego niepokoju: niektóre praktyczne umysły przypomniały sobie, że średniowieczna tortura miała swą dobrą stronę, jak naprzykład kleszcze oprawcy, szarpanie rozpalonemi obcęgami za piersi, topiony ołów, tak skuteczny w rozwiązywaniu języka najupartszym, olej wrzący, badanie zapomocą wody, przywiązywanie do belki i zrzucanie z nią razem delikwenta. Dlaczegożby nie

spróbować tych środków, które sprawiedliwość ongi i z dobrym skutkiem używała, i to w okolicznościach nierównie mniejszej wagi, w sprawach, dotyczących się jednostek i obchodzących tylko pośrednio ogół?

Ale, przyznać musimy, iż środki te, które usprawiedliwiały dawne obyczaje, nie mogły być użyte pod koniec wieku swobody i tolerancji, – wieku, tak nacechowanego ludzkością, jak wiek dziewiętnasty, – wieku, w którym wynaleziono fuzye repetyery dalekonośne, kule siedmio-milimetrowe, – wieku, który w stosunkach międzynarodowych używa granatów z menilitu, roburitu, bellitu, panklastitu, meganitu i innych materyj, kończących się na itu, które wszystkie razem wzięte nie są niczem w porównaniu do meli-melonitu.

J. T. Maston tedy nie potrzebował się obawiać tortur zwyczajnych, ani nadzwyczajnych. Jedyna deska ratunku mieściła się w nadziei, że skoro pojmie ciężącą na jego barkach odpowiedzialność, zdecyduje się może przemówić; a jeśli będzie się upierać do końca, to kto wie, może traf, przypadek odkryje tajemnicę.

ROZDZIAŁ XIII

Na końcu którego J. T. Maston daje odpowiedź, godną bohatera.

Tymczasem czas postępował, a prawdopodobnie razem z nim postępowały prace, które prezes Barbicane i kapitan Nicholl wykonywali w warunkach tak szczególnych, w miejscu nikomu nieznanem.

Z tem wszystkim, jak to być mogło, aby operacja, wymagająca wybudowania wielkiej huty, zbudowania ogromnych pieców, mogących wylać masę milion razy większą od największego działa, która wymagała zamówienia kilku tysięcy robotników, przewiezienia ich, ulokowania, – jakim, mówię, sposobem stać się mogło, aby to całe przedsięwzięcie uszło baczności interesowanych? W jakiej, u licha, części Starego czy Nowego Łądu Barbicane and Co. mogli się potajemnie usadowić i nie zwrócić uwagi mieszkańców okolicznych? Miałoż to miejsce na jakiej niezamieszkałej wyspie Spokojnego lub Indyjskiego oceanu? Ależ w naszym wieku niema wcale wysp niezamieszkałych: anglicy, co gdzie tylko było, pozabierali. Chyba nowe Stowarzyszenie nową wyspę umyślnie na ten cel wyszukało? Co zaś do przypuszczenia, że to w jakimś punkcie podbiegunowym, północnym lub południowym, założyło ono swe huty, nie! toby było całkiem przeciwne możliwości. Przecież dlatego właśnie, że nie można dostać się do tych stref oddalonych, North Polar Practical Association postanowiło je z miejsca na miejsce przestawić.

Zresztą, szukać prezesa Barbicane i kapitana Nicholl po tych lądach i wyspach, nawet w ich częściach względnie dostępnych, byłoby stratą daremną czasu. Czyż kajecik, pochwycony u prezesa Klubu Strzeleckiego, nie wspominał, że strzał miał mieć miejsce mniej więcej na linii równika? Otóż na równiku znajdowały się strefy mieszkalne, jeśli nie przez ucywilizowanych ludzi zamieszkałe. Jeśli tedy w okolicy linii równikowej niegodziwcy się usadowili, nie mogło to być ani w Ameryce, przez całą długość Peru i Brazylii, ani na wyspach Sondzkich, Sumatrze, Borneo lub Celebes, ani też w Nowej-Gwinei, gdzie podobna operacja nie mogłaby być przeprowadzoną bez wiedzy krajowców tamtejszych. Prawdopodobnie zarówno nie mogła być utrzymaną w tajemnicy w środkowej Afryce, ani w okolicach wielkich jezior, przez które przechodzi równik. Pozostawały jeszcze co prawda wyspy Maldywskie na oceanie Indyjskim, wyspy Admiralskie, Gilbert, Christmas, Galapagos na oceanie Spokojnym, San Pedro na Atlantyckim. Ale wiadomości, zasiępane w tych przeróżnych miejscach, nie dały żadnego rezultatu. To też trzeba było poprzestać na domysłach i przypuszczeniach, które nie były jej natury, by mogły uspokoić powszechną trwogę.

Ale co o tem wszystkim myślał Alcyd Pierdeux? Więcej „siarczasty” jak zazwyczaj, nie przestawał suszyć głowy nad różnorodnymi następstwami tej zagadki. Że kapitan Nicholl wynalazł materię eksplodującą tak wielkiej potęgi, że odkrył ten meli-melonit siły trzy lub cztery tysiące razy większej niż siła najgwałtowniejszych eksplodujących materij wojennych, a pięć tysięcy sześćset razy silniejszy niż nasz stary, poczciwy proch armatni, przez naszych przodków jeszcze używany, to już samo było nietylko dziwnem, ale zdumiewajacem! – mówił Pierdeux – wszelako nie niemożliwem. Nie można wiedzieć, co przed nami kryje przyszłość, jakie niespodzianki gotuje nam postęp na tej drodze, umożliwiającą sprzątanie całych armij, i to Bóg wie w jakiej odległości. Zresztą owo wyprostowanie osi ziemskiej,

sprawione odskokiem armatniego działa, nie mogło tak dalece zadziwić francuzkiego inżyniera. To też zwracając się *in petto* do promotora tego przedsięwzięcia, tak mówił:

– Jest rzeczą niezaprzeczoną, panie prezesie Barbicane, że ziemia odczuwa uderzenie wszelkich wstrząśnięć, zdarzających się na jej powierzchni. Jest rzeczą pewną, że gdy setki tysięcy ludzi bawią się w posyłanie sobie nawzajem tysięcy pocisków, ważących każdy kilka kilogramów, a nawet wtedy, gdy ja sam chodzę, skaczę, wyciągam rękę, nawet wtedy, gdy kulka krwi przelewa się w moich żyłach, wszystko to oddziałuje na całość naszej sferoidy. Więc tedy ta twoja wielka machina jest w mocy sprawić żądane wstrząśnienie? Ależ, do kaduka! czyż to wstrząśnienie będzie wystarczającym, by zachwiać ziemię? A tego właśnie chcę dowieść najstanowczej równania tego bydłęcia Mastona. No, proszę!

W istocie, Alcyd Pierdeux mógł tylko podziwiać genialne obliczenia sekretarza Klubu Strzeleckiego, dawane do przejrzenia przez członków komisji śledczej wszystkim uczonym, którzy byli w stanie je zrozumieć. A Alcyd Pierdeux, który czytał algebrę z taką łatwością, jak się czyta „Tygodnik Mód” lub „Bibliotekę Romansów i Powieści”, znajdował w tej lekturze urok nieopisany.

Ale, jeśli to zachwianie nastąpi, ileż to będzie katastrof na powierzchni naszej sferoidy! Co zalewów, miast wyrwconych do góry nogami, gór zawalonych, mieszkańców zabitych, mas płynnych wyrzuconych z łożysk i sprowadzających przerażające klęski!

Byłoby to jak gdyby trzęsienie ziemi niepomiernie gwałtowne.

– Gdyby chociaż – mruzczał Alcyd Pierdeux, – gdyby ten dyabelski proch kapitana Nicholl miał mniej mocy, możnaby spodziewać się, że pocisk wróci uderzyć o ziemię, czy to w część jej leżącą przed czy też za punktem strzału, naturalnie okrążywszy wprzód kulę ziemską. A w takim razie wszystko powróciłoby na miejsce, i to w czasie względnie niedługim – naturalnie bez katastrof nie obyłoby się, to już niema i gadania. Otóż dzięki ich meli-melonitowi pocisk opisze linię krzywą i nie wróci przeprosić ziemię za zrobienie jej subiekcyi i ustawić ją na dawne miejsce!

Mówiąc to, Alcyd Pierdeux wymachiwał rękoma, jak przyrząd, stawiany na brzegach morza do dawania sygnałów; można było sądzić, że wszystko, co się znajdowało w promieniu dwóch metrów, podruzgocze na drobne kawałki.

Potem mówił znowu:

– Gdybyż przynajmniej wiadomem było, gdzie oni strzelić zamyślają, wtedy z łatwością doszedłbym, w jakich miejscach zmiana poziomu będzie małożnaczną, w jakich dojdzie do maximum. Wtedy możnaby uprzedzić ludzi, by się w porę z swych siedzib powynosili, żeby im domy i miasta nie zawaliły się na głowę. Ale jak tu dojść tego?

Wypowiedziawszy to gładził dłonią rzadkie włosy, zdobiące czaszkę.

– Być może – dodawał, – że następstwa wstrząśnienia będą bardziej skomplikowane, niż się napozór zdaje. Dlaczegożby wulkany nie miały skorzystać ze sposobności i nie pozwolić sobie na wybuchy nieprzyzwoite? Czemużby nie miały, tak jak podróżny, cierpiący na morską chorobę, wyrzucać z siebie materye, zawadzające im we wnętrznościach? Dlaczegożby niektóre oceany, wyprowadzone z łożysk do niepomierniej wysokości, nie miały zalać ich otwartych kraterów? Niech mnie dyabli porwą, jeśli by nie nastąpiły katastrofy, zdolne roztrzaskać machinę telluryczną! Och! ten przeklęty Maston, który obstaje przy swem milczeniu! Czy widzicie go, jak sobie igra z naszą kulą i próbuje swej zręczności na bilardzie wszechświata!

Tak dowodził Alcyd Pierdeux. Niedługo potem te przerażające hipotezy zostały pochwycone i roztrząsane przez dzienniki obu Światów. Wobec przewrotu, który wyniknie z operacji Barbicane and Co., co znaczący trąby morskie, zalewy, zrzadzane przez przyplływ morza, potopy, które od czasu do czasu pustoszą jakąś tam małą część ziemi! Takie katastrofy są tylko cząstkowe. Gdy jakie kilka tysięcy ludzi zniknie z powierzchni ziemi,

nieliczni pozostali odczuwają jakieś małe wrażenie! To też w miarę zbliżania się fatalnego terminu przestrasz ogarniał najodważniejszych. Dopieroż mieli gratkę kaznodzieje, przepowiadający koniec świata! Dopieroż znaleźli się w swoim żywiole! Zdawało się, że powrócił ów pamiętny 1000 rok, w którym żyjący wyobrazili sobie, że będą strąceni do państwa umarłych.

Przypomnijcie sobie tylko, co się działo wówczas. Podług pewnego ustępu Apokalipsy, ludy sądziły, że dzień sądu się zbliża. Oczekiwały znaków gniewu, przepowiedzianych przez Pismo. Syn zatracenia, Antychryst, miał się pojawić.

„W ostatnim roku x wieku – opowiada H. Martin, – wszystko raptem ustało, rozrywki, zajęcia, interesy, wszystko, aż do uprawy pól. Po co, mówiono, myśleć o przyszłości, która nie nadejdzie? Myślmy lepiej o wieczności, którą jutro rozpocznie! Zadawalniano się zaspakajaniem chwilowych tylko potrzeb i zapisywano majątki, zamki i t.d. klasztorom, by sobie zapewnić protektorów w tem królestwie niebieskiem, do którego wkrótce wejść miano. Wiele aktów donacyi na rzecz kościołów z owej epoki zaczynają się od słów: „Jako koniec świata zbliża się, a upadek jego jest blizki...”. Gdy nadszedł fatalny termin, tłumy ludu gromadziły się nieustannie w bazylikach, kaplicach, świątyniach poświęconych Bogu, i wyczekiwały, drżąc ze strachu, na siedm trąb siedmiu aniołów ostatecznego sądu, które mają zagrznieć z wysokości niebios.”

Wiadomo że pierwszy dzień roku 1000 zszedł bez najmniejszego zamieszania rządzących praw natury. Ale tu tym razem nie chodziło o przewrót oparty na tekście ciemności biblijnej. Szło tu o zmianę zaprowadzoną w równowadze ziemi, opartą na obliczeniach niezaprzeczonych i nie ulegających przeczeniu, szło tu o zamach, który postęp nauk balistycznych i mechanicznych czynił zupełnie możliwym. Tym razem to już morze nie miało wydać swych umarłych, i owszem, miało ono pochłonąć miliony żyjących w głębi swych nowo utworzonych przepaści.

Wynik tego wszystkiego był taki, że pomimo zmian zaszłych w umysłach pod wpływem nowoczesnych idei, przestrasz doszedł do tego stopnia, że wielka liczba pobożnych praktyk z roku 1000 powtórzyła się z równem szaleństwem fanatyzmu. Nigdy dotąd nie robiono z takim pośpiechem przygotowań do odjazdu w świat lepszy. Nigdy równie długie litanie grzechów i nigdy w podobnej obfitości nie recytowały się u stóp konfesyonałów! Nigdy tylu absolucyj nie rozdano umierającym, żałującym *in extremis*. Zastanawiano się nawet nad tem, czyby nie żądać absolucyi powszechnej, którą brewe papieskie udzieliłoby wszystkim ludziom dobrej woli i dobrego strachu.

Położenie J. T. Mastona stawało się w tych warunkach coraz krytycznijszem. Mistress Evangelina Scorbitt drżała ze strachu, by się nie stał pastwą zajadłości publicznej. Być może nawet że przychodziła jej chętka skłaniać go do wymówienia tego słowa, które taił z bezprzykładną stanowczością. Jednak nie odważyła się na to i dobrze zrobiła, naraziłaby się była bowiem na kategoryczną odmowę.

Jak to łatwo sobie wystawić, nawet w mieście Baltimore, szarpanem gorączką strachu, trudno było ludność od gwałtu powstrzymać. Strach jej i rozdrażnienie podniecane były przez większość dzienników Związku amerykańskiego, przez depesze, które nadchodziły „z czterech końców ziemi”, mówiąc językiem, którym się wyrażał w swej Apokalipsie święty Jan Ewangelista, za czasów cesarza Domicjana. Ręczyć możemy, że gdyby J. T. Maston miał szczęście żyć za czasów tego ciemności, prędkoby się z nim załatwiono. Wydanoby go na pożarcie bestyom dzikim, a on rzekłby tylko:

„Już po mnie!”

Bądź-co-bądź, niewzruszony J. T. Maston odmawiał wszelkich wiadomości co do miejsca x , pojmując nadto dobrze, że jeśli je odkryje, obaj jego współnicy, tak prezes Barbicane, jak kapitan Nicholl, będą postawieni w niemożności prowadzenia dalej rozpoczętego dzieła.

Jednak przyznajmy, że piękną była ta walka człowieka pojedynczego ze światem całym. Zolbrzymiała go ona tak w oczach mistress Evangeliny Scorbitt, jak w opinii jego kolegów z Klubu strzeleckiego. Ci zacni ludzie i, bo niepodobna tego utaić, uparci jak wogóle dymisjonowani artylerzyści, obstawali mimo wszystko za projektami Barbicana i Spółki. Sekretarz Klubu strzeleckiego doszedł do takiej sławy, że moc osobistości zawiązała z nim korespondencję, jak się to robi ze zbrodniarzami wielkiego rozgłosu, celem zdobycia podpisu ręki, która wkrótce ziemię całą miała z gruntu przewrócić.

Wszelako choć to było piękne i szczytne, ale co chwila niebezpieczniejsze. Lud całemi masami, dniem i nocą, otaczał więzienie w Baltimore. Rozlegały się tam krzyki i hałas nieopisany. Szalejący tłum chciał samowolnie ze skóry obedrzeć J. T. Mastona. Policja widziała zbliżającą się chwilę, w której nie będzie w jej mocy ochronić go od następstw prawowitego oburzenia.

Pragnąc dać zadośćuczynienie ludom Ameryki, jak również obcym, rząd waszyngtoński postanowił nakoniec złożyć akt oskarżenia przeciw J. T. Mastonowi, a następnie stawić go przed sądem kryminalnym.

Skoro się sprawa dostanie przed przysięgłych, dręczonych śmiertelnym o własną skórę strachem, „prędko się z nim uwiną”, mówił Alcyd Pierdeux, który mimowoli uczuwał sympatią dla zaciętego w swym uporze rachmistrza.

Z tego wszystkiego wynikło, że zrana dnia 5 Września prezes komisji śledczej pojawił się w swej własnej osobie w celi więźnia.

Mistress Evangelina Scorbitt, na usilną prośbę, zgodziła się towarzyszyć mu. Kto wie, może wpływ tej uroczej damy wywrze pożądaný skutek w chwili tego ostatniego widzenia. Należało wszystkiego próbować. Wszystkie środki są dobre, skoro prowadzą do celu. Jeżeli i to nie poskutkuje, trzeba będzie wziąć się do czegoś innego.

– Do czego innego – powtarzały przenikliwe umysły. – To mi dopiero śliczny interes! I cóż ztąd, że J. T. Maston będzie dyndał na szubienicy, skoro katastrofa spełni się w całej swej grozie!

Tak tedy około jedenastej z rana J. T. Maston znalazł się w obecności mrs. Evangeliny Scorbitt i Johna H. Prestice, prezesa komisji śledczej.

Przystąpiono do interesu w sposób bardzo zwyczajny. W rozmowie, którą przytoczymy, wymienione zostały pytania i odpowiedzi z jednej strony ostre, z drugiej pełne spokoju.

I czy mógł kto przypuścić, że nadejdą okoliczności, w których spokój będzie po stronie J. T. Mastona!

- Po raz ostatni: czy będziesz pan odpowiadał? – spytał John H. Prestice.
- W jakiej kwestyi?... – zauważył ironicznie sekretarz Klubu strzeleckiego.
- W kwestyi miejsca, w którym przebywa pański kolega Barbicane.
- Powiedziałem to już ze sto razy.
- Powtórz pan to po raz setny pierwszy.
- Barbicane znajduje się tam, gdzie nastąpi wystrzał.
- A gdzież wystrzał nastąpi?
- W miejscu, w którym się znajduje mój kolega, prezes Barbicane.
- Strzeż się pan, panie J. T. Maston!
- Czego?
- Następstw własnego uporu, których następstwem nieuniknionem...
- Będzie nie dać wam się dowiedzieć o tem, coście wiedzieć nie powinni.
- O tem, co wiedzieć mamy prawo!
- Jestem w tym względzie innego zdania.

– Będziesz pan zawezwany przed sąd kryminalny, jak złoczyńca.
– Cóż robić!
– I sędzia wyda na pana wyrok potępiający.
– Być może.
– Po wyroku nastąpi wykonanie.
– Niech i tak będzie!
– Najdroższy Mastonie!... – ośmieliła się wyszeptać mistress Evangelina, której serce drżało pod wrażeniem strasznych gróźb.
– Oh!... pani! – wyrzekł Maston.
Spuściła głowę i zamilkła.
– A czyś pan ciekawy dowiedzieć się, jakim będzie ten wyrok? – mówił dalej John H. Prestice.
– I bardzo.
– Będziesz pan skazany na karę śmierci... na którą zresztą zasłużyłeś.
– Doprawdy?
– Będziesz pan powieszony, mogę panu zaręczyć tak, jak dwa a dwa stanowi cztery.
– Jeśli tak, mój panie – odrzekł z flegmą Maston, – to mam przed sobą pewne szanse. Gdybyś pan był chociaż słabym matematykiem, nie powiedziałbyś „tak jak dwa a dwa jest cztery!” A cóż nam dowodzi, że wszyscy matematycy po dziś dzień nie byli waryatami, twierdząc, że suma dwóch liczb równa się sumie ich części, to jest że dwa a dwa jest cztery?
– Mój panie!... – zawołał prezes, całkiem zbity z tropu.
– Tak! – mówił dalej Maston – gdybyś pan mi powiedział: „to jest tak pewne jak to, że jeden a jeden stanowią dwa”, toby było co innego! Toby było zupełnie jasne, bo to byłoby określenie a nie twierdzenie.
Po tej lekcji arytmetyki prezes komisji wyniósł się za drzwi, z czego korzystając, mrs. Evangelina Scorbitt obsypała płomiennymi wejrzeniami najwznioślejszego matematyka swych marzeń!

ROZDZIAŁ XIV

Bardzo krótki, ale w którym X. staje się wartością geograficzną.

Szczęściem dla J. T. Mastona rząd związkowy otrzymał telegram, wysłany przez konsula amerykańskiego z Zanzibaru. Był on następującej treści:

„Janowi Wright, ministrowi stanu Washington, U.S.A.

„Zanzibar, 13 września, godzina 5 po południu.

„Wielkie roboty, wykonane w Wamasai, na południu łańcucha gór Kilimandżaro. Prezes Barbicane, kapitan Nicholl wraz z licznym personelem murzyńskim, znajdują się tu pod władzą sultana Bali-Bali. To wszystko podaje do wiadomości rządowi oddany:

Ryszard W. Troust, konsul.”

W taki to sposób tajemnica tak starannie ukrywana przez Mastona wyszła na jaw. I dlatego tylko sekretarz Klubu strzeleckiego, chociaż uwięziony, nie został powieszony.

Kto wie czy potem nie żałował, niestety, po niewczasie, że nie umarł w całej pełni swej chwały!

ROZDZIAŁ XV

Zawierający niektóre szczegóły wielce interesujące dla mieszkańców sferoidy ziemskiej.

Tak więc rząd waszyngtoński dowiedział się nakoniec, gdzie mianowicie miał działać Barbicane and Co. Wątpić o autentyczności depeszy nie można było w żaden sposób. Konsul Zanzibaru był agentem zbyt pewnym i zawiadomienie przez niego przesłane zostało przyjęte bez żadnych zastrzeżeń. Zresztą zostało ono potwierdzone przez odebrany w ślad zatem telegram. Więc tedy w środku okolic Kilimandżaro, w afrykańskim Wamasai o jakie sto mil na zachód od wybrzeży, cokolwiek niżej linii równikowej, inżynierowie North Polar Practical Association byli w przededniu ukończenia swych prac olbrzymich.

Jakim sposobem potrafili usadowić się potajemnie w tej okolicy u stóp sławnej góry, rozpoznanej 1849 r. przez doktorów Rebwaniego i Krapfa, zwiedzonej potem aż do szczytu przez podróżników Ehlers'a i Abbot'a. Jak zdołali ustawić tam warsztaty, wybudować ludwisarnię, zebrać ilość robotników wystarczającą? Jakiemi środkami zawiązali stosunki z niebezpiecznymi pokoleniami krajowców, z ich władzcami, równie podstępnyimi, jak okrutnymi? Tego nie wiadomo. A być może, że nikt nigdy się nie dowie, skoro już tylko brakło dni kilku do fatalnego terminu 22 Września.

To też, skoro J. T. Maston dowiedział się od Mistress Evangeliny Scorbitt, że tajemnica Kilimandżaro wykryta została przez depeszę nadeszłą z Zanzibaru:

– Pschutt!... – wyrzekł, kreśląc swym żelaznym haczykiem jakiś fantastyczny zygzak w przestrzeni. – Jak dotąd, jeszcze ludzie nie podróżują ani telegrafem – ani telefonem, a za sześć dni... będzie po wszystkim.

A ktoby słyszał sekretarza Klubu strzeleckiego, jak swym donośnym głosem wygłaszał tę grzmiącą tyradę, byłby zdumiony tym zapasem energii żywotnej, która się niekiedy kryje w starych dymisyonowanych artylerzystach.

Oczywiście J. T. Maston miał słuszność. Brakło czasu na wysłanie agentów do Wamasai, z misją przyaresztowania prezesa Barbicane. Przypuściwszy że ci agenci, wyjechawszy z Algeru lub z Egiptu, nawet chociażby z Aden, z Massuah, Madagaskaru lub Zanzibaru, zdołali szybko dostać się na wybrzeże, to jeszcze trzeba się było liczyć z trudnościami właściwymi samemu krajowi z opóźnieniami spowodowanymi przeszkodami przedzierania się przez tę górzystą krainę, a być może że jeszcze i z oporem lub niechęcią robotników krajowców, podległych woli despotycznego sułtana.

Trzeba było tedy zrzec się nadziei przeszkodzenia operacyi, zatrzymując operatora.

A jeśli to ostatnie było niemożliwe, zato stawało się obecnie łatwym wywnioskować następstwa, ponieważ wiadano o miejscu, z którego strzał miał być dany. Teraz było to tylko kwestyą rachunku, rachunku oczywiście dość skomplikowanego, ale który nie przechodził zdolności algebraistów w szczególności, a matematyków wogóle.

Ponieważ depesza konsula Zanzibaru przybyła prosto pod adresem Stanu w Waszyngtonie, więc rząd związkowy trzymał ją zrazu w tajemnicy. Zamierzał on – jednocześnie z ogłoszeniem jej publicznem – wskazać następstwa zmiany osi, prowadzącej zmianę poziomu mórz. Mieszkańcy kuli ziemskiej mieli się jednocześnie dowiedzieć, jaki los ich oczekował, zależnie od zamieszkiwanej przez nich części ziemskiej sferoidy.

Można łatwo pojąć, z jak gorączkową niecierpliwością oczekiwali owego wyroku!

W dniu 14 Września wysłano depezę do biura geograficznego w Waszyngtonie, zapytując o ostateczne następstwa mającej nastąpić zmiany osi tak pod względem geograficznym, jak balistycznym. Zaraz następnego dnia położenie zostało jasno określone. Wypracowanie to zostało natychmiast zakomunikowane niemi podziemnymi wszystkim mocarstwom Nowego i Starego Łądu. Odbite w setkach dzienników, zostało obwoływane po wszystkich większych miastach obu półkul.

„Co to będzie? co to będzie?”

To pytanie brzmiało we wszystkich językach i po wszystkich krańcach kuli ziemskiej.

Oto treść tego, co zdecydowało biuro astronomiczne:

„Pilne ostrzeżenie.

„Doświadczenie, na które się waży prezes Barbicane i kapitan Nicholl, jest następujące: sprawić odskok, to jest cofnięcie się wstecz, w dniu 22 Września o północy, zapomocą działa milion razy takiej objętości, co zwykła armata o dwudziestu siedmiu kilometrach, które ma rzucić pocisk wagi stu ośmdziesięciu tysięcy tonn nabity prochem, dającym szybkość początkową dwóch tysięcy ośmiuset kilometrów.

„Jeśli wystrzał dokona się cokolwiek poniżej linii równika, mniej więcej na trzydziestym czwartym stopniu długości na wschód od południka Paryża, u stóp łańcucha Kilimandżaro, i jeśli będzie skierowany ku południowi, wtedy następstwa mechaniczne na powierzchni ziemskiej sferoidy będą następujące:

„W tej chwili wskutek wstrząśnienia, połączonego z ruchem dziennym, nowa oś się utworzy, a ponieważ dawna oś się posunie z miejsca o $23^{\circ}28'$, podług obliczeń J. T. Mastona, nowa oś będzie prostopadła w stosunku do płaszczyzny ekliptyki.

„A teraz następuje pytanie, którędy będzie wychodziła nowa oś? Znając miejsce, z którego ma być strzał dany, łatwym jest to obrachować i to zostało dokonane.

„Północny koniec nowej osi będzie położony pomiędzy Grenlandją i ziemią Grinnel w tej właśnie części morza Baffińskiego, która przecina obecnie koło biegunowe północne. Południowy koniec wypadnie na granicy koła biegunowego południowego, o kilka stopni na wschód ziemi Adel.

„W tych warunkach nowy południk zero, idąc od bieguna północnego, przechodzić będzie przez Dublin w Irlandyi, Paryż we Francyi, Palermo w Sycylii, odnogę Wielki Sylt na wybrzeżu Trypolitańskim, Obeid w Darfurze, łańcuch gór Kilimandżaro, wyspę Madagaskar, wyspę Kerguelu na oceanie Spokojnym południowym, nowy biegun południowy, antypody Paryża, wyspy Cook i Towarzyskie w Oceanii, wyspy Quadra i Vancouver na wybrzeżu Kolumbii angielskiej, ziemię Nowej Brytanii, północną Amerykę i półwysp Melville, leżący w strefach podbiegunowych północnych.

„Skutkiem stworzenia tej nowej osi obrotowej, wychodzącej przez morze Baffińskie na północy a ziemię Adel na południu, utworzy się nowy równik, ponad którym słońce zakreślać będzie niezmiennie już swą dzienną linię krzywą. Ta linia równikowa będzie przechodziła góry Kilimandżaro w Wamasai, ocean Indyjski, Goa i Chicacola cokolwiek poniżej Kalkuty w Indyach, Maugalu w królestwie Siam, Kesho w Tonkinie, Hong-Kong w Chinach, wyspę Rasa, wyspy Marshall, Gaspar Rico, Walker na oceanie Spokojnym, Koldyriery w Rzeczypospolitej argentyńskiej, Rio de Janeiro w Brazylii, wyspy Świętej Trójcy i Świętej Heleny na oceanie Atlantyckim, Santo Paulo de Loanda w Kongo, i nakoniec powróci do ziemi Wamasai z odwrotnej strony gór Kilimandżaro.

„Przedewszystkiem należy zauważyć, że dyrektorowie North Polar Practical Association usiłowali zmniejszyć skutki tej operacji, o ile to było możliwem. Wistocie, gdyby strzał był dany w stronę północy, następstwa byłyby straszne dla części najbardziej cywilizowanych

kuli ziemskiej. Przeciwnie, strzelając w stronę południa, następstwa te dadzą się uczuć stronom mniej zaludnionym i bardziej dzikim – zwłaszcza co się tyczy klęski zalania.

„Oto w jaki sposób rozdzielią się wody, wyrzucone ze swych łożysk skutkiem spłaszczenia sferoidy przy dawnych biegunach.

„Kula ziemiska podzielona będzie przez dwa wielkie koła przecinające pod kątem prostym Kilimandżaro i jego antypodaj na oceanie Spokojnym. Ztąd utworzą się cztery segmenty: dwa w półkuli północnej, dwa w południowej, podzielone liniami, na których nie będzie żadnej zmiany poziomu.

1. Półkula północna:

„Pierwszy segment na zachód Kilimandżaro, zawierać będzie Afrykę od Kongo aż do Egiptu, Europę od Turcji do Grenlandyi, Amerykę od Kolumbii angielskiej aż do Peru i Brazylii do wysokości San Salvador, nakoniec cały ocean Atlantycki północny i większą część Atlantyku.

„Drugi segment na wschód Kilimandżaro, będzie zawierał większą część Europy od morza Czarnego aż do Szwecyi, Rosyję europejską i azjatycką, Arabię, całe prawie Indie, Persyę, Beludżystan, Afganistan, Turkestan, Państwo Niebieskie, Mongolię, Japonię, Koreę, morze Czarne, morze Kaspijskie, część wyższą oceanu Spokojnego, kraje Alaszka w północnej Ameryce i zarazem posiadłości podbiegunowe, tak nie w porę oddane na łup North Polar Practical Association.

„2. Półkula południowa:

„Trzeci segment na wschód Kilimandżaro, będzie zawierał Madagaskar, wyspy Marion, Kerguelen, Maurice, Zgromadzenia i wszystkie wyspy morza Indyjskiego, ocean Południowy aż do nowego bieguna, półwysep Malakka, Jawę, Sumatrę, Borneo, wyspy Sondzkie, Filipińskie, Australię, Nową Zelandyę, Nową Gwineję, Nową Kaledonię, całą część południową oceanu Spokojnego i jego liczne archipelagi, aż po sto sześćdziesiąty południk.

„Czwarty segment na zachód Kilimandżaro, obejmie część południową Afryki, od Kongo i kanału Mozambiku, aż do przylądka Dobrej Nadziei, ocean Atlantycki południowy aż do osmdziesiątego równoleżnika, całą południową Amerykę od Pernambuko i Limy, Boliwię, Brazylię, Uraguay, Rzeczpospolitą Argentyńską, Patagonię, Ziemię Ognistą, wyspy Maluińskie, Sandwicz, Shetland i część południową oceanu Spokojnego na wschód od sto sześćdziesiątego stopnia długości.

„Takie to będą cztery segmenty kuli ziemskiej, oddzielone linią, na której poziom nie ulegnie żadnej zmianie.

„Teraz pozostaje wykazać następstwa spowodowane na powierzchni tych czterech segmentów skutkiem przeniesienia z miejsca na miejsce mórz.

„Na każdym z tych segmentów jest punkt środkowy, w którym następstwa te będą krańcowe, czy to dlatego, że wody nań będą stracone, czy też że zeń się osuną.

„Ta kwestya jest orzeczona z najdokładniejszą ścisłością przez obliczenia J. T. Mastona, który twierdzi, że *maximum* następstw tych dochodzić będzie 8415 metrów na każdym z tych punktów, od których się oddalając, różnica poziomu będzie się zmniejszać aż do linii neutralnych, formujących granice segmentów. W tych więc punktach następstwa będą najpoważniejsze, patrząc z punktu bezpieczeństwa publicznego, na które nastawała operacya prezesa Barbicana.

„Dwie rzeczy są do zauważenia w każdym z tych następstw.

„W dwóch segmentach, położonych jeden naprzeciw drugiego, na półkuli północnej i południowej, morza cofną się, by zalać dwa drugie, również leżące jeden naprzeciw drugiego w każdej z półkul.

„W pierwszym segmencie: ocean Atlantycki wypróżni się prawie zupełnie, a ponieważ punkt maximum znizenia będzie mniej więcej na wysokości Bermudów, ukaże się dno morza, jeśli wszakże głębokość morza jest mniejsza w tem miejscu niż 8,415 metrów. Skutkiem tego pomiędzy Ameryką i Europą utworzą się obszerne posiadłości, które Stany Zjednoczone, Anglia, Francya, Hiszpania i Portugalia będą mogły zagarnąć w części przypadającej na każde z nich, ze względu na ich rozległość geograficzną, naturalnie jeśli to im będzie na rękę. Trzeba wszakże zauważyć, że skutkiem znizenia wód, warstwy powietrza opadną również, więc brzegi Europy i Ameryki będą podniesione do takiej wysokości, że miasta, położone nawet o dwadzieścia i trzydzieści stopni od punktów maximum, będą miały do rozporządzenia tylko tę ilość powietrza, która się znajduje obecnie na wysokości mili w atmosferze. Damy tu za przykład tylko znaczniejsze: Nowy-York, Filadelfię, Charlestown, Panamę, Lizbonę, Madryt, Paryż, Londyn, Edynburg, Dublin i t.d. Jedne tylko miasta Kair, Konstantynopol, Gdańsk, Sztokholm z jednej strony, i wyspy wybrzeża wschodniego amerykańskiego z drugiej, zachowają swe normalne położenie względnie do ogólnego poziomu. Co zaś do Bermudów, powietrza zabraknie im tak, jak go braknie aeronautom, którzy potrafili wznieść się do 8,000 metrów wysokości, jak go braknie najwyższym wierzchołkom łańcucha Tybetu. Zatem niepodobnem będzie żyć tam.

„Takie same następstwa w segmencie przeciwnym, zawierającym ocean Indyjski, Australię i jedną czwartą część oceanu Spokojnego, którego wody wyleją się częściowo na szlaki południowe Australii. Tam maximum deniwelacyi da się uczuć urwistym brzegom ziemi Nuyts, a miasta Adelaida i Melbourne ujrzą poziom Oceanii, zniżający się o jakie ośm kilometrów. Że warstwa powietrza, w której one wtedy zostaną zanurzone, będzie bardzo czysta, to nie ulega wątpliwości, lecz za to nie będzie ono gęstem o tyle, by wystarczyć potrzebom oddychania.

„Takiej to zmianie ulegną części kuli ziemskiej w dwóch segmentach, w których dopełni się podniesienie wypróżniające baseny mórz. Tam ukażą się prawdopodobnie nowe wyspy, utworzone z wierzchołków gór podmorskich w częściach niezupełnie pozbawionych płynnej cieczy.

„Ale jeśli zmniejszenie gęstości warstw powietrza ma pewne niedogodności dla części lądów podniesionych w wysokie strefy atmosfery, cóż stanie się z temi, które wkroczenie mórz pokryje? Można jeszcze jako tako oddychać pod ciśnieniem powietrza niższem od ciśnienia atmosferycznego, ale oddychać pod kilkoma metrami wody niepodobna chyba, a to właśnie miało być udziałem dwóch drugich segmentów.

„W segmencie na północno-zachód od Kilimandżaro, punkt maximum zalania wypada na Jakuck w samym środku Syberyi. Od tego miasta, zatopionego pod 8,415 metrami wody, odjąwszy z tego jego obecną wysokość – warstwa płynna, zmniejszając się coraz bardziej, rozciągnie się aż do linii neutralnych, zalewając większą część Rosyi azyatyckiej, Indyj, Chin, Japonii, amerykańskiej Alaszki aż po za cieśninę Berynga. Być może, że góry Uralskie ukażą się z wody w kształcie wysepek ponad wschodnią częścią Europy. Co zaś do Petersburga, Moskwy z jednej strony, Kalkutty, Bankoku, Zajgonu, Pekinu, Hong-Kong, Jeddo z drugiej, miasta te znikną pod warstwą wody głębokości nie jednostajnej, ale nadto dostatecznej, by zatopić Rossyan, Indusów, Siamczyków, Kochinchijczyków, Chińczyków i Japończyków, wraże gdy ci nie będą mieli dość czasu, by wyemigrować ztamtąd przed katastrofą.

„W segmencie położonym na południo-zachód od Kilimandżaro klęski będą mniej znaczne, z powodu, że segment ten jest w znaczniejszej części pokryty wodami Atlantyku i Oceanu Spokojnego, których poziom wzniesie się do 8,415 metrów, w miejscu, gdzie się znajduje Archipeląg wysp Maluińskich. Niemniej jednak, obszerne okolice znikną pod tym sztucznym potopem, między innemi kąt Afryki południowej od niższej Gwinei i Kilimandżaro aż do przykądka Dobrej-Nadziei i cały trójkąt południowej Ameryki, utworzony z Peru, Brazylii środkowej, Chili i rzeczypospolitej argentyńskiej, aż do Ziemi

Ognistej i przylądka Horn. Patagończycy, pomimo wielkiego wzrostu, nieunikną zalania i nawet nie będą mieli ratunku w ucieczce na Kordyliery, których najwyższe szczyty nie wyjdą po nad wodę w tej części kuli ziemskiej.

Takimi to mają być następstwa zbrodniczego zamachu Barbicane'a: zníženie lub podwyższenie ponad nową powierzchnię mórz, owoc zmiany poziomu powierzchni ziemskiej sferoidy. Takie to są ewentualności, przeciw którym interesowani zabezpieczyć się winni, jeśli zamach zbrodniczy prezesa Barbicane nie zostanie w porę unicestwiony.”

ROZDZIAŁ XVI

W którym chór malkontentów idzie crescendo i rinforzando.

Stosując się do ogłoszenia zamieszczonego w dziennikach, należało ubezpieczyć się przeciw niebezpieczeństwom położenia, zniweczyć je, albo przynajmniej uciec od nich, przenosząc się na linie neutralne, gdzie niebezpieczeństwo nie zagrażało.

Ludzie zagrożeni dzielili się na dwie kategorie: uduszonych i potopionych.

Ogłoszenie wzmiankowane dało pole do rozpraw i sądów najróżnorodniejszych, które wszystkie zamieniły się w gwałtowny protest.

Po stronie uduszonych znajdowali się Amerykanie Stanów Zjednoczonych, Europejczycy Francji, Anglii, Hiszpanii i t.d. To też nadzieja przyłączenia do swych posiadłości głębin oceanu nie była gratką dostateczną, by zgodzili się na takie przewroty. Tak więc Paryż, mający leżeć w odległości od bieguna równającej się obecnej, nie zyskiwał nic na tej zmianie. Co prawda, będzie rozkoszował się wieczystą wiosną, ale za to straci wiele ze swej warstwy powietrza. Otóż perspektywa ta daleka była od zadowolenia Paryżan, którzy mają zwyczaj zużywać tlen bez miary w braku ozonu, a zresztą...

Ze strony zatopionych znajdowali się mieszkańcy Ameryki południowej, potem Australczycy, Kanadyjczycy, Indusi, Zelandczycy. Otóż Wielka Brytania nie ścierpi, by Barbicane and Co pozbawił ją najbogatszych jej kolonij, w których żywioł anglo-saski dąży do usadowienia się na miejscu żywiołu krajowego. Oczywiście, odnoga Meksykańska wypróżni się, by utworzyć obszerne królestwo Antyllów, o prawa nad którym będą mogli upomnieć się Meksykanie i Jankesi na zasadzie nauki Munro. Tak samo cały basen wysp Sondzkich, Filipińskich, Celebes, opróżniony z wody, odkryje ogromne posiadłości, które Anglicy i Hiszpanie potrafią zagarnąć. Śliczna mi kompensata!

Nie zrównoważy ona strat, sprawionych straszliwym zalewem.

Ach! gdybyż choć w zalewie tym mieli być zatopieni tylko Samojedzi albi Lapończycy syberyjscy, Tuaggiończycy, Potagończycy, nawet Tatarzy, Chińczycy, Japończycy i niektórzy Argentyńczycy, wtedy państwa cywilizowane możeby i przyjęły tę ofiarę. Ale zawiele mocarstw brało udział w katastrofie, żeby miały nie protestować, i to najenergiczniej.

W tem zaś, co się odnosi wyłącznie do Europy, to chociaż jej środkowa część miała pozostać nienaruszona, za to podniesienie wschodniej części, a zniżenie zachodniej, musiałyby nieuniknionem następstwem udusić mieszkańców jednej, a potopić mieszkańców drugich. Otóż na to niepodobna się było zgodzić. Oprócz tego, Śródziemne morze opróżniłoby się całkowicie prawie, a tegoby nie znieśli ani Francuzi, ani Włosi, ani Hiszpanie, ani Grecy, ani Turcy, ani Egipcyanie, którym ich stanowisko mieszkańców nadbrzeżnych daje niezaprzeczone prawa do tego morza. A przytem, do czego by się zdał wówczas kanał Sueski, który miał być ocalony dzięki swemu położeniu na linii neutralnej? Jakżeby zużytkować wtedy zadziwiające prace pana Lessepsa, gdyby raptem zabrakło morza Śródziemnego z jednej, a ubyło morza Czerwonego z drugiej strony – choćby przyszło i kopać kanał dalej na długość jakich setek mil...

Jednym słowem nigdy, przenigdy! Anglia nie zgodzi się widzieć Gibraltar, Maltę i Cypr zamieniające się w cyple gór, ginące gdzieś het w chmurach, do których jej okręty wojskowe nie będą już mogły przybijać. Nie! jej nie zadowoli zwiększenie posiadłości, odkrytych

wyróżnieniem Atlantyku. A jednakowoż major Donellan wybierał się już jechać do Europy, by przedstawić prawa swej ojczyzny do tych nowych terytoriów, na wypadek gdyby przedsięwzięcie Barbicane'a and Co doszło do skutku.

I skutkiem tego wszystkiego były protesty, które przychodziły ze wszystkich stron, nawet od mocarstw leżących na liniach niemających być spustoszonemi zmianą poziomu, gdyż te pod innymi względami ucierpieć na niej miały. Te protesty stały się gwałtowniejszemi od chwili, gdy depesza, z Zanzibaru przysłana, dając poznać miejsce wystrzału, dozwoliła zrezagować ostrzeżenie niezbyt uspokajającej treści, które powyżej przytoczyliśmy!

Tak tedy prezes Barbicane, kapitan Nicholl i J. T. Maston zostali wyjęci z pod praw ludzkości.

Można wyobrazić sobie, co to za złote czasy rozpoczęły się dla dzienników wszelkich kolorów. Wrywano sobie wzajem numera. Odbijano wciąż dodatkowe. Może po raz pierwszy tym razem zobaczono jednoczące się we wspólnym proteście dzienniki, które w każdej innej kwestyi nigdy się z sobą nie zgadzały: Nowosti, Nowoje Wremia, Gazeta Moskiewska, Ruskoje Dieło, Grażdżanin, Dziennik z Karlskrony, Dziennik Kronsztadzki, Handelsbad, Vaterland, Fremdenblatt, Nee Badische Landeszeitung, Magdeburska Gazeta, Neue-Freie Presse, Berliński Tagblatt, Extrablatt, Post, Volksblatt, Boersencourier, Syberyjska Gazeta, la Gazette de Croix, la Gazette de Voss, Reichsanzeiger, Germania, Epoka, Correo, Imparcial, Correspondencia, Iberia, Czas, Figaro, l'Intransigeant, le Gaulois, l'Univers, la Justice, la République Francaise, l'Autorité, la Presse, le Matin, le XIX Siècle, la Liberté, l'Illustration, le Monde Illustré, la Revue des Deux Mondes, le Cosmos, la Revue Bleue, la Nature, la Tribuna, l'Osservatore Romano, l'Esercito Romano, la Fanfalla, le Capitan Fracassa, la Riforma, Pester Lloyd, l'Ephemeris, l'Aeropolis, Palingenesia, le Courier de Kuba, le Pionnier d'Alahabad, Spaska Nezavisimost, l'Indépendance romaine, le Nord, l'Indépendance belge, Sydney Morning Herald, Edinbourgh Review, Manchester Guardian, Scotsman, Standard, Times, Trutts, Sun, Central News, Pressa Argentina, Romanul de Bukarest, Kuryer-San-Francisco, Handlowa Gazeta, Kalifornijski San Diego, Monitoba, Echo Spokojnego Oceanu, Uczony Amerykanin, Kuryer Stanów Zjednoczonych, New-York Herald, World of New-York, Daily Chronichle, Buenos-Ayres Herald, Réveil du Maroc, Hu-Pao, Tching-Pao, Kuryer z Hai-pong, Monitor rzeczypospolitej Kunani. Słowem aż do Mac Lane Express, dziennika poświęconego kwestyom ekonomii politycznej, który zwrócił uwagę ogółu na następstwo głodu, grożącego zapanowaniem w spustoszonych krainach. To już nie równowaga europejska miała być nadwyreżona – czyż drobnostki takie mogły obecnie wchodzić w rachubę! – ale równowaga powszechna. Wyobraźcie sobie, proszę, tylko wrażenie wywierane na świat, który wpadł w przystęp szału, a który panująca newroza, ta charakterystyczna cecha XIX wieku, usposobiła do niezdrowych wrażeń, do wszelkich epilepsyj. Była to bomba padająca w beczkę z prochem.

Co zaś do J. T. Mastona, zdawało się już, że nadeszła ostatnia jego godzina.

W dniu 17 Września tłum szalejący wtargnął do jego więzienia z zamiarem rozszarpania go, a wyznać musimy, że policya nie stawiała mu żadnego oporu.

Cela J. T. Mastona była opróżniona. Mrs. Evangelina Scorbitt, zapłaciwszy na wagę złota życie zacnego artylerzysty, zdołała go wyswobodzić. Stróż więzienny tem łatwiej dał się uwieść ponęcie zrobienia majątku, że miał nadzieję używać go aż do kresu ostatecznej starości. Wistocie Baltimore, jak Waszyngton, Nowy York i inne główne miasta amerykańskich wybrzeży znajdowały się w kategorii miast podniesionych, ale którym pozostawało dość powietrza na użytek codzienny mieszkańców.

Tak tedy J. T. Maston dostał się do jakiegoś okrytego tajemnicą schronienia, uchodząc przed zemstą oszalałej publiczności. Tak więc istnienie tego burzyciela światów zostało

ocalone poświęceniem kochającej kobiety. A teraz pozostawało czekać jeszcze cztery dni – cztery dni! – na spełnienie zamachu Barbicane and Co.

Jak widzimy, pilne ostrzeżenie zostało zrozumiane o tyle, o ile niem być mogło. W początkach wprawdzie znalazło się kilku sceptyków nie wierzących w spełnienie przepowiedzianych katastrof, jednakże w obecnej chwili nie było ich już. Rządy pośpieszyły uprzedzić swoich poddanych – będących względnie w małej liczbie – że mają być przeniesieni do stref przeredzonego powietrza; potem tych, których liczba była znaczniejsza, a których posiadłości miały być zatopione.

Skutkiem tych ostrzeżeń, przesłanych depeszami do pięciu części świata, rozpoczęła się wędrówka, której podobnej ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało nawet w epoce wędrówek aryjskich ze wschodu na zachód. Był to jak gdyby exodus Mojżesza, ale zawierający w sobie rasy hotentockie, malajskie, murzyńskie, czerwone, żółte, brunatne i białe...

Na nieszczęście brakło czasu. Godziny były policzone. Gdyby chociaż kilkomiesięczna zwłoka, chińczycy mogliby opuścić Chiny, australczycy Australię, patagończycy Patagonię, sybiracy prowincje syberyjskie i t.d.

Ale teraz, kiedy niebezpieczeństwo zostało umiejscowione, gdy dowiedziano się, jakim częściom kuli ziemskiej nie grozi nic, lub prawie nic, przestrach stał się mniej ogólnym. Niektóre prowincje, niektóre państwa nawet zupełnie ze strachu ochłonęły. Jednym słowem, z wyjątkiem okolic, które bezpośrednio były zagrożone, doznawano tylko tej obawy, zresztą zwyczajnej, jaką uczuwa każda ludzka istota, wyczekująca straszego wstrząśnienia.

A tymczasem Alcyd Pierdeux nie przestawał powtarzać sobie, wymachując rękami jak słup telegraficzny dawnego systemu:

„Jakim sposobem u dyabła prezes Barbicane zdoła sfabrykować dział o milion razy większe od dział o dwudziestu siedmiu kilometrach? Dyabelski Maston! Chciałbym się z nim zobaczyć, by mu w tej kwestyi powiedzieć: w tem niema za grosz sensu, ani za grosz, do kroćset milionów!”

Bądź co bądź, niepowodzenie operacyi było jedyną szansą ocalenia od katastrofy niektórych części kuli ziemskiej.

ROZDZIAŁ XVII

Co się działo w Kilimandżoro w ciągu ośmiu miesięcy tego pamiętnego roku.

Kraj Wamasai leży w części wschodniej Afryki środkowej, pomiędzy wybrzeżem Zangwebaru i okolicami wielkich jezior, między którymi Viktoriya-Nyanza i Tanganyjka tworzą tyleż mórz wewnętrznych. Jeśli kraj ten jest w części znany, to z tego powodu, że był zwiedzany przez angiłka Johnstona i Niemca doktora Mayera. Ta kraina górzysta znajduje się pod władzą sułtana Bali-Bali, którego poddani są w liczbie od trzydziestu do czterdziestu tysięcy murzynów.

O trzy stopnie poniżej równika rozciąga się łańcuch gór Kilimandżoro, którego najwyższe wierzchołki, między innymi szczyt Kibo, wznoszą się do wysokości 5,704 metrów. Ten imponujący kolos króluje na południu północy i wschodzie nad obszernymi i żyznymi dolinami Wamasai, kierując się w stronę Wiktoryja-Nyanza nawskróś krajów Mazambiku.

O kilka mil poniżej pierwszych szczytów Kilimandżoro wznosi się miasteczko Kisongo, zwyczajna rezydencja sułtana. Ta stolica, powiedziawszy prawdę, jest tylko dużą wsią. Zamieszkała jest przez ludność bardzo inteligentną, rozwiniętą, która umie pracować na równi z niewolnikami, ujęta w żelazne karby despotycznej władzy sułtana Bali-Bali.

Sułtan ten uchodzi z wszelką słuszością za jednego ze znakomitszych władców tych ludów środkowej Afryki, które usiłują wydostać się z pod wpływu, a raczej z pod panowania Anglii.

Do Kisongo zatem prezes Barbicane i kapitan Nicholl, w towarzystwie dziesięciu pomocników oddanych im całkowicie, przybyli w pierwszych dniach miesiąca stycznia bieżącego roku.

Opuszczając Stany Zjednoczone, o czym wiedzieli tylko mistres Evangelina Scorbitt i J. T. Maston odplynęli z Nowego-Yorku ku przylądkowi Dobrej-Nadziei, z kąd znowu statek przeniósł ich do Zanzibaru, na wyspę tegoż nazwiska. Ztamtąd czółno, wynajęte w tajemnicy, zawiozło ich do portu Mombas na wybrzeżu afrykańskim, po drugiej stronie kanału. Eskorta, wysłana przez sułtana, czekała na nich w porcie i po uciążliwej podróży stumilowej, odbytej przez tę okropną okolicę, zarośniętą lasami, poprzecinaną strumieniami, zdradzieckimi trzęsawiskami, dostali się nareszcie do rezydencji królewskiej.

Oznajomiwszy się z rezultatem obliczeń Mastona, prezes Barbicane wszedł w stosunki z sułtanem Bali-Bali za pośrednictwem pewnego podróżnika szwedzkiego, który spędził lat kilka w tej części Afryki. Zagorzały zwolennik prezesa Barbicane od czasu jego pamiętnej na księżyc wyprawy, której rozgłos doszedł nawet do tych oddalonych krain, sułtan powziął gorącą sympatię do śmiałego Yankesa. – Nie mówiąc, w jakim to czyni celu, Impey Barbicane otrzymał z łatwością od władcy Wamasai upoważnienie do prowadzenia bardzo ważnych robót u południowego podnóża gór Kilimandżoro. Za dość znaczną sumę, wynoszącą trzykroć sto tysięcy dolarów, Bali-Bali podjął się dostarczyć rąk do pracy, ile ich tylko będzie potrzeba. Prócz tego upoważniał go do rozporządzenia, jak mu się będzie podobało, łańcuchem Kilimandżoro. Mógł tedy Barbicane robić, co mu kaprys doradzi z Kilimandżoro, ogolić go jeśli będzie miał chęć potemu, zabrać z sobą, jeśli możność pozwoli. Skutkiem zobowiązań bardzo poważnych, w których sułtan miał także swoje wyrachowanie,

North Polar Practical Association stawało się właścicielem tej afrykańskiej góry tak, jak niedawno zostało posiadaczem ziem podbiegunowych.

Przyjęcie, jakiego doznali prezes Barbicane i jego towarzysz w Kisongo, było nader przyjazne. Bali-Bali uczuwał podziw graniczący z uwielbieniem dla tych dwóch znamienitych podróżników, którzy się puścili w przestrzeń, by osiągnąć stref podksiężycowych.

Prócz tego doznawał nadzwyczajnej sympatii dla twórców tajemniczych prac, które wykonywały się w jego państwie. To też zapewnił amerykańcom najściślejszą tajemnicę – tak ze swej, jak ze strony swych poddanych, których współdział i pomoc wszelaka została im zapewniona. Ani jeden z murzynów, pracujących przy warsztatach, nie miał prawa ani na jeden dzień oddalić się od nich pod karą najwyrafinowanych męczarni.

Oto jakim sposobem operacja została otoczona tajemnicą, której najdowcipniejsi agenci Ameryki i Europy nie mogli przeniknąć. Że zaś sekret ten został pod koniec odkryty, stało się to skutkiem tego, że sułtan osłabł cokolwiek w swej surowości, a przytem gaduły i zdrajcy znajdują się wszędzie, nawet wśród murzynów. Tym to sposobem Ryszard W. Trust, konsul Zanzibaru, zwiertzył, co się działo pod Kilimandżoro. Ale ponieważ to już był 13 Września, niepodobnym było, z powodu braku czasu, zatrzymać Barbicane'a w spełnieniu jego złowrogich zamiarów.

A teraz stawmy sobie pytanie, dlaczego to Wamasai zostało obrane przez Barbicane and Co za widownię jego operacji? Naprzód dlatego, że dogadzało mu samo położenie kraju, leżącego w tej części mało znanej Afryki i w oddaleniu od okolic zazwyczaj zwiedzanych przez podróżników. Potem sam kolos Kilimandżoro przedstawił mu rękojmię trwałości i łatwości oryentowania się przy wykonaniu dzieła. Zresztą na powierzchni gruntu znajdowały się materiały pierwotne, których właśnie Barbicane potrzebował, a znajdowały się one w warunkach uprzystępniających ich eksploatację.

Właśnie na kilka miesięcy przed opuszczeniem Stanów Zjednoczonych, prezes Barbicane dowiedział się od owego podróżnika szwedzkiego, że u stóp łańcucha Kilimandżoro żelazo i siarka znajdowały się w obfitości i to pod sama powierzchnią gruntu. Nie trzeba było zakładać kopalni, ani szukać pokładów o kilka tysięcy stóp pod skorupą ziemną. Schylić się tylko trzeba było, by zbierać żelazo i węgiel, i to w ilościach znacznych, przewyższających wydatki przewidziane w kosztorysie. Prócz tego znajdowały się nieopodal góry ogromne pokłady saletranu sody i pirytu żelaza, potrzebne do fabrykowania meli-melonitu.

Tak więc prezes Barbicane i kapitan Nicholl nie przywieźli z sobą żadnego personelu, prócz dziesięciu pomocników, których byli najzupełniej pewni. Ci mieli kierować robotami dziesięciu tysięcy murzynów, oddanych im do rozporządzenia przez Bali-Bali, i na nich to przypadało zadanie sfabrykowania potwornego działa i niemniej potwornego pocisku.

W dwa tygodnie po przybyciu prezesa Barbicane i jego towarzysza do Wamasai, trzy wielkie warsztaty były ustawione u południowego podnóża Kilimandżoro, jeden do odlewu armaty, drugi do odlewu pocisku, trzeci do wyrobienia meli-melonitu.

Ale jakim sposobem prezes Barbicane rozwiązał problemat odlania działa tak kolosalnych rozmiarów? Zobaczycie to i zrozumiecie zarazem, że ostatnia deska ratunku, istniejąca w trudności stworzenia podobnej maszyny, wymykała się z rąk nieszczęśliwych mieszkańców obu półkul.

Bo też wistocie odlać armatę, równającą się objętością milion razy powiększonej armaty dwudziestosiedmio kilometrowej, byłoby pracą nad siły człowieka. I tak już trudno bardzo robić działa o czterdziestu dwóch centymetrach, które rzuca pociski o siedmiuset ośmdziesięciu kilos z siłą dwustu siedmdziesięciu czterech kilogramów prochu.

To też Barbicane i Nicholl nie myśleli o odlaniu podobnej armaty. To, co zrobić chcieli, nie było żadnym działem, ani nawet moździerzem, lecz poprostu galeryą wydrążoną w twardym kolosie Kilimandżoro, lub prędzej jeszcze otworem kopalni.

Oczywiście ten otwór kopalni, ten jak gdyby podkop, mógł śmiało zastąpić działo odlane z kruszcu, ową Kolumbiadę olbrzymią, której odtworzenie byłoby równie kosztowne jak trudne, i której trzeba by nadać grubość nieprawdopodobną, chcąc zabezpieczyć od pęknięcia. Barbicane and Co nie marzyli nawet nigdy o innym działo, a jeśli zeszyt J. T. Mastona mówił o armacie, to dlatego, że armata dwudziest siedmio kil. wzięta była za podstawę jego obliczeń.

Skutkiem tego miejsce zostało naprzód obrane na wysokości stu stóp na odwrotnej południowej stronie łańcucha, u stóp którego rozciągają się płaszczyzny w dal niezmierną. Nic tu nie mogło stanąć na przeszkodzie pociskowi, gdy się wzniesie w krainy nadpowietrzne z armatniego kanału, prześwidrowanego we wnętrzu Kilimandżoro.

Z największą dokładnością i ciężkim mazołem wydrążono ową galeryę. Ale urządzenie świdrowe łatwo przyszło prezesowi Barbicane, gdyż są to względnie maszyny proste i nie trudno było wprowadzić je w ruch za pomocą powietrza ściśniętego gwałtownym spadkiem wód w górach. Następnie dziury, wywiercone temi narzędziami, zostały napakowane meli-melonitem. Ten potężny materiał wybuchowy mógł z łatwością rozsądzić skałę, która nadto musiała wytrzymać straszliwe ciśnienie gazu. Lecz wielkość i grubość góry Kilimandżoro zabezpieczyły od wszelkiego uszkodzenia i pęknięcia wewnętrznego.

Otóż tedy tysiące robotników, dozorowanych przez owych dziesięciu majstrów, którzy ze swej strony znajdowali się pod genialnym kierownictwem prezesa Barbicane, zabralo się z taką gorliwością i zrozumieniem do rzeczy, że dzieło zostało pomyślnie w niespełna sześć miesięcy ukończone.

Galerya liczyła dwadzieścia siedm metrów średnicy, na sześćset metrów głębokości. Ponieważ wiele na tem zależało, by pocisk mógł się prześlizgnąć po ścianie zupełnie gładkiej, nie tracąc ani odrobiny gazu wytworzonego, zatem wewnątrz galeryi zostało osłonięte rodzajem futerału, odlanego z metalu doskonale ogładzonego.

Jest to świętą prawdą, że praca ta miała bez porównania większe znaczenie, jak odtworzenie sławnej Kolumbiady z Moon-City, która wysłała swój pocisk z aluminium w podróż naokoło księżycy. Ale czy jest co niemożliwego dla inżynierów dziewiętnastego stulecia?

Podczas gdy owo świdrowanie dokonywało się we wnętrzu Kilimandżoro, robotnicy nie próżnowali przy drugim warsztacie. Jednocześnie z budowaniem metalowej skorupy zajmowano się przyrządzaniem ogromnego pocisku. Robota polegała tu na wyrobieniu z odlewu masy walcowato-stożkowej, ważącej sto ośmdziesiąt milionów kilogramów, czyli sto ośmdziesiąt tysięcy tonn.

Łatwo pojąć, że nikt nie marzył o odlaniu tego pocisku z jednej bryły. Miano go wyrabiać masami po tysiąc tonn każda, potem układać je jedną po drugiej u otworu galeryi obok miejsca, gdzie przedtem złożony został meli-melonit. Spojone szczelnie jedne z drugimi, odłamy te utworzyłyby ścisłą masę, która w danej chwili miała się prześlizgnąć po wewnętrznych ściankach rury.

Koniecznością zatem okazało się przynieść do drugiego warsztatu około czterystu tysięcy tonn rudy, siedmdziesiąt tysięcy tonn wapiennego kamienia i czterysta tysięcy tonn siarki tłustej, którą przedtem przekształcono na ogniu w dwieście ośmdziesiąt tysięcy tonn węgla ziemnego, oczyszczonego z cząstek gazowych. Ponieważ pokłady znajdowały się w pobliżu łańcucha Kilimandżoro, należało tylko zwozić je.

Co zaś do budowy wielkich pieców do topienia rudy, tu zachodziła może największa trudność. Wszelako w przeciągu miesiąca dziesięć wielkich pieców wysokości trzydziestu metrów mogło funkcjonować i wyprodukować każdy z osobna po sto ośmdziesiąt tonn dziennie. Stanowiło to tysiąc ośmset tonn na dobę, sto ośmdziesiąt tysięcy po stu dniach pracy.

W trzecim warsztacie, urządzonego do wyrabiania meli-melonitu, robota szła łatwo i prędko i w takiej tajemnicy, że dotąd skład tej rozsadzającej materii nie został stanowczo określony.

Wszystko szło podług życzenia. Nie prowadzonooby robót z większym powodzeniem w hutach Creusot, Cail, Indret, Seyne, Birkenhead, Woolwich lub Cockerill.

Można wyobrazić sobie, jak sułtan tem wszystkim był zachwycony. Śledził prowadzone roboty z niezmordowaną gorliwością. Łatwo pojąć, że obecność jego groźnego majestatu była potężnym bodźcem dla pracowitości i wytrwałości wiernych poddanych.

Niekiedy, gdy Boli-Boli spytał, w jakim celu robiło się to wszystko:

– Idzie tu o działo, które ma zmienić postać świata – odpowiadał Barbicane.

– Działo, które unieśmiertelni imię sułtana Boli-Boli pomiędzy wszystkimi królami Afryki wschodniej – dodawał kapitan Nicholl.

Władcę Wamasai dreszcz dumy opanowywał na te słowa.

W dniu 29 sierpnia prace zupełnie ukończono. Galerya, przewiercona podług przepisanej wielkości i wygładzona starannie wewnątrz, miała sześćset metrów długości. W głębi nagromadzone były dwa tysiące tonn meli-melonitu w pobliżu pudła z innym materiałem palnym. Następnie osadzony był pocisk długości pięćuset metrów. Odtrąciwszy miejsce zajmowane przez proch i pocisk, pozostawało mu jeszcze czterysta dziewięćdziesiąt dwa metry do przebiegnięcia aż do otworu, co mu zapewniało pożądany skutek pchnięcia wytworzonego rozlaniem się gazu.

Teraz nastęczało się jedno pytanie, dotyczące się tylko balistyki: czy pocisk nie zboczy z drogi sobie nakreślonej obliczeniami J. T. Mastona? Bynajmniej. Obliczenia były nieomyłne. Wskazywały one, w jakiej mierze pocisk miał zboczyć w stronę wschodnią od południka Kilimandzoro, na zasadzie obrotu ziemi na jej osi, i jaki będzie kształt linii krzywej, którą pocisk zakreśli na zasadzie swego pędu niesłychanie szybkiego?

Drugie pytanie: Czy pocisk będzie widzialny w czasie swego przebiegu? Nie, gdyż przy wyjściu z galeryi, pogrążonego w cieniu ziemi, nie będzie można dostrzedz. Skoro wejdzie w strefy świata małością swej objętości ujdzie najsilniejszemu wzrokowi, najmocniejszym szkłem, a skoro się wydobędzie z więzów przyciągania ziemi, zacznie stale wirować około słońca.

Zaiste, prezes Barbicane i kapitan Nicholl mogli być dumni z doprowadzonego do końca wspaniałego dzieła!

I dlaczego J. T. Maston nie był tam, by podziwiać doskonale wykonanie prac, tak godnie odpowiadające ścisłości obliczeń, które je natchnęły?... A nadewszystko dlaczego będzie on tak daleko w chwili, gdy ten wystrzał przerażający rozlegnie się aż w najdalszych kresach Afryki?

Wspominając go, dwaj koledzy Mastona ani domyślali się, że sekretarz Klubu strzeleckiego, porwany ręką przemocy z Balistic-Cottage, musiał uciec z więzienia w Baltimore, kryć się jak zbrodniarz, by ocalić swe drogocenne istnienie. Nie wiedzieli, do jakiego stopnia opinia publiczna była podniecona przeciw inżynierom North Polar Practical Association. Nie wiedzieli, że zostaliby pomordowani, rozszarpani, upieczeni na wolnym ogniu, gdyby zdołano ich uchwycić. To szczęściem dla nich wielkiem było, że w chwili dania wystrzału mieli nadzieję usłyszeć tylko krzyki zapału ludu Afryki wschodniej!

– Nakoniec! – wyrzekł kapitan Nicholl do prezesa Barbicane, gdy wieczorem w dniu 22 Września obaj nadęci straszną dumą oglądali ukończone dzieło.

– Tak!... nakoniec!... uf! – wyrzekł Impey Barbicane, wydając westchnienie ulgi.

– A gdyby trzeba było rozpocząć to wszystko nanowo?

– Więc cóż?... Rozpoczęlibyśmy!

– Co za szczęście – mówił kapitan Nicholl, – że mieliśmy do rozporządzenia ten przedziwny meli-melonit!...

– Który już sam przez się może ci zapewnić nieśmiertelność, kapitanie!

– Bez wątpienia, prezesie Barbicane – odrzekł, opuszczając skromnie oczy, kapitan Nicholl. – Ale czy wiesz, ile galeryi trzeba było wydrążyć we wnętrzościach Kilimandżoro, by otrzymać ten sam rezultat, gdybyśmy mieli w posiadaniu tylko strzelniczą bawełnę, podobną do tej, zapomocą której posłaliśmy pocisk na księżyc?

– Ileż więc?

– Sto ośmdziesiąt.

– Więc cóż! wykopalibyśmy je, kapitanie!

– I sto ośmdziesiąt pocisków o stu ośmdziesięciu tysiącach tonn każdy!

– Wytopilibyśmy je, Nichollu!

I powiedzcie, czy podobna trafić do rozumu ludzi podobnego kalibru? Ale czy jest rzecz, do której byliby niezdolni ludzie, którzy odbyli podróż naokoło księżyca?

.....

Tego samego wieczora, na kilka godzin zaledwie przed chwilą przeznaczoną na danie strzału, podczas gdy prezes Barbicane i kapitan Nicholl składali sobie nawzajem życzenia, Alcyd Pierdeux, zamknięty w swej pracowni w Baltimore, wydał okrzyk czerwonoskórego w napadzie szału. Potem zerwał się raptownie od stołu, pokrytego arkuszami papieru zamazanego formułami algebraicznymi i zawołał:

– Ten łotr Maston!... To mi dopiero bydlę!... O mało mi mózg nie usechł ze ślęczenia nad tym jego problematem!... I jak ja tego wpierw nie odkryłem... Do miliona kroćset dyabłów... Gdybym wiedział, gdzie się on obecnie znajduje, zaprosiłbym go na kolacyjkę i wypilibyśmy kieliszek szampana w chwili, w której zagrzmie jego dyabelska machina!”

„Stary dyabeł!... Musiał być pod kieliszkiem w chwili, gdy robił swe obliczenia!... A jednak to był warunek *sine qua non* – lub *sine conon* (armata), jakby u nas w Szkole powiedziano!”

ROZDZIAŁ XVIII

W którym ludy Wamasai oczekują sygnału, jaki prezes Barbicane ma dać kapitanowi Nicholl.

Działo się to w wieczór dnia 22 Września, – w dniu pamiętnym, któremu opinia ogółu przypisywała wpływ feralny, tak jak 1 Stycznia 1000 r.

W dwanaście godzin po przejściu słońca przez południk Kilimandżaro, a zatem o północy, kapitan Nicholl miał podłożyć ogień pod straszną armatę.

Należy tu wspomnieć, że Kilimandżaro znajduje się o trzydzieści pięć stopni na wschód południka Paryża, zaś Baltimore o siedmdziesiąt dziewięć stopni na zachód od tegoż południka, stanowi to różnicę stu czternastu stopni, to jest czterystu pięćdziesięciu sześciu minut czasu, czyli godzin siedmiu i dwudziestu sześciu minut. Z tego więc wypada, że w chwili dania strzału będzie minut dwudzieścia cztery po piątej z południa w wielkiej stolicy Marylandu.

Czas był przepyszny. Słońce zachodziło po nad płaszczynami Wamasai, niknąc poza widnokręgiem pogodnym i czystym. Nie można było marzyć o nocy piękniejszej, ani o cichszej i bardziej gwiaździstej. Nie można było żądać przyjaźniejszego otoczenia dla mającego ulecieć w przestrzeń pocisku. Ani jedna chmurka nie zmiesza się ze sztucznymi wyziewami, mającymi się wytworzyć przy spaleniu meli-melonitu.

I któż może wiedzieć? Może prezes Barbicane i kapitan Nicholl żalowali w tej chwili, że nie mogą usadowić się w pocisku. W pierwszej sekundzie przelecieliby dwa tysiące ośmset kilometrów. Zbadawszy tajemnice świata selenitów, przeniknęliby tajemnice świata słonecznego, i to w warunkach bez porównania więcej zajmujących niż te, w jakich się znajdował francuz Hektor Servadac, uniesiony na powierzchni komety Gallia!

Sułtan Bali-Bali, największy dygnitarze dworu, to jest minister finansów i wykonawca sprawiedliwości, następnie czarny personel, którego ręce to arcydzieło wykonały, zgromadzeni byli, by śledzić wszelkie a zajmujące fazy wystrzału. Wszelako wiedziony ostrożnością, cały ten tłum obrał stanowisko o trzy kilometry od przewierconej galeryi Kilimandżaro, tak, żeby się nie potrzebować obawiać strasznego parcia warstw powietrza.

Wokoło kilka tysięcy krajowców, przybyłych z Kisongo i miasteczek rozsypanych w stronie południowej prowincji, pośpieszyło na rozkaz sułtana Bali-Bali, by być obecnymi temu wzniosłemu widokowi.

Nić, przeciągnięta pomiędzy baterią elektryczną i zbiornikiem substancji chemicznych, umieszczonym w głębi galeryi, gotowa była cisnąć prąd, który miał roztrzaskać lont i wywołać zapalenie się meli-melonitu.

Jako wstęp, wspaniała uczta zgromadziła u jednego stołu sułtana, jego gości amerykańskich i znakomitości stolicy – wszystko to na koszt Bali-Bali, który wysadził się jak mógł, wiedząc, że kosza będą mu powrócone z kasy Stowarzyszenia Barbicane and Co.

Było już około jedenastej godziny, gdy uczta, zaczęta o wpół do ósmej, zakończyła się toastem wzniesionym przez sułtana na cześć inżynierów North Polar Practical Association i za powodzenie ich przedsięwzięcia.

Jeszcze godzina, a zmiana warunków geograficznych i klimatologicznych Ziemi stanie się faktem spełnionym.

Prezes Barbicane, jego kolega i dziesięciu pomocników zbliżyło się do szopy, we wnętrzu, której była ustawiona bateria elektryczna.

Barbicane, trzymając w ręku swój chronometr, liczył minuty – które nigdy mu się dłuższymi nie wydały, minuty, które, zdawało się, trwają nie już lata, ale wieki.

Gdy już tylko dziesięć minut brakło do północy, Barbicane i Nicholl zbliżyli się do aparatu połączonego nicią z galeryą Kilimandżaro.

Sułtan, jego dwór, tłum krajowców otaczali ich ogromnem kołem.

Zależało wiele na tem, by strzał padł w chwili ściśle oznaczonej przez obliczenia J. T. Mastona, to jest w chwili, gdy słońce przetnie tę linię porównania dnia z nocą, z której więcej nie zejdzie w swym pozornym obrocie naokoło ziemskiej sferoidy.

– Północ bez pięciu! – Bez czterech! – Bez trzech! – Bez dwóch! – Bez jednej!...

Prezes Barbicane patrzył na wskazówkę swego zegarka, na którą padało światło latarni, trzymanej przez jednego z pomocników, podczas gdy kapitan Nicholl, z palcem wzniesionym nad guzik aparatu, stał w pogotowiu, aby w oznaczonej chwili puścić prąd elektryczny.

– Już tylko dwadzieścia sekund! – Tylko dziesięć! – Tylko pięć! – Tylko jedna!...

Nikt nie zdołałby dostrzedz najlżejszego drgnięcia ręki u tego niewzruszonego Nicholla. On i jego towarzysz nie byli ani odrobiny bardziej wzruszeni jak wtedy, gdy zamknięci w pocisku oczekiwali, by ich Kolumbjada wysłała w strefy księżycowe!

– Ognia!... – krzyknął prezes.

I wskazujący palec kapitana nacisnął guzik.

Nastąpił straszliwy huk, którego echa powtórzyły się w najodдалszych widnokręgach Wamasai. Świst przeraźliwy masy, która przecięła warstwę powietrza pod pchnięciem milionów miliardów litrów gazu, powstałych ze spłonięcia w jednej sekundzie dwóch tysięcy tonn meli-melonitu. Można było sądzić, że po powierzchni ziemi przeleciał jeden z tych meteorów, co to gromadzą w sobie wszystkie brutalne siły przyrody. Zaiste, wrażenie nie byłoby straszniejszem nawet, gdyby wszystkie armaty wszystkich na kuli ziemskiej istniejących artylerij połączyły się ze wszystkimi piorunami nieba, by zagrzmieć razem!

ROZDZIAŁ XIX

W którym J. T. Maston żałuje gorzko chwil, gdy tłum chciał go zamordować.

Wszystkie stolice obu półkul, wszystkie większe miasta, jak również małe miściny, wyczekiwały katastrofy w najokropniejszym przerażeniu. Dzięki gazetom, rozpowszechnionym do zbytku na powierzchni kuli ziemskiej, każdy śmiertelnik znał dokładnie godzinę, odpowiadającą północy w Kilimandżaro, położonemu o trzydzieści pięć stopni na wschód podług różnicy długości.

Ponieważ słońce przebiega w cztery minuty jeden stopień, zatem w chwili strzału była:

w Paryżu	godzina	9	minut 40 wieczorem,
w Petersburgu	godzina	11 minut 31	wieczorem,
w Londynie	godzina	9	minut 30 wieczorem,
w Rzymie	godzina	10 minut 20	wieczorem,
w Madrycie	godzina	9	minut 15 wieczorem,
w Berlinie	godzina	11 minut 20	wieczorem,
w Konstantynopolu	godzina	11 minut 26	wieczorem,
w Kalkucie	godzina	3	minut 04 rano,
w Nankinie	godzina	5	minut 05 rano.

W Baltimore, jak już powiedzieliśmy wyżej, we dwanaście godzin po przejściu słońca przez południk Kilimandżaro była godzina 5 minuta 24 po południu.

Nie mamy już co i mówić o szalonej trwodze, która się uwydatniła w danej chwili. Najbardziej wymowne z tegoczesnych piór nie zdoła opisać czegoś podobnego, żaden styl żadnej szkoły nie potrafiłby choć słabego dać o tem wyobrażenia.

Że mieszkańcy miasta Baltimore nie byli narażeni na niebezpieczeństwo zatopienia wskutek wystąpienia mórz z ich łożysk, wiemy to aż nadto dobrze! Że czekało ich tylko opróżnienie zatoki Cheasapeake i zamienienie kończącego zatokę przylądka Hatteras na szczyt góry, wznoszący się ponad wysuszonym Atlantykiem, zgadzamy się i na to! Ale miasto, tak jak wiele innych nie zagrożone zalewem lub utratą wód, czy nie będzie wywrócone wstrząśnieniem, a w takim razie wszak gmachy pogruchoczą się, dzielnice zostaną pochłonięte w głębi przepaści, które się pootwierają na powierzchni ziemi. Ach, obawy te były aż nadto usprawiedliwione co do tych części kuli ziemskiej, których nie miały zalać wody z łożysk wyprowadzone.

Tak, bezwątpienia.

To też każda żyjąca istota uczuła dreszcz trwogi, przenikający ją aż do szpiku kości podczas tej fatalnej minuty. Tak jest! wszyscy drżeli – z wyjątkiem jednego inżyniera Pierdeux. Brakło mu już czasu, by podać do wiadomości to, co mu jego ostatnia praca wyjawiała, siedział więc sobie w najlepsze w jednej z bardziej uczęszczanych knajp miasta i zapijał szampańskie za zdrowie starego świata.

Dwudziesta czwarta minuta po godzinie piątej, odpowiadająca północy w Kilimandżaro, upłynęła...

W Baltimore... nic a nic!...

Nic w Londynie, nic w Paryżu, nic w Rzymie, nic w Konstantynopolu, nic w Berlinie!... Ani najłżejszego wstrząśnienia!

Pan John Milne, robiąc spostrzeżenia w kopalniach siarki Takoshima w Japonii na ustawionym tamże tromometrze¹, nie zauważył najmniejszego anormalnego ruchu w powłoce ziemi tej części świata.

Tak więc w Baltimore ani drgnienia. Zresztą, ponieważ niebo było zachmurzone i noc nadeszła, niemożliwym było rozpoznać, czy pozorny ruch gwiazd zmienił się, co by dowodziło zmiany osi.

Jaką noc spędził J. T. Maston w swej kryjówce, nieznaną nikomu, z wyjątkiem mrs. Evangeliny Scorbitt! Szalał wrzący artylerzysta! Nie mógł na miejscu usiedzieć! Jakże pragnął gorąco, by choć kilka dni upłynęło, by ujrzeć zmodyfikowanie linii krzywej słońca – a więc niezbity dowód udania się operacyi! Zmiana ta, co prawda, mogła być stwierdzona nie prędzej aż w dniu 23 Września, gdyż w nim gwiazda dzienna dla wszystkich części kuli ziemskiej ukazuje się na wschodzie.

Nazajutrz słońce ukazało się na widnokręgu tak, jak miało zwyczaj to co dnia robić.

Delegaci europejscy byli wszyscy zgromadzeni na tarasie hotelu, który zamieszkiwali. Mieli przy sobie najdoskonalsze narzędzia, pozwalające obserwować z największą ścisłością, czy słońce zakreśli zwykłą krzywą linią po nad planem równika.

Otóż w kilka minut po wschodzie, świetlana tarcza schylała się ku półkuli południowej.

Więc się nic nie zmieniło w jej biegu.

Major Donellan i koledzy jego powitali pochodnię niebios okrzykami zapła.

Niebo było wspaniałe, widnokrąg oswojony z wyziewów nocy i nigdy wielki aktor nie ukazał się na piękniejszej scenie w takim przepychu świetności i w obec tak oczarowanej publiczności!

– I to w miejscu oznaczonym prawami astronomii – zawołał Eryk Baldenak.

– Naszej starej astronomii, którą ci szaleńcy wazyli się zniweczyć – zauważył Borys Karkow.

– Wstyd, który na siebie ściągnęli, na zawsze przy nich zostanie! – dodał Jakób Jansen, przez usta którego Holandya zdała się przemawiać.

– Okolice północy pozostaną jak dotąd przykryte lodami – zauważył Jan Harald.

– Niech żyje słońce! – zauważył major Donellan. – Takie jakim jest, wystarcza na potrzeby świata!

– Hurra!... Hurra!... – powtórzyli jednogłośnie reprezentanci starej Europy.

Dean Toodrink, który do tej chwili nie przemówił ani słowa, wygłosił naraz tę trafną uwagę:

– Ale być może, że oni jeszcze nie strzelali?...

– Nie strzelali?... – wykrzyknął major. – Niech Bóg uchwata, lepiej, żeby strzelili i to nie raz, ale dwa razy!

To samo powtarzali za nim J. T. Maston i mrs. Evangelina Scorbitt. To samo mówili uczeni i nieucy, zjednoczeni tym razem logiką położenia.

To samo powtarzał sobie Alcyd Pierdeux, dodając:

– Czy strzelali, czy nie, bagatela!... Ziemia kręci się jak zwykle na swej osi!

Nikt nie wiedział, co zaszło w Kilimandżaro. Ale, zanim dzień upłynął, nadeszła odpowiedź na pytanie, które sobie ludzkość zadawała.

¹ Tromometr jest rodzajem zegara, którego wahanie wskazuje najbardziej mikromiczne ruchy skorupy ziemnej. Za przykładem Japonii, w wielu krajach zaprowadzono podobne aparaty w kopalniach węgla.

Depesza przybyła do Stanów Zjednoczonych, przysłana przez Ryszarda W. Trust, konsula w Zanzibarze, zawierała:

Zanzibar 23 Września, godzina 7 minut 27 po południu.

„Jahnowi Wright, ministrowi stanu.

Strzał dany wczoraj o północy z działa wydrążonego w stronie południowej szczytu Kilimandżaro. Straszliwy świst pocisku. Wystrzał straszny. Prowincja spustoszona trąbą powietrzną. Morze wzburzone aż po kanał Mozambiku. Masa okrętów poniszczonych. Wsie i miasta spustoszone. Wszystko dobrze.

Ryszard W. Trust.”

Tak, zapewne! wszystko dobrze, gdyż nic w stanie zwykłym rzeczy nie zostało zmienione, z wyjątkiem klęsk spowodowanych na kraj Wamasai, w części zmieciony tą sztuczną trąbą, i rozbicia okrętów będącego skutkiem gwałtownego poruszenia warstw powietrza. A czyż to samo nie przytrafiło się wtedy, gdy sławna Kolumbiada wysłała swój pocisk do księżyca? Wstrząśnienie, które udzieliło się gruntowi Florydy, czyż nie dało się wtedy uczuć w promieniu stumilowym? Tak, bez wątpienia! A tym razem było ono sto razy silniejsze.

Co-bądź się stało, depesza dwie rzeczy oznajmiała interesowanym Starego i Nowego lądu.

1. Że ogromne działo było wybudowane we wnętrzu Kilimandżaro.
2. Że strzał był dany o godzinie oznaczonej.

A skoro tak, świat cały wydał jedno potężne westchnienie ulgi i uciechy, po którym nastąpił jeden wybuch śmiechu.

Zamach Barbicane'a and Co spełzył na niczem i to w sposób litość i śmiech obudzający! Formuły znakomitego matematyka J. T. Mastona zdały się tylko na rzucenie do kosza! North Polar Practical Association musiała ogłosić się bankrutem!

Ale, cóż się stało, czyżby przypadkiem sekretarz Klubu strzeleckiego pomylił się w swych obliczeniach?

– Wolałabym raczej zawieźć się w miłości, jaką dlań uczuwam! – mówiła do siebie mrs. Evangelina Scorbitt.

Ale ze wszystkich istotą najbardziej udręczoną, która żyła na powierzchni naszej sferoidy, był J. T. Maston. Widząc, że nie zmieniło się nic w warunkach obrotu ziemi, istniejących od chwili jej stworzenia, sekretarz Klubu strzeleckiego uspokajał się nadzieją, że wypadek nieprzewidziany opóźnił operacje jego kolegów Barbicane'a i Nicholl'a.

Od chwili jednak otrzymania depeszy z Zanzibaru niepodobna było ludzić się, że operacja nie powiodła się.

Nie powiodła się!... A równania, formuły, z których wywnioskował powodzenie przedsięwzięcia? A więc działo długości sześciuset metrów, rzucające pocisk stu ośmdziesiąciu milionów kilogramów siłą dwóch tysięcy tonn meli-melonitu, pędem dwóch tysięcy ośmiuset kilometrów, nie było dostateczne, by spowodzić posunięcie biegunów? Nie!... W to uwierzyć niepodobna!

A jednak!...

Tak tedy, J. T. Maston, będąc pastwą najgwałtowniejszego rozdrażnienia, oznajmił, że życzy sobie opuścić dotychczasowe schronienie. Nadaremnie mrs. Evangelina Scorbitt próbowała go odwrócić od tego postanowienia. Nie dlatego, by się obawiała o jego życie, skoro niebezpieczeństwo żadne mu nie zagrażało. Ale żarty, które napewno obsypią nieszczęsnego rachmistrza, koncepty i drwiny, których mu szczędzić nie będą, *lazzi*, które gradem posypią się na jego dzieło, tego mu oszczędzić chciała.

A co ważniejsze, jak to przyjmą koledzy jego z Klubu strzeleckiego? Czy nie każą mu zdać rachunku, czy nie zrobią go odpowiedzialnym za niepowodzenie, które i ich śmiesznością okryło? Bo czyż nie on, twórca tych obliczeń i projektów, był winien wszystkiemu?

J. T. Maston nie chciał słuchać żadnych uwag. Oparł się błaganiami, jak również łzom mrs. Evangeliny Scorbitt. Wyszedł z domu, w którym był ukryty, i pokazał się na ulicach Baltimore. Poznano go, a ci, których istnieniu i majątkowi groził, których trzymał w najokropniejszej grozie przestachu swem zacięciem milczeniem, pomścili się drwiąc, szydząc z niego niemilosiernie.

Trzeba było słyszeć tych amerykańskich uliczników, którzy mogliby dawać lekcje gamenom paryzkim!

– A! jak się masz, panie naprawiaczu osi!

– A! tuś mi, panie, co reparujesz zegary!

– A! to pan, panie łataczu gratów!

Wydrwiony, poturbowany mocno, nasz sekretarz Klubu strzeleckiego zmuszony był wrócić do pałacu na New-Park, gdzie mrs. Evangelina Scorbitt wyczerpała cały zapas czułości, by go skutecznie pocieszyć. Było to daremne! J. T. Maston – na wzór Nioby – *noluit consolari*, bowiem jego armata nie więcej podziałała na ziemską sferoidę, co najprościejsza petarda świętojańska!

Dwa tygodnie zeszło w tych warunkach, a świat, przyszedłszy do siebie ze strachu, zapomniał o projektach North Polar Practical Association.

Dwa tygodnie, a ani słówka wiadomości o prezesie Barbicane i kapitanie Nicholl! Czyżby zginęli w chwili wybuchu, uczestnicząc w spustoszeniach, które spadły na kraj Wamasai? Czyżby przypłacili życiem tę olbrzymią mistyfikacją naszych czasów?

Nie.

Po wystrzale, obaleni wstrząśnieniem na ziemię, na równi z sułtanem, jego dworem i kilkoma tysiącami krajowców, powstali żywi i zdrowi.

– Czy to się udało?... – spytał sułtan Bali-Bali, mocno trąc plecy.

– Czy podobna wątpić?

– Ja... nie wątpię!... Ale kiedy będziecie wiedzieć?...

– Za dni kilka – odpowiedział Barbicane.

Czy już odgadł, że operacja spełzła na niczem?... Być może. Ale nigdy nie przyznałby się do tego przed władcą Wamasai.

W czterdzieści ośm godzin potem, dwaj koledzy pożegnali Bali-Bali, zapłaciwszy wprzód sporą sumę za spustoszenia porobione na powierzchni jego państwa. Ponieważ suma ta weszła do osobistej kasy jego królewskiej mości, a poddani nie dostali z niej ani dolara, sułtan nie miał powodu być niezadowolonym z tak korzystnego interesu.

Następnie, dwaj koledzy w towarzystwie swych pomocników dostali się do Zanzibaru, gdzie się znajdował statek płynący do Suezu. Ztamtań pod przybranem nazwiskiem okręt kupiecki Moeris przeniósł ich do Marsylii.

Dostawszy się do Paryża, a następnie do Hawru drogą wschodnią kolei żelaznej, popłynęli na okręcie Burgundya do Ameryki.

W dwadzieścia dwa dni odbyli drogę z Wamasai do Nowego-Yorku.

Dnia 15 Października o godzinie 3 po południu dzwoniли do drzwi hotelu na New-Park.

Za chwilę potem znaleźli się wobec mrs. Evangeliny i J. T. Mastona.

ROZDZIAŁ XX

Który kończy tę zajmującą historię, równie prawdziwą jak nieprawdopodobną.

Barbicane?... Nicholl?...

– Maston!

– To wy?...

– Tak, to my!

W tym zaimku, wykrzykniętym jednoznacznie tonem niezwykłym przez obu kolegów, znajdowało się morze szyderstwa i wyrzutu.

J. T. Maston pociągnął swym metalowym haczykiem po czole. Potem głosem, który świstem wychodził mu z ust – jak syk żmii – powiedziałby Ponson du Terrail:

– Wasza galeryja Kilimandżaro czy miała sześćset metrów długości na 27 szerokości? – spytał.

– Tak.

– Wasz pocisk czy wistocie ważył sto ośmdziesiąt milionów kilogramów?

– Tak!

– A strzał czy był dany siłą dwóch tysięcy tonn meli-melonitu?

– Tak.

To potrójne „tak” spadło jak trzy uderzenia maczugi na głowę J. T. Mastona.

– A zatem wnoszę... – powiedział.

– Naprzykład co?... – spytał Barbicane.

– To – odpowiedział Maston: – Ponieważ operacja nie udała się, jest to tylko dowodem, że proch nie dał pociskowi szybkości dwóch tysięcy ośmiuset kilometrów.

– Doprawdy!... – rzekł Nicholl.

– A tak, ów pański meli-melonit dobry jest tylko do nabijania pistoletów ze słomy!

Kapitan Nicholl porwał się na te słowa, które dla niego były krwawą obelgą.

– Mastonie! – wrzasnął.

– Nichollu!

– Kiedy chcesz strzelać się meli-melonitem...

– Nie!... wolę już bawełną strzelniczą! To daleko pewniejsze!

Tu wdała się mrs. Evangelina, godząc popędliwych artylerzystów.

– Panowie!... panowie!... – zawołała – czyż podobna, by kolega z kolegą!...

A wówczas zabrał głos prezes Barbicane i tak głosem spokojnym przemówił:

– I o co się tu spierać? Jest rzeczą niezawodną, że obliczenia naszego przyjaciela Mastona były dokładne, jak również, że eksplodujący materiał przyjaciela Nicholl miał dostateczną siłę! Tak!... Zastosowaliśmy najściślej w praktyce dane naukowe!... A jednak rezultaty zawiodły nas! Z jakiej przyczyny?... Być może, że nigdy się tego nie dowiemy!...

– A więc – zawołał sekretarz Klubu Strzeleckiego – rozpoczniemy na nowo!

– A pieniądze, któreśmy wyrzucili poprostu za okno! – zauważył Nicholl.

– A opinia publiczna, któraby wam nie dozwoliła powtórnie ryzykować losy świata!

– Co poczniemy z naszymi podbiegunowemi posiadłościami? – spytał Nicholl.

– Do jakiego kursu spadną akcje North Polar Practical Association? – zawołał Barbicane.

Spadek akcji!... Ależ on już był faktem spełnionym – sprzedawano je już po cenie bibuły do owijania.

Taki był ostateczny rezultat tej operacji olbrzymiej. Takim to było fiasco pamiętne, na którym się skończyły nadludzkie wydiłki Barbicane’a and Co.

Nasi wielce szanowni ale źle natchnieni inżynierowie stali się celem publicznego urągawiska. Stali się oni pastwą złośliwców, których nigdy nie braknie. Nie szczędzono im szyderstw, tak w artykułach dziennikarskich, jak karykaturach, piosenkach, parodyach. Prezes Barbicane, administratorowie nowego Stowarzyszenia, ich koledzy z Klubu Strzeleckiego, zostali literalnie oplwani. Nadawano im różne przezwiska, tak... nieceremonialne, że niepodobnym byłoby powtórzyć ich nietylko po łacinie, ale i w volapüku. Całą Europę opanował szal żartu do tego stopnia, że w końcu yankesi poczęli się za ziomkami ujmować. Tak, wszak Barbicane, Nicholl, Maston byli rodem amerykańskie, należeli do wielce sławetnego stowarzyszenia w Baltimore, o mało też nie zmuszono rządu związkowego do wydania wojny Staremu Ładowi.

Nakoniec cios ostateczny zadała biednym inżynierom piosnka francuzka, którą sławny Paulus, żyjący jeszcze w owej epoce, wprowadził w modę. Piosnka ta obiegała kawiarnie całego świata.

Oto jeden z kupletów, który cieszył się szalonym powodzeniem:

Aby naszej starej ziemi

Wpół nadpsutą oś przemienić,

Zbudowano wielkie działo,

Które wstrząsnąć ziemią miało.

To dopiero wielkie dziwo!

Dano rozkaz, aby złować

Trzech szaleńców tych. Na szczęście,

Choć wybuchło, nic się nie stało.

Niech żyje nasza stara machina!

Ale czy dowiemy się nakoniec, czemu zawdzięczać należało niepowodzenie tego przedsięwzięcia? Czy niepowodzenie to było dowodem, że operacja była niemożliwą do skutecznienia? – że siły, któremi ludzie rozporządzać mogą, nie starczą nigdy na sprowadzenie modyfikacji w ruchu dziennym ziemi? – że nigdy strefy bieguna północnego nie będą mogły być ruszone z miejsca i ustawione tak, by ławy i lodowiska mogły być stopione promieniami słonecznymi?

Kwestya ta została stanowczo rozstrzygniętą w kilka dni po powrocie prezesa Barbicane i kapitana Nicholl do Stanów Zjednoczonych.

Mała nota ukazała się w *Czasie (Temps)* z dnia 17 października, i dziennik pana Hebrard wyświadczył światu usługę, informując go w kwestyi tak interesującej dla jego bezpieczeństwa.

Nota była następującej treści:

„Wiadomem jest, jaki był rezultat przedsięwzięcia, którego celem było stworzenie nowej osi. Wszakże obliczenia J. T. Mastona, oparte na danych nieomylnych, byłyby sprowadziły pożądane skutki, gdyby, skutkiem roztargnienia, niedającego się wytłumaczyć, nie były spalone omyłką, popełnioną w samych początkach.

„Gdy znakomity sekretarz Klubu Strzeleckiego wziął za podstawę obwód ziemskiej sferoidy, zamiast postawić czterdzieści tysięcy kilometrów, postawił czterdzieści tysięcy metrów – co zepsuło rozwiązanie problemu.

„Zkąd powstała podobna omyłka?... Co mogło ją spowodować?... Jakim sposobem ten tak znakomity matematyk mógł się jej dopuścić? Gubimy się w domysłach.

„Pewnem jest tylko to, że problemat zmiany osi ziemskiej, będąc jasno postawionym, również jasno i dokładnie winien był być rozstrzygnięty. Ale to przepomnienie trzech zer spowodowało różnicę dwunastu zer w rezultacie ostatecznym.

„A zatem nie armatę milion razy takiej objętości co armata dwudziestu siedmiu, ale trzebaby trylion takich armat wybudować, żeby przestawić biegun o $23^{\circ}28'$, i to w przypuszczeniu, że meli-melonit kapitana Nicholl ma taką siłę, jaką mu przypisuje jego wynalazca.

„Jednym słowem, strzał w warunkach, jakie mu towarzyszyły w Kilimandżaro, poruszył biegun z miejsca o trzy mikrony (3 tysięczne milimetra), a w poziomie morza sprowadził różnicę maximum o dziewięć tysięcznych mikrona.

„Pocisk zaś, stawszy się nową małą planetą, należy odtąd do naszego systemu, w którym go zatrzymuje przyciąganie słońca.

„*Alcyd Pierdeux.*”

Tak więc nieprzebaczone roztargnienie J. T. Mastona, omyłka o trzy zera na samym początku rachunków spowodowała ten upokarzający rezultat dla nowego Stowarzyszenia.

Ale podczas gdy koledzy J. T. Mastona z Klubu Strzeleckiego oburzali się nań zajadle, w publiczności objawiła się reakcja na korzyść biednego człowieka. Wziąwszy wszystko pod rachubę, to właśnie ta wina była powodem wszystkiego złego – a raczej wszystkiego dobrego, skoro oszczędziła światu najprzeróżniejszej katastrofy.

Z tego wynikało, że ze wszech stron zaczęły nadchodzić podziękowania i miliony listów, winszujących Mastonowi, że się pomylił o 3 zera!

J. T. Maston, bardziej zawstydzony i bardziej gniewny niż kiedykolwiekbądź, zatykał uszy, by nie słyszeć grzmiącego „vivat!” – które się na cześć jego rozlegało po wszystkich kończynach ziemi. Prezes Barbicane, kapitan Nicholl, Tom Hunter o nogach drewnianych, pułkownik Bloomsberry, fertyczny Bilsby i drudzy ich koledzy nie przebaczą mu nigdy.

Na pociechę pozostawała mu mrs. Evangelina Scorbitt. Ta zacna niewiasta nie żywiła w swem sercu żalu do J. T. Mastona.

Przedewszystkiem J. T. Maston zapragnął przejrzeć swe obliczenia, by się przekonać, czy istotnie dopuścił się takiej pomyłki.

Niestety, tak było w istocie. Inżynier Alcyd Pierdeux nie mylił się. I dlatego to, odkrywszy omyłkę już w ostatniej chwili, oryginał ten zachował tak zupełny spokój wpośród ogólnej grozy. Oto dlaczego wznosił toast na cześć Starego Świata, i to w chwili, gdy się rozlegał strzał w Kilimandżaro.

Tak! Tylko trzy zera zapomniane w miarze obwodu ziemi!...

Nagle nowa myśl zabłysła mu w umyśle. Wszak to było w początkach mozolnej pracy, gdy się był zamknął w swym gabinecie w Balistic-Cottage. Wszak napisał z całą dokładnością liczbę 40,000,000 na czarnej tablicy...

Wtem usłyszał gwałtowne szarpnięcie dzwonka u telefonu... Podchodzi do aparatu... Wymienia kilka słów z mrs. Evangeliną Scorbitt... Aż tu uderzenie piorunu przewraca go i zrzuca na ziemię tablicę... Wstaje... Zaczyna na nowo kreślić liczby, napół zatarte przy spadnięciu... Zaledwie napisał cyfrę 40,000... gdy dzwonek odzywa się po raz drugi... A gdy nakoniec zabrał się znów do pracy, zapomniał o trzech zerach liczby, która jest miarą obwodu ziemi!...

A więc wszystko to, wszystko było winą mrs. Evangeliny Scorbitt! Gdyby nie była mu przeszkodziła przywołaniem do aparatu, nie byłby otrzymał uderzenia prądu elektrycznego! Prawdopodobnie piorun nie byłby mu wtedy zrobił figła, kompromitującego cały żywot, poświęcony rachunkom i matematyce!

Niepodobna opisać wrażenia, jakiego doznała nieszczęsna kobieta, skoro jej J. T. Maston powiedział, w jakich to okolicznościach popełnił tę omyłkę!... Tak... ona była przyczyną tej klęski!... Przez nią to J. T. Maston widział się zniesławionym na długie lata, jakie mu pozostawały do przeżycia, gdyż zwykle umierano w bardzo późnym wieku w szanownym stowarzyszeniu Klubu Strzeleckiego.

Po tej ostatniej rozmowie J. T. Maston uciekł z hotelu na New-Park. Powrócił do Balistic-Cottage. Mierzył wielkimi krokami swój gabinet, powtarzając z żalem:

– Teraz już jestem do niczego niezdolny na tym bożym świecie!...

– Jakto, nawet do małżeństwa?... – spytał jakiś głos, drżący ze wzruszenia.

Była to mrs. Evangelina. Zapłakana, rozżalona, poszła krok w krok za Mastonem...

– Drogi Mastonie!... – wymówiła.

– A więc dobrze!... Ale pod warunkiem, że już się nie dotknę matematyki!

– Przyjacielu, mam do niej wstręt niepokonany – odrzekła zacna wdowa.

Oto w jaki sposób mrs. Evangelina Scorbitt została panią J. T. Maston.

Co zaś do noty Alcyda Pierdeux, jakąż sławę, jaki rozgłos przyniosła ona temu inżynierowi, jak również „Szkole” w jego osobie! Tłumaczona na wszystkie języki, drukowana we wszystkich dziennikach, nota ta rozsławiła jego imię w całym świecie. Otóż stało się, że ojciec nadobnej prowansalki, który mu kiedyś odmówił jej ręki, „z racji, że był nadto uczony”, przeczytał wzmiankowaną notę w „Małej Marsyliance”, i zrozumiawszy ją bez niczyjej pomocy, doznał silnych wyrzutów sumienia; a chcąc jakkolwiek stosunki nawiązać, posłał autorowi zaproszenie na obiad.

ROZDZIAŁ XXI

Bardzo krótki, ale zupełnie uspokajający co do przyszłości świata.

A teraz mogą mieszkańcy ziemi być zupełnie spokojni! Prezes Barbicane i kapitan Nicholl nie rozpoczną już przedsięwzięcia, tak nędznie chybionego. J. T. Maston nie powróci już do swych obliczeń, w których tym razem nie byłoby już omyłki. Wszystko to bowiem na nicby się nie zdało. Nota Alcyda Pierdeux powiedziała prawdę. Mechanika bowiem wykazuje, że, aby sprowadzić zmianę osi o $23^{\circ}28'$ nawet siłą meli-melonitu, trzeba by trylion armat, podobnych do maszyny, urządzonej we wnętrzu Kilimandżaro. Otóż nasza sferoida – nawet w razie, gdyby jej cała powierzchnia była stałą – jest zamałą, aby tę ilość dział pomieścić.

Zdaje się tedy, że mieszkańcy kuli ziemskiej mogą spać spokojnie. Zmienić warunki, w których ziemia się porusza, nie jest w mocy ludzkości. Nie jest bowiem dane człowiekowi zmieniać porządek, ustanowiony przez Stwórcę w systemie wszechświata.

KONIEC